

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/458

1985



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

WYBORY DO SEJMU PRL

W. GIEŁŻYŃSKI: **SZEŚĆ TEZ O STANIE DUCHA**

J. M. BOCHEŃSKI: **PRZECIW HUMANIZMOWI**

KULTURA: **WYWIAD Z KAZIMIERZEM ŁUKOMSKIM**

SPIS RZECZY

Wojciech Giełżyński:	<i>Sześć tez o stanie ducha</i>	3
J. M. Bocheński:	<i>Przeciw humanizmowi</i>	28
Sławomir Mrozek:	<i>Podejrzenie</i>	42
OBSERWATORIUM		
—	<i>Wybory do Sejmu PRL</i>	44
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	47
Zbigniew Byrski:	<i>Kryzys związków zawodowych w USA</i>	62
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	66
K R A J		
(aj):	<i>Notatki z Polski</i>	70
—	<i>Szczecińskie wydawnictwa podziemne</i>	81
—	<i>Konfiskaty w PRL</i>	84
SPRAWY I TROSKI		
<i>Kultura:</i>	<i>Wywiad z Kazimierzem Łukomskim</i> <i>(Stanowisko Kongresu Polonii Am.)</i>	87
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	94
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	99
Prof. Kurt H. Biedenkopf:	<i>O dialogu polsko-niemieckim</i>	103
—	<i>Na marginesie zjazdu Ślązaków w Ha-</i> <i>nowerze</i>	106
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	107
KRONIKA KULTURALNA		
Obserwator z Kraju:	<i>Londyński Kongres Kultury</i>	110
Renata Gorczyńska:	<i>Periodyki polskojęzyczne w USA</i>	114
Jan Karski:	<i>Shoah (Zagłada)</i>	121
—	<i>Teatr Ósmego Dnia z Poznania</i>	124
KSIĄŻKI		
Soren Kierkegaard:	<i>Z „Dzienników” 1847-1854</i>	125
Janina Katz Hewetson:	<i>Krakowska Arka</i>	130
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i>	132
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki:</i> <i>amerykańska, australijska i nowo-</i> <i>zelandzka, francuska i kanadyjska</i>	134
◆		
—	<i>Z ostatniej chwili</i>	143
◆		
Redakcja:	<i>Wyjaśnienie</i>	146
St. Babiński, T. Podgórski, Z. Przetakiewicz, K. Ro- wiński, Bp Szczepan We- soły, J. S. Witkiewicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	146
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	151
DOKUMENTY		
—	<i>Pismo Rektoratu do Dziekanów i Dy-</i> <i>rektorów Instytutów</i>	152
—	<i>Zarządzenie w sprawie prohibitów</i>	157

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1985

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Ryszard Głodkowski, Lay-St. Christophe (Francja), po raz 22-gi	F. 160,00
Jerzy Jankun, East Lansing, MI (USA) — \$ 25,00	F. 200,00
Inż. Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria), po raz 13-ty — Fr.szw. 120,00	F. 444,00
Jadwiga Maurer, Lawrence, KS (USA), po raz 3-ci — \$ 45,00	F. 360,00
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego, w Dzień Zaduszny — Zona	F. 100,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 10-ty — \$ 100,00	F. 800,00
Inż. Bolesław Puszka, Lafrançaise (Francja)	F. 100,00
Teresa Romer, San Eustache, Qué. (Kanada), po raz 13-ty — \$ c. 40,00	F. 232,00
Jan Świda, Los Angeles, CA (USA) — \$ 10,00	F. 80,00
Maria i Wojciech Topperman, Thornhill, Ont. (Kanada) — dla uczczenia drugiej rocznicy śmierci Andrzeja Semkowa, serdecznego przyjaciela i szlachetnego człowieka — \$ c. 50,00	F. 290,00

◆
DZIĘKUJEMY!

Kazimierz Romanowicz — celem utworzenia w ramach Funduszu *Kultury* Specjalnego Funduszu im. śp. ks. Jerzego Popiełuszki — przekazał sumę F. 70.976,06, stanowiącą całość dotychczas zainkasowanych przez księgarnię *Libella* wpłat od wydawców zagranicznych za przekłady wydanych przez *Libellę* KAZAŃ PATRIOTYCZNYCH ks. Jerzego Popiełuszki.

Na sumę tę złożyły się następujące wpłaty:

Regnery Gateway, Inc. (USA - Kanada)	F. 16.665,67
CANA (Francja)	F. 20.000,00
Editorial Seix Barral, S.A. (Hiszpania)	F. 14.100,00
Editorial Atlantida S.A. (Ameryka Południowa)	F. 8.741,34
Burg Verlag (Niemcy)	F. 6.020,05
Editoriale L'Espresso (Włochy) (Przekład fragmentu)	F. 2.500,00
Editrice Queriniana (Włochy)	F. 2.949,00

Razem: F. 70.976,06

WPLĄTY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Edward Gil, Toronto, Ont. (Kanada) — \$ c. 50,00	F. 280,00
Jan Kisiel, Dariusz Niworowski, Paweł Piechura, Edward Siwiec z Nowego Jorku — na podziemną „Solidarność” Wrocławia i Tarnowa (nadesłał D. Niworowski) — \$ 35,00	F. 280,00
Klub Dyskusyjny w London, Ont. (Kanada) — nadesłała Jolanta Kania — \$ c. 85,00	F. 476,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

Sześć tez o stanie ducha*

Błędy większości polityków — na Zachodzie i Wschodzie, ślepotą większości publicystów i politologów na Wschodzie i Zachodzie, wynikają z niezdolności zrozumienia, że myślenie „racjonalne” jest tak samo uwarunkowane historycznym poziomem rozwoju społeczeństw, jak myślenie magiczne charakteryzowało społeczności przedpiśmienne, zaś myślenie scholastyczne czasy porządku feudalnego.

Głównym motywem ludzkich działań w społecznościach przedpiśmiennych był STRACH przed siłami przyrody; stąd magia.

Głównym motywem ludzkich działań w społecznościach feudalnych była WIARA w zbawienie; stąd dominacja religii.

Głównym motywem ludzkich działań w czasach nowożytnych (które zaczęły się z Reformacją i trwają) jest INTERES; stąd rozkwit teorii ekonomicznych, które do dziś są traktowane jako podstawa wiedzy o społeczeństwie.

Doktryny socjalistyczne różniły się od burżuazyjnych w zarysie tym tylko, że wyrażały interesy innych klas w obrębie tej samej filozofii człowieka jako „zwierzęcia ekonomicznego”. Dlatego Marks mógł się oprzeć na sławnych „trzech źródłach” — angielskiej ekonomii, niemieckiej filozofii i francuskim socjalizmie utopijnym.

Wszelako rozwój społeczny doprowadził w XX wieku do sytuacji, w której „klasyczne klasy” ulegają destrukcji i zamazaniu. W krajach rozwiniętego systemu kapitalistycznego na czoło wybijają się liczebnością ambiwalentni klasowo *white collars*, proletariat mieszczańskie i ani mu w głowie rewolucja, tradycyjna burżuazja przekształca się w skomplikowaną, technokratyczną

* Fragment nowej książki W. Giełżyńskiego pt. „Odchodzenie”, która ukaże się w „Bibliotece Kultury” w roku 1986.

elitę władzy, stosunki własnościowe są pogmatwane w sposób nie do odcyfrowania. W krajach socjalistycznych, choć poza drobnymi relikdami „starego” klas być nie powinno, przedział między „klasą trójpanów” a masami społeczeństwa jest ostrzejszy niż gdziekolwiek; nawet w feudalizmie samorządne miasta lepiej się potrafiły bronić przed wielkopańskim naciskiem, niż w „realnym socjalizmie”. W Trzecim Świecie istnieje groch z kapustą obu głównych układów społeczno-politycznych, na tle szczątków systemów autogennych, wytworu innych kultur.

W złożonym procesie tworzenia się nowej świadomości powszechnej, który może potrwać kilka wieków (o ile glob przetrwa aż tak długo), stopniowo na czoło wysuwa się ten motyw ludzkich pragnień, który można zawrzeć w słowie „wolność”. Leszek Kołakowski („Rzut oka na przemiany marksizmu lat ostatnich”) tak określa dwa jej nadrzędne atrybuty: „Wolność jest wartością samocelową, nie wymagającą uzasadnienia w innych”, a zarazem: „... jest ona warunkiem, pod którym społeczeństwa zdolne są do samonaprawy (systemy despotyczne, pozbawione samoregulujących mechanizmów, zdolne są korygować swoje błędy tylko w wyniku katastrof)”.

Pęd ku wolności rodzi tak różne na pozór zjawiska, jak rewolucje narodowowyzwoleńcze, ruch hippisów i rozliczne jego kontynuacje, zbrojenia Zachodu (w obawie przed utratą wolności), kłopoty ZSSR z separatystami i dysydentami (jeszcze niewielkie i skutecznie tłumione), rewolucję Chomeiniego (która, co częste, tylko zmieniła charakter niewoli, ale przecież trwa nadal), oraz — naturalnie — „Solidarność”.

Aliści to nie oznacza, że popędy wolnościowe — chociaż stają się, powtórzmy, głównym wektorem światowych przemian — zredukowały już, w dobie teraźniejszej, pragnienia materialnego dostatku. Motyw INTERESU i dominacja ekonomicznego myślenia nie zeszyły na drugi plan, „być” nie zatriumfowało nad „mieć”. Przypuszczam, że dopiero w — nieodległej już — erze stagnacji świata (która oczywiście nie będzie równomiernie rozłożona ani w przestrzeni ani w czasie), ludzkość zda sobie sprawę, iż glob nie jest w stanie spełnić wszystkich jej materialnych zachcianek, nic istotnego natomiast nie będzie stało na przeszkodzie, ażeby doskonalić, w duchu wolnościowym, stosunki społeczne. Nic istotnego — oprócz oporu tych, którym zależy na utrzymaniu ludzi w poddaństwie.

Wiadomo, że w Polsce gorąco pragniemy żyć i swobodniej, i lepiej. Rozmaici ideolodzy ze szkoły totalitarno-elitarystycznej dowodzą — zgodnie zresztą z poglądami legionu filozofów, i to nie tylko przypisujących się do marksizmu — że pierwszy jest chleb, wolność druga; że są to wartości konkurencyjne, przeto

trzeba przystać na ograniczenia wolności, byle chleba (i to z szynką) było więcej. Zdziwiająco, jak trwałe są w głowach podobne nonsensy, skoro przeczy im empiria. Regułą współczesnego świata jest sprzężenie wolności z dobrobytem w jednych krajach, a ubóstwa z despotyzmem w innych. Oczywiście ta reguła ma wyjątki (a któraż ich nie ma?) wynikające z lokalnej specyfiki. Na przykład naftowi satrapowie, z łaski Allacha, mogą paść poddańców delikatesami, NRD ozłaca swoją klatkę dzięki nadziejom zachodnich sąsiadów na przyszłe zjednoczenie w wolności, a z drugiej strony demokratycznie rządzone Indie (choć demokracja to podobnego typu, jaki istniał w stanowej Rzeczypospolitej szlacheckiej) są dalekie od zaspokojenia elementarnych potrzeb ludzkich.

Pomijając przypadki szczególne — wolność i dobrobyt nie są wartościami konkurencyjnymi, lecz nawzajem się warunkują. Im więcej wolności wywalczy społeczeństwo — tym więcej zdoła wyprodukować dóbr, acz naiwnością są obietnice apologetów samorządności, że nastąpi to bezkonfliktowo i automatycznie. Im więcej zaś będzie dóbr do podziału — tym prędzej nastąpi nie tylko „wolność od niedostatku”, ale i wolność osobista oraz obywatelska, gdyż wzrost dobrobytu działa zmiękczająco na pęta totalitarne. Społeczeństwo, które zaczyna żyć po ludzku i nie musi martwić się o biologiczne przetrwanie, energiczniej zabiega o wartości wyższego rzędu. Despoci doskonale wiedzą, że pauperyzacja mas sprzyja utrzymywaniu ich w poddaństwie, a poprawa bytu wyzwala wzrost aspiracji — także poza-ekonomicznych. Wyższy standard życia powiększa ambicje awansu i uczestnictwa w kulturze, wzmaga pasję podróży (które działają przeciw totalitaryzmowi jak bomba z opóźnionym zapłonem — stąd restrykcje paszportowe), ośmiesza hasła ascetyczne, głoszone przez stróżów purytańskiego ładu i hierarchicznego porządku. Oczywiście jest i odwrotna zależność. Antyhumanistyczne hasło, że „wolność to uświadomiona konieczność” — opis sytuacji jednostki w krainach biedy i ucisku, na przykład we wczesnym kapitalizmie lub real-socjalizmie — ulega autodestrukcji, gdy społeczeństwo właśnie przez wolność wymyka się spod władztwa nędzy. Przykłady XX-wieczne to awans Niemiec Zachodnich, Włoch, Japonii, Hiszpanii po wyzwoleniu od faszystowskiej lub militarystycznej despotii.

Granica wolności człowieka może być tylko jedno i nic więcej: prawo do wolności innych ludzi. Twierdzenie to Adam Schaff w „Filozofii człowieka” nazwał był „trywialnym w swej oczywistości” i dowodził, zupełnie słusznie, że chodzi przecież nie o styk sfer wolności różnych jednostek, lecz o konflikt wolności różnych grup społecznych; to też jest trywialne odkrycie, co nie przekreśla jego ważności; każdy skróć

myślowy jest trywialny, ale nie zawsze jest błędny. Dalsze natomiast wywody Schaffa (i podobnych mu dogmatyków), że np. „każda demokracja jest formą panowania określonej klasy” i „w tym znaczeniu jest dyktatura” — stanowią świadomą mistyfikację. Jej bzdurność obnaża choćby (marksistowskie przecież!) sprawdzenie teorii — praktyką. Cóż prostszego, niż sporządzić katalog praw wolnościowych, z jakich realnie korzysta obywatel państw demokratycznych i praworządnych (w tym i takich, które hołdują socjalistycznej wizji, jak Szwecja) oraz identyczny katalog praw dyskryminacyjnych, jakie realnie obowiązują obywatela państw totalitarnych (czy to kapitalistycznych, czy też „realnego socjalizmu”). Dopowiedzmy, że ustroj polityczny a ustroj społeczno-ekonomiczny to zakresy, które wcale nie muszą się pokrywać; nie muszą nawet przylegać. Totalitaryzm polityczny wciska się i w kapitalizm, i w socjalizm; różnica w tym jednak, że jakoś z kapitalizmu łatwiej go przegonić. Z drugiej strony na obu tych typach stosunków własnościowych można (nie tylko w teorii) opierać demokratyczne urządzenia polityczne.

Obojętne, jakie figliki scholastyczne stosują marksistowscy dogmatycy, oczywistości nie zdołają zamazać: szansę urzeczywistnienia stanu nieanarchicznej wolności powszechnej — i to szansę niezłe na ogół realizowaną — mają jedynie te kraje, w których trwa autentyczna i regulowana tylko metodami demokratycznymi gra sił politycznych.

Polska tę szansę też miała niedawno, nawet (bądźmy realistami) bez konsekwentnego pluralizmu politycznego. Paliatyw, jakim mogła być kontrola społeczeństwa (to jest „Solidarności”) nad partyjnymi rządami w połączeniu z inicjatywą ustawodawczą (choćby w pseudo-Sejmie) rokował nadzieje na upodmiotowienie społeczeństwa, uruchomienie jego twórczej energii, uwolnienie jednostki od zewnętrznego przymusu. To przepadło. Trzeba walczyć, by nie przepadło bezpowrotnie.

Gdziekolwiek i w jakiegokolwiek intencji grę sił politycznych blokuje się rygorami oficjalnej ideologii czy „racji stanu” — wykraczającymi poza doraźne konieczności, jakie w każdym kraju mogą się okresowo zdarzyć — następuje degeneracja społeczeństw i unieszczęśliwienie jednostek.

Pragnienie wolności ma zasięg uniwersalny, jest sprężyną dążeń całej ludzkości, ale nie wszędzie przecież przejawia się z taką samą mocą, bo nie wszędzie wolność jest zagrożona i nie wszędzie jej brak doskwiera jednako. Każdy naród jest odrębną zbiorowością psychomentalną. Być może, jak twierdzą niektórzy bezradni lub technicyzowani socjologowie, nie istnieje obiekt w nie kategorii taka, jak „charakter narodowy”; ale subiektywnie istnieje z całą pewnością. Każdy naród z mniejszą albo więk-

szą intensywnością hołduje wszak idei etnocentrycznej: wierzy w swą szczególną i wyróżnioną inność, w swoje specyficzne zalety, w wyjątkowość swych losów i przeznaczeń, w prawomocność swych celów, które tylko w wolności mogą się ziszczyć pomysłnie. Oczywiście, przerost tych wierzeń prowadzi do szowinizmu i ksenofobii; przykładów *multum* — nie warto ich przywoływać. Jeśli jednak owe wierzenia ulegają atrofii — a przywiązanie do wolności słabnie — naród może przepaść. Na szczęście to rzadkie przypadki, albowiem działa coś w rodzaju zbiorowego instynktu samozachowawczego — i kiedy naród zaczyna tracić swą *identity* bądź wolę walki o wolność, z reguły pojawia się ktoś, kto potrafi uderzyć we właściwe struny emocjonalne i odrodzić narodowe aspiracje. Tę rolę spełnił Masaryk wśród Czechów, Kemal Pasza Atatürk w Turcji, poniekąd też de Gaulle, Tito i pani Margaret Thatcher; i Chomeini.

A w Polsce swego czasu Piłsudski.

W Polsce obecnej, w dobie wszechkryzysu, podobną rolę spełnia Jan Paweł II.

Nie jesteśmy zresztą, na szczęście, w aż tak głębokiej depresji, by niezbędne nam było zniebазstąpienie jakiejś postaci o wyjątkowej charyzmie. Ideał wolności jest mocno w polskim etosie zakorzeniony i nie pomoże ugniatanie go żadną normalizacją; ten płomień można przytłumić, lecz nie zgasić. Nie oczekujmy polityka-zbawcy.

Bardzo by się nam przydało natomiast lepsze poznanie samych siebie, przegłębienie się w dziełach wielkich myślicieli i mocarzy pióra. Chciałoby się, by rozbłysnął pisarz formatu Wyspiańskiego czy Żeromskiego (mam na myśli wpływ ideowy, jaki wywarł na swoją generację, a nie jego niestrawną dziś poetykę). Niestety, nie spełnia tej roli zapatrzony w siebie Miłosz, tym bardziej zaś żaden ze sztabu modnych kontestatorów kawiarnianego formatu. Diabli wiedzą, może literatura rzeczywiście wyczerpała już swe polityczne potencje i nie jest zdolna towarzyszyć wielkim przygodom XX wieku, inspirować myśli i uczyć? Ale uczonych mędrców też nie dostaje. Ostatni Mohikanie, jak Stefan Kieniewicz i Jan Strzelecki, stracili chyba wiarę, a głos z oddali Leszka Kołakowskiego jest już niestety niezbyt spójny z przeżyciami osamotnionego narodu. Młodszy zmagają się z dniem bieżącym i żaden nie pokazał się jako wizjoner.

Tymczasem w sferze emocji masowych istnieją wątki, które proszą o wielkie pióra, a nie reporterskie gryzmoły. Jedyne, na co mnie stać, to coś w rodzaju konspektu kilku tematów wartych myślowej penetracji i epickiego dzieła literackiego.

I. Sprawa narodowa

Nie udało się być przedmurzem, nie udaje się być pomostem. Ot, zdestabilizowane państwo średniej wielkości, pechowo umieszczone na głównym trakcie europejskim, między dwiema potęgami, których łączne zaludnienie dziesięciokrotnie przewyższa nasze. Państwo, którego losy przypieczętowano w Jałcie — decyzjami Wielkiej Trójki oraz nie respektowaniem tych decyzji przez to mocarstwo, które włączyło Polskę w strefę swej protekcji. Oto realia, których nie wolno ignorować, ale i biernie aprobować nie wolno. Niestety, czterdzieści lat życia z kompleksem niepełnej suwerenności nie usposabia Polaków do takiego stylu myślenia, który łączyłby wymóg politycznego realizmu z imperatywem zachowania niepodległości i narodowej tożsamości. W obozie władzy uznaje się jednak, że przypoehlebnosc i ostentacyjny serwilizm wobec Wielkiego Brata pozwoli zachować nie tylko symbole niepodległości — flagę bez gwiazdy, rogatywki i buńczuczny hymn narodowy — ale również sporą porcję swobody w sprawach wewnętrznych. W obozie demokratycznej opozycji, i to we wszystkich jej odłamach, nie zakorzeniło się trzeźwe myślenie o drogach, którymi można by osiągnąć partnerski status wobec ZSSR; takie szanse rysowały się parokrotnie i nie można wykluczyć, że pojawią się znowu któregoś dnia. Trudno nawet Polakom mówić o partnerstwie, bo można się narazić na zarzut kapitulancja, jeśli nie „Targowicy”... Ta nasza nadwrażliwość na punkcie suwerenności, nieznaną narodom, których suwerenność nigdy nie była zagrożona, jest odruchem naturalnym i usprawiedliwionym. I fatalnym jednak — utrudnia bowiem walkę o rzeczywiste poszerzenie naszej suwerenności do ram maksymalnie rozległych, takich, jakie tylko są możliwe w istniejącym układzie stosunków międzynarodowych, którego nie jesteśmy w stanie przebudować.

Ale zmodyfikować — możemy. W tym celu trzeba być świadomym, jak się przedstawia tkanka stosunków między Polakami a Rosjanami.

Z naszej strony jest to pasmo szczerze splecione z nastrojów, oscylujących między ironią, szyderstwem, niechęcią i nienawiścią, przy czym prawie tak samo jest w obozach „władzy” i „społeczeństwa”; szczerze oddanych Rosjanom jest znikomy promil. Rozległość antyrosyjskich nastrojów jest bez porównania większa, niż przed wojną, kiedy nie tylko komuniści, ale też spora część socjalistów i liberalnej inteligencji, a nawet lewe odłamy

sanacji żywiły wobec ZSSR (i Rosjan) przynajmniej sympatię i zainteresowanie. Czołowy reporter sanacyjny, Mieczysław Lepecki, napisał w 1935 roku ciepłą książkę o Sowieckim Zakaukaziu, wyliczał raczej plusy niż minusy rządów „bolszewickich”; i nie był to przypadek odosobniony. To, że nastroje antysowieckie stały się w Polsce powszechne, jest zarówno skutkiem ciągu wydarzeń historycznych od 17 września 1939 do 13 grudnia 1981, jak i owocem kretyńskiej propagandy, na siłę zmierzającej do werbalnego „umacniania niezłomnej i braterskiej przyjaźni”. Przez przedawkowanie i niedźwiedzią zręczność specjalistów propagandowych daje ta agitka efekt najdokładniej odwrotny, ze szkodą dla współżycia obu narodów.

Ze strony Rosjan tkanka opinii na temat Polaków jest rozczapierzona na kilka pasemek. Istnieje garstka ludzi — zupełnie znikoma — która podziwia Polskę jako kraj „zachodniej kultury” albo „odważnych ludzi”; ale i oni lubią mówić o nas *Palaczk* albo *Palaczyszki* — z nutą pobłażania. Istnieje znacznie większa grupa Rosjan, którzy mają dla nas sympatię, owszem, i dla tego nie mogą pojąć, czemu właściwie nie chcemy jak dawniej, za batiuszki cara, żyć z nimi w jednym państwie; przecież razem bylibyśmy jeszcze większą potęgą i zniknęłoby tyle kłopotów! — perswadują, po paru szklaneczkach gorzałki, roniąc szczerze łzy z powodu naszej dziecinnej chęci posiadania własnych granic. Jeszcze więcej Rosjan ma nam za złe, że muszą nas utrzymywać, że wszystko, co oni ciężko wypracują, wysyła się w *Polszu* — *i mięso, i sało i kartoszki*. Ale najwięcej takich, którzy po prostu niecierpliwiają się i oburzają, że *Polsza*, wskutek wrogich machinacji tych katolickich popów, kułaków i inteligentów-pasożytów, wciąż sprawia tyle kłopotów ich *rodinie*, niedoścignionemu Krajowi Rad, który buduje najsprawiedliwszy ustrój, broni pokoju i wspiera wszystkich ucisnionych ludzi świata. Długo by mówić, przez ile to wieków, z jakich przyczyn kulturowych i z pomocą jakich tytanów literatury ukształtował się taki stosunek Rosjan do niewygodnych sąsiadów z zachodu.

Co można zrobić, aby kroczek za kroczeniem odmienić te nastawienia, fatalne i durnowate, i czy w ogóle coś da się zrobić? Trzeba spróbować. Trzeba zacząć. Przede wszystkim z jednej strony należałoby zaniechać natrętnego bałwochwalstwa propagandowego, a z drugiej zapomnieć o doktrynie Breżniewa, głoszącej „ograniczoną suwerenność krajów socjalistycznych”. Te przedwstępne kroki wymagałyby nowej taktyki „góry”, a na to właśnie nie można liczyć, przynajmniej obecnie. „Góra” z tej strony po prostu odprawia internacjonalistyczny rytuał, a z tamtej strony wcale nie jest zainteresowana, by narody przestawiły swe uczucia na przyjaźniejszą tonację. Władzy wygodniej manipulować,

dopóki trwa wzajemna wrogość. Dlatego na przykład profanacja grobów sowieckich (obojetne, kto jej dokonywał) była cennym atutem dla psychologicznej obróbki społeczeństwa sowieckiego i przygotowania klimatu dla interwencji — gdyby ZSSR uznał ją za nieodzowną.

Trzeba zatem zacząć od samych siebie — od zmiany tonu edukacji społeczeństwa poprzez kanały niezależne. Na przykład sprawa katyńska jest wśród Polaków dostatecznie znana; nie ma potrzeby podgrzewania jej, skoro to musi wywoływać obustronny przypływ nienawiści. Rosjanie w olbrzymiej większości są przekonani, że Polacy oskarżają ich oszczerczo i tej pewności zmienić się nie da. Robotą debili są ośmieszające karykatury, bzdety o niedźwiedziu, płaskie dowcipy. Rosjanie mają poczucie humoru, dopóki drwią sami z siebie; obcy wara! Co innego rzeczowe, powściągliwe w tonie objaśnianie ciemnych plam we wspólnej historii; tylko jak dotrzeć z nim za Bug? Szanse kontaktów międzyludzkich zawsze były niewielkie, teraz są znikome. Póki co, pracujmy zatem „do wewnątrz”: starajmy się wytworzyć w społeczeństwie postawę negacji sowieckiego modelu i akceptacji faktu, że narody nasze przez geografę skazane są na sąsiedztwo, które mogłoby być znośnym, nawet korzystnym partnerstwem po zniesieniu stosunku wasalnego.

Co taka świadomość zmieniałyby właściwie? Zrazu niewiele, albo nic — w spojrzeniu Rosjan na nas. Ale mógłby się przynajmniej zmodyfikować nasz własny etos narodowy, który — w spontanicznym odruchu obronnym przed zagrożeniem polskiej tożsamości — jest podatny na szowinistyczne fobie wobec innych narodów (te kacapy! Te Pepiki! Te Żydki! Te Szwaby! Te Żabojady!) i nazbyt skłonny do łzawo-sentymentalnego nadużywania symboliki narodowej. Znając te polskie słabości, rozmaici cwaniacy potrafią świetnie nimi manipulować, szczególnie wobec starszej generacji, której patriotyzm przepoczwarzył się w infantylną paplaninę, jak to oni w kozi róg zapędzali hitlerowców.

Skłonność do mitomanii narodowej nie omija jednak i pokoleń, które dopiero zaczynają tworzyć kształt przyszej Polski. Tu i tam słyszy się głątwę o wyjątkowej roli, jaką Polska mogłaby odegrać w Europie jako „języczek u wagi” w światowej polityce. Gadanie o owym języczku to bezmyślne mielenie ozorem.

Nie jest natomiast bzdurą, lecz utopią (utopie zaś spełniają się wcale nie rzadziej, niż naukowe programy) myśl, że Polska — w nieokreślonej przyszłości — mogłaby się stać osią krystalizacyjną małych narodów wschodniej Europy, jednako poddanych dwustronnemu ciśnieniu narodów wielkich. Myśl to nienowa, sięga czasów Romantyzmu. Czy się kiedykolwiek ziści, Bóg raczy wiedzieć. Ale nie spełni się na pewno, jeśli Polacy po dawnemu

będą się ekscytować wielkomocarstwowo. Przed wojną zrazililiśmy sobie tym Czechów i Litwinów, Ukraińców i Białorusinów, Łotyszy nawet i Rumunów (prasa wywodziła, że ich król ma niezliczone polskie parantele!), a po wojnie nawet bratanków — Węgrów, którym *Lengyel* kojarzy się teraz z szarańczą zadufanych, pustoszącymi sklepy gołodupców.

Czy da się to wszystko odrobić? Osobiście wątpię. Na pewno nie w jednym pokoleniu. Ale kiedyś trzeba się namyślić nie tylko nad tym, czego my oczekujemy od innych, lecz i nad tym, czego inni mogliby się spodziewać po nas. To może sprzyjać wiązaniu zerwanych nici. Pewna szansa, powiedzmy — zarodek szansy tkwił w impulsie reformatorskim, który wywołała „Solidarność”. Rezonans, choć tłumiony wszelkimi sposobami, u sąsiadów był, zwłaszcza na Węgrzech, w NRD i Słowacji. Czy zgaśł bezpowrotnie? Myślę, że nie. Żaden naród, nawet najbardziej zastrachany, zapychany salami i zbajtlowany drętwą mową nie jest immunizowany na prąd wolnościowy (oprócz Bułgarów może, którzy nienawidzą wszystkich swych sąsiadów, więc kochają Rosjan i Niemców).

Czasem wystarczy iskierka, by rozniecić żagiew.

Z polskich haseł to było szczególnie piękne: „Za Waszą wolność i naszą”. Ono znów zabrzmi kiedyś.

II. Poczucie godności

Nowy pupil *Polityki*, jej sztandarowy publicysta od filozofii człowieka i psychologii społecznej, uczony profesor Andrzej Grzegorzyc jest dobrym katolikiem (choć wojuje z *Tygodnikiem Powszechnym*), przeto broni interesów Pana Boga, zagrożonych — jego zdaniem — przez ludzi, którzy wysoko cenią swą godność osobistą. Ci ludzie — uważa — naruszają słuszną zasadę podległości człowieka Panu Bogu. *Polityka*, niegdyś organ marksistów, daje uczonemu Grzegorzycowi dużo miejsca (co cieszy *Tygodnik Powszechny*, uwolniony od balastu jego mętniactwa). Jeśli katolik Grzegorzyc ma rację, to Jan Paweł II jest heretykiem, albowiem tyle razy i tak dobitnie wzywał do poszanowania ludzkiej godności.

To, że tuba wicepremiera Rakowskiego używa choćby i Grzegorzycy do podważania postaw godnościowych, jest najzupełniej logiczne. Toć przecież strajk gdański, który zrodził „Solidarność”, był rewolucją w imię godności. Był „świętem podniesionych głów” — jak powiedział Kapuściński. A Wałęsa powtarza: kompromisy — tak, ale nie na kolanach. Wałęsa jest demonem intuicji, wie, co gra w duszy narodu.

Obojetne, z jakich wypływa to źródła historycznych, poczucie

osobistej i narodowej godności jest wśród Polaków szczególnie silne i uwrażliwione. Czyżby była to cecha narodów, których byt jest trudny i ubogi, skoro również w Trzecim Świecie — a szczególnie w Azji — postawy godnościowe („zachowanie twarzy”) dominują nad takimi, których treścią jest kalkulowanie korzyści? Czy raczej szukać pragenezy w mitologii narodowej — w tym polskim „idź złoto do złota”, w Wandzie, co nie chciała Niemca, i w „Bóg mi powierzył honor Polaków” — zaś tam, nad Gangesem, w bohaterskiej etyce Ramajany, z której Jan Hempel, zanim stał się komunistą, próbował stworzyć zrab Nowej Religii dla Polaków? Tak czy inaczej, czy może jeszcze inaczej, kategoria godności, często w postaci karykaturalnej („szlachcic na zagrodzie...”, „pan nie wie, kto ja jestem”) miała wysoką rangę w polskim etosie. I nierzadko przeradzała się w fanfaronadę, w megalomanię narodową. Pod tym względem też jesteśmy podobni do młodych narodów Trzeciego Świata; i one dla symbolicznego gestu łąco poświęcają interesy praktyczne. Nie jest to jednak postawa irracjonalna. Często taki gest służy celom wyższego rzędu: wytwarzaniu spójni emocjonalnej, która utrwala poczucie narodowej wspólnoty, zawiązującej się dopiero w Trzecim Świecie, a w Polsce — stale zagrożonej.

Jest psychologicznie zrozumiałe, że im twardszy nacisk na człowieka, im ostrzejszy zewnętrzny przymus — oparty na „siłach ładu i porządku”, na szantażu ekonomicznym, na presji prawa sfabrykowanego przez dzierżycieli władzy — tym większą wagę ludzie, godni tego miana, przykładają do obrony swej godności. Nie wszystkim to się udaje; wielu z poczuciem klęski moralnej, ze wstydem kamuflowanym grymasami cynizmu, szuka jakiegoś kompromisu między tym, co wymagane, a tym, w co się wierzy. Niestety, jednostka ma ograniczone szanse obrony przed środkami przemocy, często jest zmuszona chronić dobro wyższe w swej ocenie (na przykład byt rodziny) kosztem rezygnacji z manifestowania własnych przekonań. Wszystkie dyktatury potrafią tym manipulować, na tym są zbudowane.

Pod presją, której nie są w stanie się przeciwstawić, niektórzy próbują wnieść poprawki do własnych poglądów, do systemu wartości, jaki wyznają. W ten sposób — zdaje im się — zmniejszają dystans rozbieżności między przekonaniami własnymi, a przekonaniami lansowanymi przez dzierżycieli środków przymusu. Mają złudzenie, iż redukują gwałt na własnym sumieniu, bo przecież oni też, w zasadzie, poniekąd myślą podobnie...

Inni kapitulują całkowicie. Uważają za mniej złe posłuszne nagięcie się do cudzych przekonań i uznanie ich za słuszne, niżeli ciągłe ustępowanie przed rozkazami. Wolą zaprzeczyć się siebie, niż ustawicznie poddawać się zewnętrznemu dyktatowi.

Jeszcze inni przyjmują założenie odwrotne: postępują tak, jak nakazuje ten, co z góry wymusza zachowania przezeń pożądane — ale próbują minimalizować (i we własnych oczach, i w cudzych) znaczenie tego wymuszonego postępowania. Starając się być „częściowo wolni”, godzą się na nieuchronne (jak mówią) koncesje dla opresora.

Zachowania narzucone presją zewnętrzną — a więc naruszające godność osobistą — miewają dwojaki charakter: już to symboliczny, już to rzeczowy.

Kategoria pierwsza — to na przykład oklaskiwanie mówcy, który głosi poglądy sprzeczne z własnymi albo zapisanie się „dla świętego spokoju” do nowych związków zawodowych, którymi się pogardza, albo głębokie ukrycie umiłowanych symboli — plaketek „Solidarności” powiedzmy — ażeby przypadkiem ktoś nie doniósł o nieprawomyślności. Ci, co czynią cokolwiek w tym rodzaju, pocieszają się, iż s p r a w a nie ucierpi przecież wskutek tak błahych rezygnacji.

Kategoria druga — to c z y n n e wspieranie rozmaitych działań, sprzecznych z osobistymi przekonaniem; na przykład wpajanie własnym dzieciom zasady „nie narażaj się nauczycielowi”, albo gorliwość w rozwijaniu owych na smyczy prowadzonych związków zawodowych, albo pisanie zakłamanych tekstów do gazet, albo ozdabianie własnym autorytetem fikcyjnych ciał, których rzeczywista rola polega na rozbijaniu społeczeństwa. Ci, co tak postępują, również znajdują samousprawiedliwienie: dla s p r a w y najważniejsze przecież, aby jakoś przetrwać do lepszych czasów, nie dać się zgnoić, nie dać się wypchnąć za burtę — bo przecież, gdy te lepsze czasy nadejdą, to znów weźmiemy się w kupę i prędko odrobimy poniesione straty moralne i społeczne.

I w tych przypadkach i w tamtych — czy to w symbolicznym geście duchowej kapitulacji, czy w działaniach, pogłębiających narodową klęskę — rezygnuje się z części lub całej swej godności. W tym najgłębsza tragedia ludzi, zmuszonych żyć w totalitaryzmie. Wbrew złudzeniu, jakie można by żywić, nie ma przy tym istotnej różnicy moralnej między faktem, że się tylko idzie w manifestacji pod obcym sobie sztandarem, a faktem, że się uczestniczy w farsie PRON-u. Idąc w pochodzie, choćby z miną ostentacyjnie skrzywioną, informujesz však tysiące ludzi, że ty też poddałeś się, co wielu z tych tysięcy uzna za alibi dla siebie i skłoni do podobnej kapitulacji. Ponadto uleganie pokusie drobnych gestów „asekuracyjnych” czyni człowieka podatnym na dalsze koncesje wobec tych, co wystawiają patenty prawomyślności i zmuszają do „odpowiedzialnego” zachowania.

Byłoby wołaniem na puszczy, a także moralnym szantażem, żądanie, ażeby wszyscy byli „rogatymi duszami”, a każdy — Pro-

meteuszem. Przymus wszędzie i zawsze działa identycznie: produkuje mrowie ludzi połamanych i garstkę buntujących się bohaterów. Trzeba uznać to za prawidłowość, lecz zarazem tej prawidłowości trzeba się przeciwstawiać; trzeba przeciwdziałać. Trzeba kojarzyć sprzeczne zasady: tolerancji wobec ludzkiej słabości z pryncypialnością wymagań stawianych osobistościom wzorotwórczym. Polacy tylekroć okazali zdolność nie tylko przetrwania, ale i przechowania naczelných wartości narodowych — choćby za cenę bolesnych blizn na godności — że trzeba ufać, iż i tym razem nie zawiedzie ich instynkt samozachowawczy; że w chwili następnej próby zerwą cugle obcej im doktryny. Ale, aby im pomóc, nie należy pogłębiać oczywistej frustracji tych, co postanowili chronić byt kosztem godności, przez piętnowanie ich pogardą, przyganą czy ironią. Takie postępowanie z reguły wywoła skutek odwrotny, reakcję obronną: wrogość wobec „niezłomnych” (a może: zadufanych?) moralistów. A od tego już krok do przejścia na stronę przeciwną — wbrew sumieniu, lecz zgodnie z podszeptami zranionej ambicji — ażeby tam szukać akceptacji, która — rzecz oczywista — ochoczo i hojnie jest odszczepieńcom udzielana.

Nie wymagajmy tedy heroizmu od każdego i na co dzień, bo odepchniemy wielu takich, co dotrzymaliby nam kroku, gdy znowu spiętrzą się patriotyczne emocje, a bariera strachu opadnie.

Wymagajmy go natomiast od tych, którzy z racji swego zawodu albo pozycji społecznej są obowiązani być strażnikami tradycyjnych wartości demokratycznych i narodowych. Ich gesty są nieocenione, choćby niektórym zdawały się puste i bezpłodne. Po stokroć miał rację Stanisław Ossowski, gdy pisał, że bezinteresowność pewnych zachowań, że czyny kierowane li-tylko względami estetycznymi, poczuciem osobistego honoru albo dbałością o godność społeczeństwa — podnoszą tego społeczeństwa żywotność i kulturę; że zbiorowość pozbawiona ludzi z fasonem, zdolnych poświęcać się dla gestu, owych „rogatych dusz” — traci niezmiernie ważny czynnik więzi uczuciowej, spoiwo swej solidarności.

Dlatego to, co dla Polski zrobili aktorzy, bojkotując obrazkowe narzędzie ogłupiania mas, będzie przez naród z wdzięcznością pamiętane i zapisane w dziejach, jako przejaw politycznej mądrości.

III. *Demokratyzm obyczajowy*

Z przyczyn, które nie wymagają objaśnień, cała plejada dyspozycyjnych socjologów i kulturoznawców od wielu lat w kółko

przepisuje od siebie pół tuzina obyczajowych dykteryjek z przedwojennej Polski: że o robotniku mówiło się „człowiek”, o robotnicy „kobieta”, a „pan” przysługiwało osobom z lepszych sfer; że w śródmiejskich kamienicach były osobne schody i drzwi dla służby; że panny szlachcianki zagrodowe roztrząsały gnój w rękawiczkach; że byle kancelista z poczty uważał się za ulepionego z lepszej gliny, niż frezer precyzyjny; że nie było dla mieszczańskiej rodziny większej tragedii, niż megalians córki; że chłopci i robotnicy nie grali w tenisa; a wreszcie, że inteligencja wyrosła ze szlachty, szlachetczyzną nasiąkła i nawet, horrendum, zarażała nią inne warstwy społeczne.

Było źle, teraz jest dobrze, bo lud wszedł do śródmieścia... Układankami z anegdotek można podbudować każdą tezę, jaką się zamierzy. Na przykład, że Stany Zjednoczone są państwem komunistycznym, bo każdy ma samochód wedle potrzeb, a Związek Sowiecki oligarchią arystokratyczną, bo żaden dygnitarz w podróży nie zaprosi szofera do wspólnego stołu, co w „pańskiej” Polsce jest normą zwyczajową. A w Skandynawii królowie jeżdżą na rowerach! No i co z tego, prócz tematu dla popołudniówek?

Mówiąc serio, idealna demokracja obyczajowa nie istnieje nigdzie i nigdy istnieć nie będzie, ale bliżej tego ideału są niektóre kraje anglosaskie i nordyckie. Polska w tej skali nie jest (i już przed wojną nie była) na złej pozycji. Jak daleko sięga pamięć narodowa, — to znaczy aż do Piasta Kołodzieja — demokratyzm (względny oczywiście i stanowo ograniczony, zawarty raczej w ideałach niż zachowaniach) stanowił korzystny wyróżnik polskiego etosu.

Do zupełnie innej kategorii zjawisk społecznych odnosi się slogan, że „Polacy nie umieją żyć w demokracji” — slogan manipulatorsko nadużywany dla usprawiedliwiania metod silnej ręki, ale w pewnej mierze trafny. Jest faktem, że umiejętność współżycia grupowego wedle zasad demokracji, respektowania woli większości i praw mniejszości nie jest wśród Polaków powszechna ani ugruntowana. Coś z tradycji *liberum veto* w etosie polskim chyba pozostało. Ale to samo *liberum veto* — fatalne dla demokracji politycznej — było wszak emanacją (prawda, że groteskową) demokracji obyczajowej: przekonania byle szlachetki, że jest równy najmożniejszym i wolny od wszelkich nakazów, których nie akceptuje.

Pomiędzy zachodnią wyniosłością diuków, hrabiów i markizów, a wschodnim samodzierzawiem kniaziów — polska magnateria poklepywała po ramieniu zagrodowych braci. Gest, choć sam w sobie pusty, odzwierciedlał równościowe poglądy szlacheckie. Miejski patrycjat nie czuł swego pośledniejszego statusu formalnego i mógł awansować do herbu; ba! nawet wolny kmięć

i sołtys nie był roboczym popychłem. Mit chłopskiego króla Piasta nie raz wydobywano dla uzasadniania reform, na owe czasy postępowych. Naród szlachecki nie akceptował orderów ani wielkopańskiej tytulatury. A później, po XIX-wiecznym wymieszaniu stanów, arystokracji nie lubiano nie tylko z powodów klasowych, lecz również wskutek jej wyobcowania obyczajowego. Sentymalizm i romantyzm dodatkowo nobilitowały ludowe pierwiastki, a pozytywizm stworzył chwalebne wzorce „pracy wśród ludu” jako misji patriotycznej.

Na pęczki u nas historyków ahistorycznych; takich, co z gesty dziejów ekstrahują przykłady stanowych nierówności, klasowych sprzeczności, uciemiężenia chłopów folwarcznych („Żeńcy” — to ich dowód koronny!), dyskryminacji miast i zdradliwych knoń sobiepańskiej magnaterii. Wszystko to zresztą święta prawda, takie zjawiska istniały, poniżej XIX wieku historycy kłamać nie muszą. Ale wszystko to wierutny nonsens zarazem, jeśli współczesne osądy polityczne i moralne stosuje się do czasów, w których inna była treść związków międzyludzkich, zaś nonsens do kwadratu — gdy na dodatek Polskę ogląda się jak parszywą owcę w europejskim stadku, podczas gdy w rzeczywistości była, humanizmem społecznych stosunków, raczej rzadkim w owych czasach rarogiem.

I przez te swoje demokratyczne fanaberie poszła w niewolę! — zakrzykną zaraz publicyści-państwowcy, którzy słyszeli piąte przez dziesiąte o teoriach szkoły krakowskiej; to znów bzdura, bo o klęsce Rzeczypospolitej zdecydował przede wszystkim wyjątkowo pechowy układ stosunków międzynarodowych, tak jak o jej odrodzeniu — konfiguracja nieprawdopodobnie korzystna, zaś o kolejnej klęsce, tej jałtańskiej, znowu konfiguracja fatalna.

Staropolski demokratyzm obyczajowy nie uległ jednak dalszej ewolucji równościowej w dobie tego naszego, ułomnego kapitalizmu; nie powstało nic w rodzaju amerykańskiego mitu „z pucybuta milionerem”, ani też — jak w Czechach — nie nastąpiło unarodowienie etosu wiejsko-plebejskiego. W Dwudziestoleciu nie była już Polska krajem demokratycznym obyczajowo, snobizmy arystokratyczne i kosmopolityczne szybko wypierały dawne wzorce egalitarne. Aliści nie do końca wyparły; pozostały widać — nawet po wojnie — tęsknoty do „dawnych czasów” obywatelskiej równości, skoro reakcja na wielkopańskie maniery nowych dygnitarzy, gierkowskich bonzów szczególnie, okazała się tak gwałtowna, że przesłaniała masom znacznie szkodliwsze przewiny władców partyjno-państwowych, niż ostentacyjna konsumpcja. Stąd też uczulenie na przejawy zapożyczanego ze Wschodu bizantynizmu i totalna wrogość do „tych z góry”, do wysokiej hie-

rarchii. Leitmotywy tej wrogości jest nie tyle to, że źle rządzą, ile to, że się „nachapali” i byli aroganccy, gwałcąc poczucie ludowej sprawiedliwości i równości.

Myślę, że w powszechnym pragnieniu posiadania wpływu na decyzje, dotyczące losu indywidualnych obywateli i zespołów pracowniczych, można by się doszukać nie tylko wątków ukształtowanych przez oświatowy i kulturalny awans społeczeństwa, ale też przez jego stare obyczaje i przekonania demokratyczne. Nawet jeśli skrytym motywem jest ponadto chęć zabezpieczenia własnych interesów lub obrony przed osobistą krzywdą — pragnienie współdecydowania „na dole” jest tendencją ogromnie cenną, albowiem umacnia postawy prospołeczne i stwarza przesłanki dojścia do demokracji politycznej na podwalinie demokratyzmu obyczajowego.

IV. Podejrzliwość wobec państwa

Choćby państwowiec Koźniewski budował „idei państwa” jeszcze wyższe kapliczki, choćby cały system edukacji, wedle rozkazów z GZP*, nadal nastawiony był na modelowanie społeczeństwa koszarowego, gwoli umacniania obronności państwa (na tym Zachodzie nic, tylko ostrzą na nas zęby!) — Polacy i tak będą się orientować na naród, nie na państwo. Oczywiście, niepodległe państwo jest wielką pospólną tęsknotą — ale jako instrument gwarantujący suwerenność narodową, jako narzędzie realizacji interesu społecznego, jako strażnik praw obywatelskich, a nie jako przedmiot adoracji. „Władza dla narodu” — woła tłum na spontanicznych manifestacjach — oraz: „Niech żyje Polska!”. Nikomu nie przyszłoby do głowy zawołać: „Niech żyje państwo polskie!”.

Istnieje na ten temat ogromna literatura, dowodząca, że brak należytego szacunku dla państwa jest spuścizną po pokoleniach, dla których państwo — jako zaborcze — było uosobieniem wrogości. Nie jest to pogląd przekonywający, skoro nasi dziadowie raz po raz robili powstania po to właśnie, by mieć niepodległe własne państwo; i to osiągnęli. I mamy je nadal, choć w formie niedoskonałej. Nie można podejrzewać nawet najmniej bystrego z Polaków, że nie odróżnia państwowości własnej od narzuconej. Zatem, skoro państwo nadal nie cieszy się admiracją, to musi być jakaś inna tego przyczyna. Na pewno nie jest nią aprobowanie proctw marksowskich o zaniku państwa. Więc co?

Akurat ta zagadka nie jest trudna do rozwiązania.

* Główny Zarząd Polityczny Wojska.

Polak, gdy chce jednym słowem określić kraj, którego jest synem, mówi po prostu POLSKA. Polak kocha Polskę, gotów jest poświęcić się za Ojczyznę.

Ale doprawdy nie wiadomo, czemu miałyby kochać „organizację zabezpieczającą, przy użyciu przymusu i innych środków, panowanie polityczne klasy panującej ekonomicznie” — bo tak brzmi definicja państwa w literaturze prawniczej. Nawet gdyby odejść od tego prawniczego kretynizmu i powrócić do definicji tradycyjnych, rozumiejących przez „państwo” kompleks: naród — terytorium — organizacja polityczna, albo rozbudować to pojęcie jeszcze szerzej, w duchu sugestii socjologów, to i tak z a w s z e obejmuje ono element instytucjonalny, ową władzę, która w Polsce nie wywodzi się z woli narodu. Jak można kochać coś, co samo dla siebie żąda miłości, i to jeszcze pod rygorem oskarżeń o brak patriotyzmu, jeśli ktoś żądanej miłości nie wyraża?

Zatem, gdy Polak mówi: „państwo” — ma na myśli ICH, tych co rządzą, co przywłaszczyli sobie władzę, a na domiar złego ani myślą spełniać obowiązku służebności wobec narodu. Państwo dla Polaka nie jest synonimem kraju ojczystego, ale instytucji takiej właśnie — patrz wyżej — jaką zdefiniowali prawnicy.

Skoro pojęcie „państwo” może odnosić się do różnych desygnatów, skoro jego teoretycy pomijają takie drobnostki, jak społeczeństwo i terytorium, skoro państwo jako instytucja przymusu nie może liczyć na sympatię — to jakże dziwić się, że sentymenty Polaków tak zdecydowanie obracają się ku narodowi. Naród — to współbracia, to jeden język, tysiącletnia tradycja, własna kultura, to wspólnie przeżywane dramaty i cień wiary w lepszą przyszłość. Jest co kochać. Jest czemu służyć.

Taka sytuacja psychospołeczna, oprócz ogromnej zalety, jaką jest silna więź narodowa, ma także pewne wady. Na przykład podatność na rozróżnianie „swoich” i „obcych” w obrębie zbiorowości obywatelskiej. „Obcy” są wyłączeni z poczucia solidarności narodowej, mimo, że są formalnie współobywatelami; często są traktowani nietolerancyjnie; niekiedy służą jako środek gwałtownego kanalizowania masowych frustracji. Nasza więź narodowa bywa aż nadmiernie usztywniona, co wiedzie do manifestacji szowinizmu i nie przysparza nam dobrej reputacji w świecie. Ale owe negatywy, których jeszcze trochę można by wyłuskać, są przy pozytywach jak Nosal przy Giewoncie.

Idea nacjocentryczna tym bliższa jest Polakowi, niż państwo-wotwórcza, że państwo — nawet to własne, obecne — stara się na sto sposobów zatimizować społeczeństwo, w interesie i dla

bezpieczeństwa kasty rządzącej, choć na użytek propagandowy głosi apele integracyjne. Natomiast sukces „Solidarności” polegał również na tym (obok rozbudzenia nadziei na kontrolowanie władzy i możliwość współdecydowania), że tworzyła ona wielostronne i wielopoziomowe więzi oraz wspólnoty społeczne, które pomagały przezwyciężyć poczucie wyobcowania, bezbronności obywatela i ogólnonarodowej chandry.

V. Kościół i wiara

Roku Pańskiego 1979, w Krakowie, pewien wysoki lecz nie scyniczający dostojnik państwowy i partyjny zarazem, powiedział — obserwując rzekę ludzi, przez wieczór, noc i poranek wlewającą się na Błonia — takie słowa:

— Oto, kto naprawdę rządzi Polską.

— Czy władza się tego nie spodziewała?

— Co innego spodziewać się, co innego widzieć.

O roli integrującej katolicyzmu, o stereotypie: Polak-katolik, tyle już napisano, nieporównanie kompetentniej, niż przy największym wysiłku mógłby uczynić autor niniejszego, że ograniczę się jedynie do skrótowych przypomnień.

Po pierwsze: monopolistyczna niemal pozycja katolicyzmu jest od dawien dawna niezwykle ważnym czynnikiem konstytuującym polską tożsamość narodową — zarówno przez zwieranie „ku sobie” społeczeństwa w okresach zagrożeń, jak i przez odróżnianie go od sąsiadów-innowierców, owych „lutrów” i prawosławnych niegdyś, a „bezbożników” dziś.

Po drugie: kompensacyjna wobec uszczerbków na godności narodowej rola „polskiego papieża” jeszcze potęgę Kościoła uwykupliła.

Po trzecie: historyczna misja Kościoła w obronie „sprawy narodowej” wzrosła, odkąd zaczął on — w monopartyjnym systemie — spełniać również zastępczą rolę polityczną, skupiając wokół siebie (nawet i bez zachęty) rozliczne grupy społeczne — opozycyjne, zagrożone, czy po prostu przedkładające moralny klimat nabożeństw ponad atmosferę zebrań partyjnych. W ten sposób Kościół stał się patronem i protektorem wolności obywatelskiej nawet dla osób religijnie obojętnych, co stanowi osobliwe *novum* w bogatych dziejach Kościoła.

Po czwarte: wyliczywszy tyle zasług, nie można się powstrzymać od wyrażenia pewnej obawy — tej mianowicie, że istnieje nadal rozdział między niskim poziomem myślowym potocznej religijności, szczególnie wiejskiej — a katolicką elitą intelektual-

na. Mogą się zatem pojawiać groźby dewocyjnego klerykalizmu, ciemnogrodu, fanatyzmu — jak też mitologii posłannictwa katolickiego i monopolu na prawdę. Dopóki Kościół z narodem łączy problemy wagi najwyższej, a na stolicy apostolskiej zasiada Papież — charyzmatyczny polityk, niebezpieczeństwa te nie rysują się jako problem istotny i aktualny; lecz nie zaszkodzi antycypować, co stać się może.

Po piąte: rysuje się jednak taki dysonans, że Kościół nie będzie w stanie spełnić wszystkich oczekiwań społecznych, nie odegra takiej roli politycznej, do jakiej tęsknią miliony Polaków, niekoniecznie wierzących. Należy nieco ograniczyć nadzieje, być wdzięcznym za to, co Kościół czyni i nie przynaglać go do zadań, którym — w istniejących warunkach — sprostać nie zdoła. Kościół nie jest wszechmocny, musi sam bronić się przed naciskami — i mieć dalszą, wykraczającą poza horyzont życia współczesnego pokolenia, optykę głównych problemów narodowych; po prostu musi istnieć, nawet jeśli w kraju byłoby jeszcze gorzej. O naczelnej misji Kościoła, prowadzenia ludzi do zbawienia, nie wspominam; nie moja parafia.

Po szóste: Kościół ma wielowiekowe doświadczenie, a także lepsze niż ktokolwiek w Polsce informacje, które — jak sądzę — pozwalają mu niezłe planować strategię i taktykę zbawiania ludzi również w życiu doczesnym: od głodu, ognia, wojny, poniewierki, upodlenia i wszelkich innych ziemskich plag. Ale nieomylny nie jest. Dlatego nie zaszkodzi mu to i owo podpowiadać z boku. Można odnieść wrażenie, iż czasem, próbując przechrzyć rządowych kontrpartnerów, Kościół sam wpada w zastawione pułapki. Oby pomyłek nie było wiele. Kredyt moralny, udzielony Kościołowi przez naród, nie jest niewyczerpany i może się zdarzyć, że przez nadmierną asekurację Kościół straci sporą część tego, co chyba jest dlań wartością bezcenną: wiernych wśród młodych.

VI. Urazona młodość

Wszystkie rewolucje robi młodzież.

Coraz młodsza młodzież. W Iranie, w Nikaragui wspierały ją dzieci. Tam się podobno szybciej dojrzeła.

Młodzież nadała ton Sierpniowi i następnym szesnastu miesiącom.

Rewolucje udają się rzadko, nawet gdy zwyciężają. Trudno powiedzieć, by udało się irańskim fedainom i mudżaheddinom — bo ich potem wytłukli jeszcze gorliwsi rewolucjoniści z „Partii Boga”. Rewolucja kubańska, ongiś wręcz modelowa, spontanicz-

na i euforyczna, stuprocentowo ideowa i antydespotyczna — po latach wygląda jak *danse macabre*; obróciła się we własną karykaturę. Szparko tą samą drogą podąża moja ulubiona „Nika”, w której zaczęło się podobnie jak na Kubie, nawet bardziej heroicznie i mądrzej.

Być może, gdyby rewolucje robili ludzie starsi, koło czterdziestki, skutki byłyby trwalsze. Ale do tego nie dojdzie, przeto rewolucje — choć zrazu wiele naprawiają — to potem psują własne dzieło do imentu. Zamiast totalitaryzmu spróchniałego powstaje totalitaryzm jurny.

Bardzo dziwne, że brak na ten temat głębszych refleksji historyzoficznych. Pewnie dlatego, że mogliby je napisać tylko ludzie z większym zasobem doświadczeń i przemyśleń. Ale oni są już sceptyczni i nie potrafią wyrazić romantyki tych młodzieżowych rewolucji, które tak pośpiesznie wyrodnieją wraz z ich twórcami.

Rewolucja „Solidarności” trwała na tyle krótko, że nie zdążyła ulec korozji, chociaż drobniutkie skazy na tym Posagu Wolności już się dało dostrzec. Z tego punktu widzenia krach „Solidarności” — słaba to pociecha, ale zawsze jakaś — nastąpił w samą porę. „Solidarność” pozostała jako krzepiący mit, który — to prawidłowość niezłomna — będzie przez długie lata piękniał i piękniał. Więc, mimo klęski, będzie klejnotem w skarbcu narodowych tradycji wolnościowych. A im gorliwiej będą przeciwnicy ten klejnot nurzać w błocie, tym ładniej wyszlifują go, potęgując blask. To już się dzieje.

Ale, choć można się tak pocieszać i snuć różne optymistyczne horoskopy, to tymczasem, całkiem po prostu, młodzież dostała takiego łupnia, że się nie od razu pozbiera.

Załatwiono ją dwoma ciosami.

Najpierw był prosty w żołądek. Wczesna faza okresu gierkowskiego wzbudziła wśród młodych duże nadzieje. Już-już zapanowałyby nad ringiem, gdy nagle, u schyłku gierkowszczyzny, ten dotkliwy choć jeszcze nie nokautujący cios w żołądek. W siną dal odpłynęły konsumpcyjne perspektywy. Wizja mieszkania, samochodu, podróży zagranicznych i całego tego dynamicznego rozwoju odsunęła się gdzieś w okolice progu starości. Zgasła szansa wyzycia się w sensownej pracy, spożytkowania zdolności i zapału. Wszystkie grzęzło w magmie kumoterskich układów, pazernych klik, popierających się nicości, zurzędniczałych struktur. Na tym tle powstały wprawdzie „filmy moralnego niepokoju”, lecz kinematograficzny sukcesik był właściwie jedynym pozytywem ostatnich lat przedsierpniowych.

Po ciosie w żołądek młodzież zwinęła się z bólu i złości, ale na szczęście akurat był gong — ze Stoczni — więc mogła złapać

oddech. Druga strona także odetchnęła na chwilę. Obaj przeciwnicy siedzieli w rogach ringu, łypali na siebie groźnie, a sekundanci masowali im muskuły i podpowiadali, jak zadać cios nokautujący.

Druga runda, jak to zwykle, zaczęła się od wzajemnego bicia, uników, ciosów przygotowujących akcję właściwą oraz ataków pozorowanych. Potem, co też normalne na ringu, nastąpiła chaotyczna bijatyka. Młodzież szła do przodu ostro, ale nie trzymała gardy. No i stało się to, co zazwyczaj następuje w podobnych przypadkach: dostała sierpowym w głowę i padła na deski.

I wszystko od razu runęło. Po obietnicach dostatku przepadła też szansa samorealizacji, autentycznego uczestnictwa w życiu społecznym. Przepadło to, co było własne, najintymniej osobiste i zarazem pospólne, patriotyczne. Pozostała gorycz totalnej klęski. Starszym zawodnikom łatwiej się z klęską pogodzić, już to znają, już nie raz padali na ring, ich złudzenia wypalały się wielokrotnie. Młodzież wierzyła, jak to młodzież, że jej się uda, że da sobie radę ze wszystkim, przeto w pierwszym momencie odebrała cios jako koniec świata. Jej własnego świata, który zaprojektowała i budowała.

Gdy minął szok nokautu, znowu rwała się na ring, wołała „Wiosna nasza”. Ale trzeciej rundy być nie mogło. *Vae victis!* Zamiast niej są kraty, pałki, nienawistny dryl, wzmożona indoktrynacja i wymuszanie lojalek.

Skoro trzeciej rundy nie będzie, trzeba trenować do kolejnego meczu.

To musi być wszechstronny trening: ogólnorozwojowy, taktyczny i psychiczny. Młodzież zawzięła się. Po utracie nadziei na zwycięstwo, laury i hymn narodowy, które wydawały się tak bliskie, wszystko wydaje się młodym lepsze (nawet nowatorski trening uników między pałkami ZOMO oraz doping gazowy), aniżeli bierne przyjęcie upadającego losu.

Opór zawsze wzrasta w miarę wzmaganania presji.

To jedno z tych niewielu praw psychospołecznych, które sprawdzają się zawsze, aczkolwiek z opóźnieniem na ogół i po fazie pozorowanej rezygnacji. Władza może się pocieszać, że przecież większa część młodzieży zachowuje się „rozsądnie” i nie wylega na ulice, lecz takie mniemanie świadczy jedynie o słabej znajomości mechanizmów społecznych. Wystarczy, że jedna dziesiąta młodych będzie nadal kontestowała, a w którymś momencie reszta pójdzie za nią, choćby do tego momentu siedzieli cicho jak trusie.

Oczywiście, terminu następnego meczu nie da się wyznaczyć.

Czy ten mecz zakończy się apokaliptyczną tragedią narodu?

Niestety, nie można tego wykluczyć. Cała odpowiedzialność przed narodem i historią spadałaby wtedy na tych, którzy hamują naturalne aspiracje narodu do wolności.

Ale jest wielka szansa, że następny mecz przyniesie ocalenie narodowe — i to bez znokautowania przeciwnika; wystarczy remis. Młodzi bowiem, dzięki Bogu, nie tylko zapiekają się w gniewie, ale też prędko uczą się takich metod walki politycznej, walki o swoje i narodowe prawa, które mogą być skuteczne.

O ile nie zbraknie cierpliwości i nie zaczną kolejnego meczu przed odzyskaniem sił psychicznych i obmyśleniem taktyki.

Tych sześć tez o stanie ducha, które tu sformułowałem, to zaledwie konspekty obszernych studiów i dzieł, jakie powinny szybko powstać. Kto się tego podejmie?

Trochę polemik

W publicystyce stanu wojennego, oprócz kiksów i fauli, zdarzają się i efektowne zagrania. Oczywiście, one są znacznie groźniejsze, niż bełkot telewizyjny — przynajmniej dla sfer opiniotwórczych.

Najważniejszym tekstem, jaki się ukazał w prasie rządowej, był artykuł prof. Janusza Reykowskiego „Podstawowy dylemat” (*Tu i Teraz* z 30 czerwca 1982). Powinien on być obowiązkową lekturą na szkoleniach partyjnych i na konwentykłach utajnionej „Solidarności”. Przytaczam jego główne tezy, wybite w gazecie tłustym drukiem:

● „Solidarność” była ruchem, który stanowił wcielenie pewnego społecznego ideału — ideału, który przybrał formę mitu — mitu odrodzenia. Pierwiastki realistyczne występowały w nim dość skąpo. Miał dawać (i dawał) zadośćuczynienie, przecięciwić poczucie bezradności i upokorzenia, beznadziejności, fałsz i niesprawiedliwość powszedniości, która wydawała się już nie do zniesienia.

● Rzeczywista obrona wartości wymaga zbiorowego, trzeźwego, dopasowanego do okoliczności działania, uwzględniającego, że w życiu ważna jest nie jedna wartość, lecz że jest ich więcej i że o wszystkie, prawdziwie cenne, trzeba się zatroszczyć. Znaczący to, że obrona wartości wymaga realizmu politycznego.

● ... przyszłość Polski zależy od znalezienia rozwiązań naszego podstawowego dylematu: jak zrealizować społeczne dążenia do autonomii i zarazem zachować dostatecznie silną, zdolną do efektywnego działania władzę państwa.

● Poczucie bezradności społeczeństwa to, wbrew pozorom, śmiertelny wróg systemu politycznego.

Prof. Reykowski dał wymienitą analizę stanu emocji przedgrudniowych i ich wielokierunkowej modyfikacji po zderzeniu z „bezwzględnością” stanu wojennego. Powściągliwie, nie wychodząc poza słuszne ogólniki nakreślił też zasady, które powinny być respektowane, ażeby „przerwać zakłętą koło”. Zdało się zatem, że profesor rzetelnie spełnił to, co należy do uczonego, specjalisty psychologii społecznej. I zdawało się, że skoro taki tekst, imponujący rozmiarami i wagą, ukazał się (wieść niosła, że po długich namysłach), i w dodatku ukazał się w tygodniku, będącym tubą bliskich władzy realistów — to zapowiada on ważką zmianę kursu politycznego. Aliści w trzy miesiące później tenże autor (w *Polityce* z 2 października 1982) ogłosił następny artykuł, „Psychologiczne bariery porozumienia”, który pokazał, że chodzi nie o zmianę kursu, lecz o manipulację socjotechniczną. Po dalszym ciągu celnej diagnozy, uwiarygodniającej intencje autora, następuje propozycja terapeutyczna tak żenująca, że aż się ciśnie pod pióro nieelegancki zwrot o szydle, które wylazło z worka. Prof. Reykowski mianowicie, zganiwszy PRON za jego odgórne konstytuowanie i marginalność działań, proponuje... żeby doń przystępować, gdyż celem jego jest „szersze otwarcie kanałów komunikacji między władzą a społeczeństwem”. Profesor zdaje się nie pamiętać, że kanały tylko wtedy dobrze służą komunikacji, jeśli umożliwiają ruch dwustronny; a żaden kanał nie pomoże, jeśli torpedowane są statki, wiozące ładunek z góry przez władzę odrzucany, na przykład propozycje społecznej rady prymasowskiej czy mediacyjne oferty intelektualistów. Otworzyć kanał zdalny do żeglugi ku spokojniejszym wodom może wyłącznie ta strona, która zamknęła śluzę — obojętne, z jakich to racji uczyniła.

Drugim autorem, który w artykule „Minimum” ciekawie zarysował sytuację narodową (*Polityka* z 30 października 1982) jest Jacek Syski. Píše on prawie same słuszne rzeczy:

● ... bez rzeczywistego porozumienia, czyli wypracowania *modus vivendi* możliwego do przyjęcia dla podstawowych sił społecznych i ustalenia dla nich zakresu wspólnych zadań na przyszłość, Polska nie dźwignie się z kryzysowego paraliżu.

● Specyfiką i konsekwencją polskiego kryzysu (a raczej wielu jego warstw) jest także i to, że najlepsze nawet rozwiązania — wypracowane tylko przez władzę, a nie zaakceptowane i nie poparte przez ludzi pracy — nie mogą okazać się skuteczne.

● Mówiąc brutalnie: nie wydaje się, aby tzw. opozycji, nie-

zależnie od poparcia, jakim ciągle władarzy, udało się doprowadzić do załamania i rozkładu władzy w jej konkretnej postaci, oraz do podyktowania własnych reguł gry. Z drugiej strony, nie wydaje się, aby można było (w ramach rozporządzalnych środków) wykorzenić, osłabić czy zniwelować ten osobliwy syndrom oczekiwań, pragnień i nadziei, który można by już dziś nazwać mitem „Solidarności” i który może okazać się trwalszy ponad przewidywania.

● Tak jak demagogią są wieści o „powstańczej determinacji” narodu, tak z drugiej strony kardynalnym błędem byłoby wyciąganie z jego powściągliwości wniosku, że oto robotnicy już popierają polityczną linię władz.

● ... wielką iluzją było mniemanie, iż ruch społeczny zrodzony wokół związku może sam z siebie zmienić bieg zdarzeń ustanowionych powojennym porządkiem w Europie.

● Historia socjalizmu posiada różne strony i karty, w tym niemało bolesnych i ciemnych. Ale u źródeł swoich zawierała także (i przede wszystkim) przekonanie, że nie ma socjalizmu bez wolności; że celem socjalizmu jest usunięcie dominacji człowieka nad człowiekiem i panowania rzeczy nad człowiekiem (...).

Zdania trafne, wyważone, mądre. Osobliwością tego artykułu jest jedynie to, że ukazał się w trzy tygodnie po rozwiązaniu „Solidarności”, chociaż (o czym informuje notka od redakcji) gotowy był przed tym faktem. Jest to więc jedynie zapis dobrych intencji, którymi piekło wybrukowane, a nie publicystyka, otwierająca jakieś nowe horyzonty; *post factum* cała argumentacja Syskiego nabiera wydźwięku humorystycznego.

Wkrótce potem *Polityka* zaserwowała artykuł „Od sloganów do konkretów” Krzysztofa Teodora Toeplitza, tak przepojony realizmem państwowym, że trudno w nim znaleźć ślady realizmu politycznego.

Refleksja polityczna, która traktuje „sferę imponderabiliów, bojkotów, odruchów moralnych, idiosynkrazji — słowem: zachowań symbolicznych” za niegodną uwagi i intelektualnej analizy, jest refleksją bez politycznego znaczenia, albowiem o n e t a k ż e konstytuują rzeczywistość społeczną. Nie można ich wygonić egzorcyzmami w rodzaju tego, którym KTT kończy swój wywód: „Myślę, że dojrzeliliśmy już do takiego właśnie stylu myślenia o naszych sprawach, który wyprzec musi gesty i zachowania symboliczne; jest on obecnie niezbędny”. Otóż przeciwnie: musimy dojrzeć do takiego stylu myślenia, jest on obecnie i z a w s z e niezbędny, który gesty i zachowania symboliczne będzie traktować z wnikliwością, na jaką zasługują.

KTT ma w niektórych sprawach rację. Dla urzeczywistnienia

doraźnych celów politycznych lepiej mieć potężną armię, niż tłum podnoszących dłonie w znaku „V”. Skuteczniej na tok bieżących wydarzeń można oddziaływać magazynami pełnymi prowiantu, niż układaniem kwiatnych krzyży. Atoli, jeśli się nie ma ani zbrojnych szyków, ani zasobnych spichlerzy, ani żadnych innych atrybutów potęgi, to można też skutecznie walczyć gestami symbolicznymi. Na przykład szach Iranu został obalony w ten sposób, że co czterdzieści dni zbierały się tłumy żałobników, wedle szyckiego rytuału, i krzyczały „Allah jest wielki”, a po każdym strzelaniu tłumy były o milion liczniejsze. Indie uzyskały niepodległość wedle recepty Gandhiego, który swą kozą i kołowrotkiem demonstrował, jak angielski przemysł pozbawić rynków zbytu — oraz wzywał do totalnej odmowy współpracy z władzami, do totalnego oporu bez użycia przemocy. I to się powiodło. Symbole są uzewnętrznieniem mitów, które są potężną (choć nie twierdzą, że zawsze rozstrzygającą) siłą motoryczną ruchów społecznych. W Nikaragui powstańcy zaczęli zwyciężać, odkąd wskrzesili kult Augusta Sandino, postaci dawno zapomnianej — i uformowali zeń nie tylko symbol walki antyimperialistycznej, lecz także — rewolucji społecznej; nieważne, że wbrew prawdzie historycznej. Możliwe, że rewolucja francuska udałaby się i bez hasła *Liberté, Egalité, Fraternité*, zaś rosyjska bez mitu wszechświatowej jedności proletariatu, ale nie ulega wątpliwości, że podgrzewanie emocji towarzyszy każdemu zrywowi mas. Jeszcze nie było rewolucji, którą inspirowałyby buchalteryjne kalkulacje, acz z wywodów KTT należałoby się tego spodziewać.

W Polsce zachowania i gesty symboliczne bywały bardziej produktywne, niż pożyteczna skądinąd praca organicznikowska. Takie czyny, dobrze służące budowie na później bazy narodowego bytu, jak rozwój przemysłu tekstylnego w Łodzi czy poznańskiego rolnictwa, albo aktywny udział Polaków w parlamencie Austro-Węgier, zarazem sprzyjały narodowej dezintegracji, albowiem wiązały Kongresówkę z lukratywnym rynkiem rosyjskim, Wielkopolskę czyniły żywnościowym zapleczem Prus, zaś aspiracje polityczne Galicjaków kierowały ku Wiedniowi. Na szczęście mieliśmy mesjanistyczną mitologię „Chrystusa Narodów”, romantyczną poezję, Sienkiewicza oraz wyciskające łzy obrazy Grottgera i budzące dumę Matejki. To przeciwdziało dezintegracji narodu i podtrzymywało miraż Niepodległej. Dlatego też marsz pierwszej kadrowej, gest symboliczny, miał duże znaczenie dla odrodzenia Polski, a nie miały go realistyczne hołdy wiernopoddańcze endecji i konserwy, składane carowi.

KTT dostrzega „Solidarność” jako bardzo szeroką konfederację rozmaitych żywiołów, które w istocie miały sprzeczne interesy, więc nie mogły wypracować spójnego programu. „Słogan

zastępował i musiał zastępować cele, ponieważ gdyby zostały one wyartykułowane, jasne okazałoby się niechybnie, że w ramach samej 'konfederacji' nie ma zgody co do spraw zasadniczych”. Wywód KTT byłby bardziej przekonujący, gdyby poddał on analizie program, przyjęty na I Zjeździe „Solidarności”; takowy jednak był i wcale nie wywołał rozpadu. Inną kwestią jest nieadekwatność wielu punktów programu do politycznych realiów kraju, brak myśli logicznie zespalającej programowe cele; zgoda.

Lecz istota sprawy leży w fakcie, którego znaczenie KTT ignoruje. Otóż niezależnie od sprzeczności, które nie mogły nie istnieć w związku tak masowym i przenikającym wszystkim warstwom, „Solidarność” po prostu dlatego stała się ruchem (a teraz mitem) integrującym, że ucieleśniała aspiracje narodowe, polityczne i społeczne przytłaczającej większości Polaków; i nic nie ma do rzeczy, że polityczny realizm powinien tonować niektóre z tych aspiracji. Nade wszystko zaś „Solidarność” przywróciła społeczeństwu poczucie podmiotowości, gdyż była jego wytworem autentycznie własnym i autonomicznym.

Uderzające, że KTT rozwinął się w marksistę aż za dobrego. Na przykład ma „poważne wątpliwości”, czy wydarzenia ostatnich lat były „czymś w rodzaju rewolucji”; zwie to „frazieologią”. Czyżby sądził, że rewolucja zachodzi tylko wtedy, gdy klasa uciskana przemocą obala uciskającą i zajmuje jej miejsce? Tak bywa nader rzadko; na ogół rewolucje mają cel skromniejszy: modyfikację systemu własności i sposobu sprawowania władzy. Przez to samoograniczenie (tak dla „Solidarności” typowe — wyłączam jej radykalne odpryski) nie przestają być rewolucjami. „Myślę jednak, że autentyczną treścią historii jest, pomimo wszystko, gra interesów poszczególnych grup ludzkich” — pisze KTT. Zgoda, o ile myśli się o czymś więcej, niż interesach materialnych *sensu stricto*. I zaraz potem KTT stwierdza obcesowo: „Jedynie wokół tej problematyki krystalizować się może ewentualne porozumienie społeczne”. Jedynie? Zakreślając taki krąg porozumienia KTT nie tylko unicestwia jego szanse (wszak w innym miejscu dostrzegł, że nurt postulatów moralnych i obywatelskich stanowił „bardzo istotny sens niedawnej konfederacji”), nie tylko w praktyce optuje za dalszą atomizacją społeczeństwa na grupy zabiegające o własne grupowe interesy, ale nadto — choć taki marksista — neguje wizję wspólnoty socjalistycznej, która ma być czymś więcej, niż wspólnotą interesów, mianowicie ustrojem, który zniesie alienację, poczucie wyobcowania. Ku temu — nawet swą symboliczną nazwą — zmierzała „Solidarność”, więc jakby była bliższa naczelnemu ideałowi socjalizmu, niżeli KTT.

Przeciw humanizmowi

Przystępuję do skreślenia moich poglądów na tak zwaną naturę człowieka, to jest do próby odpowiedzi na pytanie, czym ludzie są. Czynie to niechętnie z dwóch względów. Po pierwsze dlatego, że muszę tu użyć wielu danych dostarczonych przez innych, w szczególności przez przyrodników, czego bardzo nie lubię. Po drugie dlatego, że moje poglądy mogą wywołać nie-małe oburzenie i to u osób zazwyczaj bliskich mi poglądami; stąd muszę się liczyć z polemikami, napaściami itp., czego chciałbym uniknąć. Niestety, skoro raz postanowiłem ogłosić rozważania o sprawach mojego życia, nie da się uniknąć tego rodzaju uwag. Jest mianowicie tak, że inne moje myśli, np. o równości ludzi, o wojnie itp. zakładają pewną, jak mówią poetycko, wizję człowieka, czyli, prościej, pewne poglądy na to, czym ludzie są, a więc i czym ja jestem. Skądinąd wydaje mi się, że istnieje pewien obowiązek ogłoszenia tych rzeczy: jestem stary, nie mam już żadnej przyszłości i nic mi nie grozi od ludzi, zwłaszcza w kraju, gdzie uznaje się pewną wolność przekonań i gdzie w dodatku istnieje ubezpieczenie na starość. Staremu łatwiej jest takie rzeczy pisać niż młodemu, który musi się liczyć ze środowiskiem. Postanowiłem więc te rozważania ogłosić.

Zacznę od takiej oto uwagi. Natrafiamy w życiu na dwa rodzaje przedmiotów. Z jednej strony na pewne byty rzeczywiście istniejące w przyrodzie — np. na wulkany, pluskwy i urzędników skarbowych; następnie spotykamy poglądy, mniemania, wierzenia i tym podobne przedmioty nierzeczywiste, które bytują tylko w głowach ludzkich, a nie w świecie poza nimi. Do tego należą między innymi teorie naukowe, systemy filozoficzne, programy polityczne, ideologie, wierzenia religijne. Moja reakcja na te dwa rodzaje przedmiotów jest różna. Kiedy natykam się na jakąś rzecz niezwykłą — np. na bardzo wielką plusk-

wę albo bardzo uprzejmego poborcę podatkowego — dziwię się. Natomiast kiedy dowiaduję się o mniemaniach, wierzeniach itp., moją zasadniczą reakcją jest nieufność, krytycyzm. Tak na przykład kiedy czytam komentarz pana redaktora naczelnego mojej gazety do wypadków w Iranie i o spędzaniu płodu. Te dwie postawy znajdujemy także u filozofów: pierwszą, powiedzmy, u Arystotelesa, drugą u Kanta.

Otóż tej drugiej, kantowskiej postawy będzie mi potrzeba w rozmyślaniach o człowieku. Co prawda człowiek jest zwierzęciem zadziwiającym, jak to pięknie powiedział Sofokles:

*Wiele jest dziwów na świecie,
Lecz człowiek największy dziw przecie.
On to w sine tonie mórz oślep się rzuca, nie zważa
że go pęd ryczących burz po drżących toniach wytarza...*

Ale o tym człowieku naopowiadano tyle historyjek, że w rozmyślaniach o nim trzeba nam będzie zacząć od usunięcia fałszywych poglądów, ideologii, wierzeń i, aby to od razu jasno powiedzieć: zabobonów.

Najważniejszy z nich, to humanizm, czyli po polsku człowiekochwalstwo. Jeśli mamy wierzyć naszym — dziwnie pod tym względem zgodnym — pisarzom, filozofom, politykom, duchownym, to humanizm jest dzisiaj najbardziej rozpowszechnionym wierzeniem. To jest główny, nienaruszalny dogmat niemal wszystkich systemów filozoficznych, wszystkich zgoła programów politycznych i bodaj przytłaczającej większości kazań wygłaszanych w naszych świątyniach. O wszystkim innym wolno, a nawet wypada wątpić, tylko nie o nim. Kto ośmiela się nie być humanistą, jest wyrzutkiem społeczeństwa, podłym barbarzyńcą.

Proszę zauważyć, że nie chodzi tu jeszcze o osądzenie humanizmu. Stwierdzam po prostu fakt, że on jest podstawowym wierzeniem ludzi piszących i mówiących publicznie, przynajmniej w naszej Europie. Co prawda samo stwierdzenie powszechności tego wierzenia zawiera już jakby zaczątek ujemnego o nim sądu. Bo kiedy wszyscy, albo prawie wszyscy zgodnie coś twierdzą, owo coś jest z góry podejrzane. W każdym razie nieufność wobec takich rozpowszechnionych wierzeń jest jedną z kardynalnych zasad metody filozoficznej. Ale oczywiście jest to tylko podejrzenie. Aby wiedzieć, co nasz humanizm jest naprawdę wart, trzeba go będzie zanalizować.

I

A więc pierwsze pytanie: co to jest humanizm? Słowo ma kilka znaczeń — nazywa się np. „humanizmem” wykształcenie

w kulturze greko-łacińskiej i jej rozumienie; mówi się też o „humanitarnym postępowaniu” — wtedy „humanizm” oznacza pewien typ moralności. Ale najważniejsze znaczenie tego wyrażenia, w jakim ja tutaj *wyłącznie* go używam, jest takie: humanizm to pogląd, zgodnie z którym człowiek (po łacinie: *homo*) jest czymś bardzo wartościowym, wzniosłym: „Człowiek to jest wielka rzecz”. Tak rozumiany humanizm jest po prostu wyrazem gorącej sympatii do człowieka. Co w tym kontekście znaczy „człowiek”, to inna sprawa, którą zajmę się za chwilę. Na razie wystarczy stwierdzić, że humanizm w szerokim tego słowa znaczeniu jest niczym innym, jak nazwą tego rodzaju uczuć.

Tylko, że humanizm głoszony dzisiaj nie ogranicza się do tych ogólników, lecz zawiera obok sympatii także swoisty pogląd na człowieka, czyli, wyrażając się uczucie, antropologię filozoficzną, stanowiącą podbudowę wspomnianej sympatii. Jeśli dobrze rozumiem, na ten pogląd składają się przede wszystkim trzy twierdzenia. Po pierwsze, że człowiek jest istotą wyższą, to jest bogatszą, lepszą, godniejszą od innych istot w świecie. Po drugie, że owa wyższość jest nie tylko stosunkowa, ilościowa, ale także zasadnicza, jakościowa: człowiek ma nie tylko więcej inteligencji niż małpa, ale całkiem inny, wyższy rodzaj inteligencji. Po trzecie (tak przynajmniej u wielu humanistów), że człowiek jest czymś jedynym w swoim rodzaju, że jest wyniesiony ponad przyrodę, że żyje wprawdzie w świecie, ale do świata właściwie nie należy, nie jest częścią przyrody. Stąd człowiek jest często uważany przez humanistów za świętość, za wcielenie jakiejś wartości sakralnej.

Dla ścisłości wypada zauważyć że obok powyżej opisanego — że tak powiem wulgarnego — humanizmu, istnieje jeszcze humanizm niektórych nowoczesnych filozofów, który można by nazwać pesymistycznym. Ten ostatni uważa wprawdzie człowieka za istotę zasadniczo różną od innych bytów, ale bynajmniej nie lepszą, ani wyższą — przeciwnie, twierdzi się w tych kołach, że Człowiek jest czymś niezmiernie biednym i nieszczęśliwym. Co nie przeszkadza, że i ci filozoficzni humaniści uważają go za byt całkowicie różny od reszty stworzeń. Wobec tego jednak, że ta odmiana humanizmu jest mało rozpowszechniona, zajmę się tylko humanizmem wulgarnym.

Przystępując do jego analizy, wypada zacząć od znaczenia słowa „człowiek” — bo mało jest w gwarze humanistów słów równie mętnych, jak ten właśnie rzeczownik. Proszę wziąć na przykład pod uwagę następujące trzy twierdzenia:

- (1) człowiek tworzy sputniki,
- (2) człowiek pochodzi od małpy,
- (3) człowiek to wielka i święta rzecz.

Kto tworzy sputniki (1)? Przecież nie Czesław, który nie

tylko żadnego sputnika, ale jako żywo nawet taczek nie potrafi zmajstrować. Skądinąd to chyba nie gatunek ludzki — bo ja przynajmniej nigdy nie widziałem, by jakikolwiek gatunek cokolwiek zrobił. Owe sputniki zrobili pewni, niektórzy ludzie, ale ci, co się nad Człowiekiem unoszą zachwytem, zdają się przy tym także myśleć o ludzkości jako całości. Ale w (2) to nie tylko niektórzy ludzie mają od małpy pochodzić, i zapewne mowa jest nie o ludzkości, ale o wszystkich ludziach jednostkowych. Za to w (3) niepodobna o nich wszystkich myśleć, bo wtedy trzeba by powiedzieć, że Sinobrody, Stalin i ów brodaty ideolog, który morduje dziecko, aby zmanifestować swoje „rewindykacje”, są czymś wielkim i świętym. Chodzi więc zapewne raczej o człowieczeństwo, o coś, co mimo wszystko w każdym człowieku tkwi i co ma być właśnie godne i wielkie. Mamy, krótko mówiąc, do czynienia ze straszliwym myślowym bałaganem.

Co gorsze, ten bałagan jest nie tylko sprawą teoretyczną. Wielu rewolucjonistów powiada, że wszystko czyni dla dobra człowieka i właśnie dla tego dobra morduje, zabija pracą i niewoli miliony ludzi. Jakie takie uporządkowanie tego śmietnika pojęciowego, jakie za sobą zwykle wlecze humanizm, jest więc sprawą arcypraktyczną i nawet palącą.

Mnie się wydaje, że mamy do czynienia z pomieszaniem aż trzech różnych pojęć, a mianowicie pojęcia *człowieka* (przez małe „c”) to jest pojedynczego, jednostkowego człowieka; pojęcia *człowieczeństwa* — a więc jakiegoś zbioru cech każdemu człowiekowi właściwych; i wreszcie pojęcia gatunku ludzkiego, pojętego jako zbiorowisko, stado czy nawet rodzaj organizmu. Podobnie mielibyśmy pomieszanie pojęć mrówki-jednostki, mrówkowatości i mrowiska — albo krowy, krowowatości i stada obejmującego wszystkie krowy.

Pomieszanie tych pojęć, a w każdym razie dwóch ostatnich zawdzięczamy — jeśli wolno się tak wyrazić — w znacznej mierze Hegłowi. Hegel był zupełnym ignorantem w logice — jak zresztą znakomita większość filozofów nowożytnych do XIX wieku włącznie. Temu trzeba m.in. przypisać, że pomieszał oderwane pojęcie człowieczeństwa z pojęciem ludzkości jako stada. Na próżno młody Marks buntował się przeciw temu niechlujstwu myślowemu — proszę np. przeczytać jego świetną krytykę heglowskiej filozofii prawa — i on uległ później czarowi Hegła. Za nim poszli jego uczniowie i wielu innych.

Ale jeśli mamy mieć jakiegokolwiek szanse na zrozumienie, czym jest człowiek, a więc czym jesteśmy my sami, trzeba stanowczo zerwać z tym kompromitującym prostactwem i myśleć tak, jak myślą zwykli ludzie, niezarażeni heglowską filozofią. Kto tak myśli, stara się widzieć to i tylko to, co stoi przed nim, po

prostu. Otóż w świecie są tylko pojedynczy ludzie. To jest jedyna pełna ludzka rzeczywistość. Ci pojedynczy ludzie mają co prawda pewne cechy wspólne (np. każdy człowiek może kłamać) i istnieją między nimi różne powiązania, stosunki, relacje, wskutek czego pojedynczy ludzie tworzą grupy, zespoły, narody i tym podobne. Ale nie wolno zapominać, że gdy mowa o człowieku, chodzi w ostatecznej analizie zawsze i wyłącznie o jednostkę ludzką. Jeśli coś jest prawdą o wszystkich jednostkach, to tym lepiej. Że jednostka ludzka ma, że tak powiem, także wymiar społeczny, to rzecz pewna — ale to są wszystko sprawy wtórne.

Drugim wyrażeniem, które wymaga rozbioru, jest „wyższy”. Ogólnie mówiąc, nazywamy jedną rzecz „wyższą” od innej, kiedy jest lepsza, zdatniejsza do czegoś, sprawniejsza. Na przykład mówię, że moja nowa elektryczna maszyna do pisania jest wyższa od starej, mechanicznej (dokładniej: mówię, że należy do wyższej klasy, albo wyższego typu), dlatego, że mogę na niej lepiej, łatwiej i szybciej pisać. W rzeczy samej umiem na niej napisać stronę w 12 minut, podczas gdy na dawnej potrzebowiałem ich aż 15 (zechcą panny sekretarki nie uśmiechać się pogardliwie na moje ślimacze tempo). Takie jest moim zdaniem najogólniejsze znaczenie słowa „wyższy”.

Ale są przynajmniej dwa rodzaje wyższości, które chcę nazwać „stosunkową” i „zasadniczą”. Wyższość stosunkowa zachodzi, gdy niższa istota może wprawdzie daną rzecz zrobić, ale nie tak dobrze, nie tak łatwo i szybko jak wyższa — albo jeśli może w danej dziedzinie robić tylko prostsze, łatwiejsze rzeczy, a nie bardziej złożone. Tak na przykład możemy mówić o stosunkowej wyższości Czesława nad Danielem w stolarce, gdy obaj umieją wprawdzie zrobić taczki, ale Czesław potrzebuje na to tylko trzech godzin, podczas gdy Daniel musi pracować godzin sześć no i taczki Czesława będą lepsze, doskonalsze od Danielowych. Będziemy także mówili o stosunkowej wyższości w wypadku, gdy Daniel umie zrobić tylko ławkę, ale w przeciwieństwie do Czesława nie potrafi zrobić tacek.

Nasuwa się tu następujące pytanie. Załóżmy, że Daniel jest tak niedołążny, że niczego zgoła z drzewa zmajstrować nie potrafi. Czy wypada nam powiedzieć, że Czesław jest od niego *zasadniczo* wyższy w stolarce, tak jak jest wyższy od, powiedzmy, ślimaka? Wydaje się, że nie — że i tu wyższość jest tylko stosunkowa. Bo choć Daniel obecnie niczego z drzewa nie umie zrobić, to jednak mógłby się zasadniczo tej sztuki nauczyć. Za to nie widzę, jak mógłbym nauczyć stolarki ślimaka.

Aby zachodziła wyższość zasadnicza, potrzebne są dwa warunki. Musi najpierw być tak, że istota wyższa może coś w jakiejś dziedzinie zrobić (albo nauczyć się robić), a niższa nie może. Tak jest na przykład, kiedy chodzi o naszego Daniela i ślimaka

w stolarce. Po drugie musi istnieć przynajmniej jedna dziedzina, w której pierwszy warunek jest spełniony, a która sama jest wyższa od dziedzin, w których niższa istota może coś zrobić. Nie wystarczy, że istnieje *byle jaka* dziedzina wyższości. Powiadają na przykład, że nietoperz umie się kierować falami dźwiękowymi dla człowieka niedostępnymi — a przecież trudno go nazwać istotą zasadniczo wyższą od człowieka.

Co to znaczy, że jedna dziedzina jest wyższa od innej, niełatwo powiedzieć. Można najwyżej przytoczyć parę przykładów. Tak np. nazwiemy matematykę dziedziną wyższą od sztuki pływania w wodzie; podobnie uważa się, że tworzenie symfonii muzycznych jest czymś wyższym od rąbania drzewa. Przyjmuje się zwykle, że dziedziny stanowiące razem tzw. kulturę — a więc nauka, sztuka, religia — są wyższe od wszystkich innych.

Można by co prawda sądzić, że ta definicja jest kołowata, bo sprowadza wyższość istoty do wyższości dziedziny. Wydaje się jednak, że jest to, mimo wszystko, powien postęp — bo dość samą w sobie mętną wyższość człowieka sprowadza do dużo jaśniejszej wyższości dziedziny, nad którą dyskusja jest możliwa. Warto więc tej ostatniej używać jako pojęcia pierwotnego, bez definicji. Bo wszystkiego nie można przecież definiować — gdzieś trzeba się zatrzymać.

Możemy teraz sformułować sens naszego humanizmu. Jego treścią jest bodaj następujące twierdzenie: *Każdy człowiek jest istotą zasadniczo wyższą od wszystkich innych istot w świecie.*

II

Dlaczego ludzie przyjmują to twierdzenie i uważają je za prawdziwe? Przeglądając humanistyczne piśmiennictwo widzę, że głosi się je dzisiaj w większości wypadków bez żadnego zgoła uzasadnienia. Tak czynią nieraz przede wszystkim nowocześni politycy i ideologowie. Używają, mniej lub bardziej świadomie, wypróbowanego sposobu przekonywania: powtarzać twierdzenie z wielką stanowczością, a bez żadnego uzasadnienia. Bodaj większość współczesnych, przynajmniej w Europie, daje się w ten sposób przekonać i humanizm przyjmuje.

Natrafiamy tu na zagadnienie, które mam nadzieję omówić, gdy będzie mowa o wierzeniach religijnych. Powiem na razie tylko tyle, że przyjmowanie bez żadnego uzasadnienia twierdzeń, które się uważa za ważne jest nierozumne i, jeśli wolno użyć humanistycznego zwrotu, niegodne człowieka. Trzeba więc spytać, jakie to względy przemawiają za humanizmem.

Myśliciele różnych czasów przytoczyli wiele takich względów. Za wiele nawet, powiedziałbym — wygląda tak, jak gdyby roz-

paczliwie szukano uzasadnienia czegoś, w co się wierzyło, zanim te dowody wynaleziono. Były one różne, zależnie od okresu i szkoły. I tak w starożytności i Średniowieczu powoływano się w tym względzie przede wszystkim na ludzki rozum i mowę. Od czasu Odrodzenia mówi się zwłaszcza o tzw. kulturze, a więc nauce, sztuce i religii. Od XVII wieku mniej więcej kładzie się nacisk na ludzką samoświadomość. Egzystencjaliści widzą istotną różnicę między nami a innymi zwierzętami w tym, że tylko my umiemy się trwożyć, a one nie. Wreszcie już w Średniowieczu, a następnie u fenomenologów XX wieku uzasadniano nieraz naszą zasadniczą wyższość nad innymi stworzeniami powołując się na ludzką zdolność do tzw. idealizacji, to jest poznawania bytów idealnych.

Rozpatrzmy pokrótce te uzasadnienia!

Zagłoba zgadza się z Arystotelesem o tyle, że według niego człowiek różni się od zwierzęcia „rozumem i mową” — a według greckiego filozofa ten sam człowiek jest *zoon logon echon* — żyjątkiem (taki przekład wymyślił Wąsik) posiadającym *logos*, a *logos* znaczy tutaj zarówno rozum jak i mowę. I w rzeczy samej, rozpatrując subtelność naszego rozumu (przynajmniej w najlepszych egzemplarzach ludzkiego gatunku) i złożoność ludzkiej mowy, trudno nie dojrzeć ogromnej różnicy między nami a naszymi młodszymi braćmi i, co za tym idzie, ogromnej nad nimi wyższości. Temu nikt przytomny nie zaprzeczy. Sęk tylko w tym, czy owa wyższość jest naprawdę zasadnicza, istotna? Czy one są *całkiem* „bezrozumne i nieme”?

Otóż twierdę stanowczo, że to jest nieprawda, że takie rzeczy może opowiadać tylko osobnik, który nigdy nie miał psa i nic o psach nie wie. Ja miałem wiele z nimi do czynienia i wiem, że nie są one ani bezrozumne, ani nieme. Zaczniemy od rozumu. W domu moich rodziców był jamnik imieniem Piwko. Otóż moja śp. matka miała zwyczaj przygotowywać w niedzielę zimną wieszak, którą stawiano zawczasu na stole. Ponieważ Piwkowa wszeteczność i przemyślność były w domu dobrze znane, odsuwano krzesła od stołu, aby nie mógł się do jadła dostać. Ale to nie pomagało: bestia ciągnął zębami krzesło do stołu, wskakiwał na nie i z niego na stół, po czym wieszak przygotowany na kilka osób znikła w jego dziwnie pojemnym brzuchu. Piwko miał też zwyczaj wkradać się do szafki z żywnością, siedzieć w niej cicho, aż ją zamknięto, po czym wyjadał całą zawartość. Moja matka mawiała, że gdyby jamniki miały skrzydła, ród ludzki nie mógłby wytrzymać z nimi konkurencji. Rzecz pewna w każdym razie, że Piwko rozumował i to nie gorzej od niejednego ludzkiego złodzieja. A jeśli o mowę chodzi, to czyż pp. humaniści nie zauważyli, jak piesek ogonem macha, aby powiedzieć, że jest zadowolony, że warknie na pobratymca,

gdy zajęty jest kością, aby powiedzieć „wara”; że skamle, kiedy coś znalazł ciekawego? Nie potrzebuję się nawet powoływać w tym względzie na wyniki naukowców, którzy zgodnie twierdzą, że znaleziono u wielu zwierząt dość złożoną mowę i rozumowanie.

Rzecz jasna, że ta mowa i ten rozum są w porównaniu z ludzimi biedne, proste, ograniczone. Jesteśmy niewątpliwie o tyle wyżsi od innych zwierząt, że posiadamy i rozum i mowę znacznie lepiej rozwinięte, potężniejsze, sprawniejsze. Ale mówić o istotnej, zasadniczej różnicy — wolne żarty! Chodzi wyłącznie o stopień. *Rozumowanie i mowa nie są wyłączną właściwością ludzi.*

Bardziej przekonujące jest na pierwszy rzut oka oświeceniowe powoływanie się na kulturę.

Istotnie, kulturotwórczość jest zapewne cechą najjaśniejszą odróżniającą ludzi od innych zwierząt. Nawet mój Piwko nie napisał nigdy rozprawy z dziedziny topologii, niczego w rodzaju piątej symfonii, ani Bhaghawat-Gity. Nie potrafił też jako żywo zrobić ckm-u, a tym mniej pocisku nuklearnego.

Ale czy można powiedzieć, że nie ma u zwierząt niczego, co by odpowiadało naszej kulturotwórczości, albo że to coś jest całkowicie, zasadniczo różne i niższe od niej? Wydaje mi się, że nie. Zaczniemy od techniki — bo ona, wbrew twierdzeniom nowoczesnych snobów, oczywiście należy do kultury. Widziałem sam w filmie zwierzę, które wyszukiwało sobie kamyk, aby nim muszlę rozbijać; wiadomo też, że małpa nieraz gałąź wyłamała i strąca nią banany. Wspomniany już Piwko używał krzesła jako narzędzia. Bobry budują zapory, aby wodę zatrzymać. Jakaś technika więc niektóre zwierzęta mają. Także sztuka nie jest im całkiem obca. Pies wyje sobie do księżycy, a skowronki umieją wcale ładnie śpiewać. Nawet jeśli o religię chodzi, znaleziono podobno coś w tym rodzaju u mrówek — jakieś zebrania bardzo podobne do naszych nabożeństw.

Wydaje się więc, że możemy przyjąć istnienie u innych zwierząt jakichś zaczątków każdej z naszych czynności kulturalnych. I nie bardzo widać, dlaczego miałyby być one czymś zasadniczo różnym od naszych. *Nie ma dowodu, by kulturotwórczość była wyłączną właściwością ludzi i wiele zjawisk zdaje się świadczyć, że tak nie jest.*

Położenie jest podobne, jeśli chodzi o samoświadomość. Humanisci twierdzą nieraz, że tylko ludzie są świadomi sami siebie, a inne zwierzęta nie. Muszę się przyznać, że to jest jeden z najdziwniejszych poglądów, jakie kiedykolwiek spotykałem. Moim zdaniem zwierzęta, przynajmniej wyższe, posiadają samoświadomość, i to nieraz w wysokim stopniu. Posiada ją na przykład niewątpliwie krowa, która zdaje sobie doskonale sprawę ze swo-

jego stanowiska w stadzie, o czym świadczy jej zachowanie. Nie jest to możliwe bez jakiegoś zrozumienia tego, czym ona sama jest. Jeden z moich znajomych, chłop z Gruyères (kraj, gdzie wyrabiają sławne sery), opowiadał mi, że jego ulubiona krowa (nazywał ją „Ljoba”, jak w *Rand des vaches*) zdechła ze zmartwienia, kiedy zastąpiono jej rozbity wielki dzwon mniejszym. Ta krowa miała wysokie mniemanie o sobie, a więc i samoświadomość. Pewnie, że nasza ludzka jest bogatsza, jaśniejsza, lepsza. Ale moim zdaniem nie można rozsądnie twierdzić byśmy tylko my ją posiadali. *Nie ma dowodu, by samoświadomość była wyłączną cechą ludzi i wiele zjawisk zdaje się przemawiać przeciw temu.*

Według Kierkegaarda i jego uczniów wyłączną cechą człowieka ma być trwoga. Owa trwoga to nie strach. Bo strach, powiadają, jest zawsze obawą przed czymś — boję się na przykład złego psa — natomiast trwogę czuje się przed nicością, czyli przed śmiercią. Powiadają tedy, że inne zwierzęta znają wprawdzie strach, ale nie trwogę. Tylko my ludzie umiemy się trwożyć. „Człowiek jest tym bardziej człowiekiem — napisał Kierkegaard — im bardziej się trwoży”. Otóż, pomijając oczywiste pomieszanie pojęć w sprawie owej nicości (studentów pierwszego semestru paliłem bez litości za mniejsze głupstwa), nie bardzo wiem, co z tym rozumowaniem począć, bo nigdy żadnej trwogi w ich słowa znaczeniu nie zaznałem (z czego wynika, że dla nich w ogóle nie jestem człowiekiem), choć śmierci nieraz patrzyłem w oczy i wiele potężnego strachu przeżyłem. Wiem także z doświadczeń pierwszej mojej wojny (1920, w konnicy), że koń potrafi bać się śmierci bardziej niż człowiek. Mój przynajmniej, który był poprzednio ranny, aż się kurczył ze strachu na bliskie szczekanie ckm-u. Myślę też, że owa trwoga Kierkegaarda i jemu podobnych to wynik jakiegoś chorobliwego stanu autorów. Powiem więc że *nieprawdą jest, by istniała zasadnicza różnica między ludźmi a zwierzętami, polegająca na tym, że tylko ludzie się trwożą.*

Natomiast ostatnia myśl humanistyczna, ta, która powołuje się na idealizację, wygląda znacznie poważniej. Stwierdza się, że ludzie są zdolni do poznawania przedmiotów zwanych „idealnymi”, na przykład matematycznych i wartości. Czy takie przedmioty istnieją, o to spierają się myśliciele od czasów Platona. Jeśli o mnie chodzi, myślę, że istnieją i że ludzie umieją nieraz je poznać. O tyle więc mają humaniści rację. Chodzi jednak o to, czy *tylko* ludzie tę zdolność posiadają, czy przypadkiem nie znajdujemy czegoś podobnego także u innych zwierząt. Otóż nie jestem tego pewny, choć nie znam zjawisk, które całkiem jasno świadczyłyby o takiej zdolności u małą czy psów. Podejrzewam tylko, że i one nie są jej całkiem pozbawione. Podejrzewam

tak głównie dlatego, że pewien rodzaj myśli oderwanej znajdujemy u innych zwierząt. Tak np. mają one nieraz pewne zrozumienie liczb i stosunków. Chryzyp, słynny logik grecki, miał sprzęg logiczny, który nazywał „psim sylogizmem”: „pierwsze, albo drugie, albo trzecie; otóż ani pierwsze, ani drugie, a więc trzecie”. Stwierdzał bowiem, że pies goniący za zającem używa tego sylogizmu na rozdrożu: obwąchuje pierwszą drogę, potem drugą, i skoro nie znalazł na nich zajęczego zapachu, już bez wachania biegnie po trzeciej; wyciągnął logiczny wniosek. To dowodzi bezpośrednio tylko zdolności do rozumowania, nie idealizacji, ale u istot obdarzonych świadomością obie są jakoś związane, więc nie dziwiłbym się, gdyby wyższe zwierzęta i tę ostatnią posiadały. Trzeba też powiedzieć, że o tej dziedzinie niemal nic nie wiemy. Można więc chyba powiedzieć, że *nie ma dowodu, że zdolność do poznawania bytów idealnych jest wyłączną cechą ludzi.*

A więc żadne ze znanych mi uzasadnień humanizmu nie jest przekonujące.

III

Co więcej, istnieje kilka względów, które dość wyraźnie przemawiają przeciw humanizmowi.

Jest najpierw rzeczą jasną, że każdy człowiek ma głowę, kończyny, wątrobę, nerki, serce i tak dalej, jak małpy i owce. Różnice zachodzące między ciałem człowieka a ciałem, powiedzmy, szympansa, są nie większe, a przeciwnie, znacznie mniejsze niż te, które istnieją między szympansem a dżdżownicą. Temu chyba nawet najbardziej zajadły humanista nie zaprzeczy. Za to nie dostrzega się niekiedy, iż także w zachowaniu człowieczym znajdujemy wszystkie główne cechy zachowania małą i innych wyższych zwierząt. Weźmy na przykład Edwarda, urzędnika bankowego, i zacznijmy mu się przypatrywać o pół do siódmej rano. Znajdujemy go na legowisku, wprawdzie misternie skleconym i zwanym „łóżkiem”, ale przecież legowisku, śpiącego jak wróbel w gnieździe. Budzi się, ziewa jak pies. Myje się, to jest idzie do wody, jak słoń. Potem je, a zjadłszy idzie do swojego banku. Żadne inne zwierzę co prawda do banku nie chodzi (chyba na smyczy z człowiekiem), ale jeśli się zastanowić nad sensem pracy Edwarda w banku, łatwo dojrzeć, że jest to zespół — bardzo trzeba przyznać złożony — czynności, mających na celu jedno tylko: zarobek, to jest, w gruncie rzeczy, jadło. Marsz Edwarda do banku to w gruncie rzeczy to samo co wychodzenie szkala na polowanie. Nasz Edward śpiewa w chórze parafialnym — ale psy także wyją do księżycy, choć nie tak pięknie. Edward

potrafi też pięścią zdzielić znajomego, który zanadto się do jego narzeczonej zaleca — dokładnie jak każdy samiec w podobnej sytuacji. No, i czasem idzie kupą na „wroga”, tak samo jak wilcy stadem ruszają na zdobycz. Człowiek jest zwierzęciem. Wniosek: *Każdy człowiek posiada wszystkie główne cechy innych ssaków.*

Zarazem ludzie dzisiejsi pochodzą od zwierząt, które ludźmi nie były. Rozwój do obecnego, człowieczego stanu trwał wiele tysięcy i było wiele postaci pośrednich. Mówiło się dawniej, że człowiek pochodzi od małpy. Stąd złośliwe pytanie zadane przez anglikańskiego arcybiskupa Tomaszowi Huxleyowi. „Czy pan szanowny od małpy przez Swoją prababkę czy Swojego pradziadka pochodzi?”. Dziś nikt tego nie mówi. Ale niech się nasi humaniści nie cieszą pochopnie — bo choć zgodnie ze współczesnym stanem zoologii człowiek nie pochodzi od małpy, to jednak pochodzi od jakiegoś zwierzaka jeszcze pierwotniejszego, który jest także przodkiem małp dzisiejszych.

Powie mi ktoś, że to tylko teoria. Niewątpliwie: jest to teoria naukowa i jako taka nie jest bezwzględnie pewna. W zasadzie mogłoby być także całkiem inaczej. Tylko że w obecnym stanie naszej wiedzy niepodobna rozsądnie w jej prawdziwość wątpić, tak mniej więcej, jak nie można wątpić, że Ziemia obraca się wokoło Słońca — choć teoria śp. ks. kanonika Kopernika jest także tylko teorią. Powiedziałbym, że mało jest w zoologii poglądów równie dobrze uzasadnionych jak ten. Jestem, jeśli o mnie chodzi, w tym szczęśliwym położeniu, że znałem dobrze dwóch wybitnych zoologów, bardzo owej teorii niechętnych (byli tak zwanymi „spirytualistami”, tj. zakładali, że w człowieku jest „duch” istotnie wyższy od zwierzęcej świadomości). Otóż obaj powiedzieli mi, że dziś o teorii pochodzenia ludzi od nie-człowieczych zwierząt poważnie wątpić nie można. Człowiek nie tylko posiada wszystkie główne cechy innych zwierząt, ale ma także wspólne z nimi pochodzenie. *Ergo każdy człowiek dzisiejszy jest potomkiem jakiegoś nie-człowieczego zwierzęcia.*

Dochodzą do tego jeszcze dwie myśli uboczne, których uzasadnienie wydaje mi się mniej pewne, ale które zasługują przecież na wymienienie.

Chodzi najpierw o ogrom wszechświata. Humanisci mówią nieraz tak, jak gdyby człowiek był nie tylko na ziemi, ale i w świecie istotą jedyną, wyniesioną ponad całą przyrodę. Otóż ten pogląd nie jest na niczym oparty. Bo świat, jakim go obecnie znamy, jest naprawdę ogromny. Eddington pisał ongiś, że nasza mgławica składa się z około stu milionów gwiazd i że istnieje prawdopodobnie równie wiele innych mgławic. Dziś, o ile wiem, mowa jest już nie o milionach, ale o miliardach.

O niektórych gwiazdach wiemy, że posiadają planety. W tych warunkach prawdopodobieństwo, że istnieją we wszechświecie inne cywilizacje, inne istoty rozumne, podobne do nas, wydaje się być *a priori* znaczne. W rzeczy samej, astrofizycy (Sagan i Szklowski) wysunęli w latach sześćdziesiątych hipotezę, zgodnie z którą byłoby ich około 10.000. Jakkolwiek by z tym było, twierdzenie, że życie inteligentne istnieje *tylko* na ziemi, jest najzupełniej bezpodstawne. Jeśli wolno coś założyć w tej sprawie, to raczej, że nie jesteśmy bynajmniej wyjątkiem. *We wszechświecie istnieje prawdopodobnie stworzenia równe ludziom, albo od nich wyższe.*

Wreszcie, uwaga o rzekomej wyższości moralnej ludzi. Mówi się, że człowiek (zawsze przez wielkie „C”) jest nie tylko pod względem umysłowym, ale także jeśli chodzi o uczucia i moralność istotą wyższą od innych zwierząt. Otóż i to twierdzenie jest chyba bezpodstawne. Jestem wprawdzie przekonany, że uczucia, jakie przeżywa na przykład kochająca kobieta, są głębokie i mocne, ale — błagam piękne panie, by mi nie miały za złe moich poglądów — wydaje mi się, że wierny pies przeżywa niemniej żywe i niemniej mocne uczucia, gdy cieszy się z powrotu swego pana. A gdy o moralności mowa, to znamy, rzecz pewna, bohaterów i świętych, ale znamy także zbrodniarzy. Co gorzej, ludzie i tylko ludzie popełniają chronicznie czyny, które nasza moralność potępia, a które są w świecie innych zwierząt całkiem, albo prawie całkiem nieznanne. Tylko ludzie zabijają stale innych ludzi, a więc osobników należących do tego samego co oni gatunku — wojna jest przecież zjawiskiem towarzyszącym całym naszym dziejom. Ludzie i tylko ludzie męczą umyślnie i okrutnie innych przedstawicieli swego gatunku. Przypisywanie ludziom moralnej wyższości nad innymi zwierzętami jest bodaj jeszcze bardziej bezpodstawne niż zakładanie ich rzekomej zasadniczej wyższości w innych dziedzinach. *Ze stanowiska zwykłej ludzkiej etyki przeciętny człowiek nie jest moralnie lepszy, jest raczej gorszy od innych zwierząt.*

Niezależnie od tego wszystkiego humanizm jest *a priori* podejrzany. Rzecz w tym, że każdy z nas jest skłonny do pochopnego uznawania za prawdziwe tego, co mu miłe. A miło jest myśleć, że się jest czymś bardzo wielkim i wzniosłym, czyli że humanizm jest prawdą. Nie tylko moja przyjaciółka Fanny (szpetna jak noc) wierzy, że jest ładna, a mój dobry kolega Gaweł, że jest najlepszym pilotem na lotnisku (choć lata jak niedorozwinięty nosorożec): każdy z nas jest taki. A więc tworzymy humanizm. Myślę, że gdyby krokodyle mogły wyrazić swoje uczucia, utworzyłyby na pewno krokodylizm. Jest to jeszcze jeden powód, by takim historyjkom nie wierzyć.

Zbierając razem osiągnięte wyniki, mogę więc, opierając się

na doświadczeniu i rozumowaniu, to jest w ramach wiedzy, powiedzieć, że:

po pierwsze — jestem na pewno i w pełni *zwierzęciem*;

po drugie — jestem bardzo prawdopodobnie tylko *zwierzęciem*;

po trzecie — nie widzę żadnego powodu, by uważać siebie samego, innych ludzi, człowieczeństwo czy gatunek ludzki za coś *ponadprzyrodzonego*, a tym bardziej *świętego*.

Tak więc humanizm naukowy jest fałszem, a nawet sprzecznością, czymś w rodzaju drewnianego żelaza albo kwadratowego koła. Bo nauki zdają się być zgodne w przeczeniu, by ludzie byli czymś zasadniczo różnym od innych zwierząt — a to właśnie twierdzi „naukowy” humanizm. Taki humanizm jest więc, jak powiedziałem we wstępie, zabobonem.

Uwaga marginesowa: pogląd tutaj przedstawiony nie jest materializmem, ale raczej jego odwrotnością. Materializm sprowadza mianowicie człowieka do zwierzęcia, usiłując dowieść, że czynnik specyficznie ludzki, duch, nie istnieje. Natomiast tutaj usiłowano sprowadzić zwierzę do człowieka, bynajmniej nie przecząc istnieniu ducha, ale starając się wykazać, że trochę tego ducha jest i w piesku, i w delfinie.

IV

Z tego, że humanizm zwany „naukowym” jest zabobonem i nie wytrzymuje krytyki nie wynika jeszcze, by *każdy* humanizm był taki. Bo poza naukowym istnieją przynajmniej dwa inne rodzaje humanizmu, a mianowicie humanizm oparty na intuicji i humanizm religijny.

W pierwszym przypadku humanista twierdzi, że ma jakiś bezpośredni wgląd w swoją własną, a tym samym i innych ludzi, wyższość i godność.

Niestety, ja sam tak przyjemnego wglądu nie mam: im bardziej się sobie przypatruję, tym bardziej widzę, że jestem po prostu bardziej rozwiniętym zwierzęciem. Mocno podejrzewam, że położenie innych ludzi, choć lepszych ode mnie, jest podobne. Nie wiem więc, co z takim „intuicyjnym” humanizmem począć.

Drugi rodzaj humanizmu nie-naukowego oparty jest na wierze. Jeśli ktoś wierzy np., że w człowieku jest „obraz Boży”, jak uczy Księga Rodzaju, to jest to jego dobre prawo i nie można tej wiary nazywać zabobonem — ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze, że nie będzie się starał swoich wierzeń podparć nauką, bo takiej podpórki (której poważna wiara zresztą nie potrzebuje) w nauce nie znajdzie. Po drugie, że nie będzie szukał

wyższości człowieka w jego rzekomym rozumie, mowie, samoświadomości, kulturze i tym podobnych — bo zdaje się być rzeczą jasną, że człowiek nie jest pod tymi względami czymś wyjątkowym.

W każdym razie nawet jeśli się przyjmie humanizm typu religijnego, wnioski naturalistyczne pozostają w mocy: że człowiek jest w pełni zwierzęciem, że nie różni się zasadniczo od reszty zwierząt pod żadnym względem, jakkolwiek byłaby jego godność oparta na wierzeniach religijnych. A jeśli tak, wolno wyciągnąć z tych rozważań szereg dość ważnych wniosków.

Niektóre spośród nich należą do filozofii — na przykład, że nie ma zasadniczej różnicy między naukami przyrodniczymi a humanistycznymi, że każda filozofia, która zaczyna od człowieka i jest na ludziach ześrodkowana — tzw. filozofia antropocentryczna — jest kiepską filozofią; że etyka powinna być oparta na prawach biologicznych i tym podobne.

Ważniejsze są wnioski praktyczne, jakie wyciągam dla mojego własnego życia. Aby zacząć od sprawy podstawowej: skoro ani ludzie, ani ludzkość nie są jako żywo niczym świętym, ale po prostu częściami przyrody, trudno zrozumieć, dlaczego miałbym siebie, moje życie itp. poświęcać służbie tym twórcom. Skądinąd naturalistyczny pogląd uniemożliwia także przesadne o mnie samym mniemanie, czyli pychę; a wiemy z doświadczenia, że pycha jest jedną z najszkodliwszych rzeczy dla szczęścia. Ten sam pogląd chroni też od grozy, w której zdaje się żyć tylu współczesnych, bo wydaje im się, iż ich życie zależy od widzimisię więc w gruncie rzeczy nie ma żadnego sensu, podczas gdy mój pogląd temu zaprzecza. Wreszcie ten sam pogląd daje mi klucz do zrozumienia mojego miejsca w świecie — i zarazem klucz do zachowania się, tj. etykę.

Chodzi nie tylko o pogląd praktycznie wartościowy, bo pozwalający na wyciągnięcie dobrych wniosków. Jest on poza tym i przede wszystkim prawdziwy. Ja przynajmniej nie widzę, jak w obecnym stanie ludzkiej wiedzy można by było uznać sprzeczne z nim humanistyczne poglądy.

J. M. BOCHEŃSKI

Podejrzenie

Przyszedł do mnie Kogut, jakiś zmartwiony, ale i podniecony.

— Jest taka sprawa... — zaczął głosem poważnym.

— Ja też myślę, że jest — odparłem. — Ale jaka?

— Zdaje się, że Lis jest Żyd.

Aż mnie zatkało.

— Skąd wiesz? — zapytałem, kiedy mnie odetkało.

— To się wie.

— Ale dlaczego nie wiedziało się wcześniej?

— Bo najpierw się nie wie, a potem się wie. Zawsze tak jest, nigdy na odwrót.

— To co my teraz zrobimy?

— Przede wszystkim nie trzeba, żeby on wiedział, że my wiemy. Wprawdzie on jest Żyd, ale jednak Lis.

— Słusznie, jeszcze by pomyślał, że my jesteśmy antysemitami.

— Niech by tylko spróbował! — wykrzyknął Kogut.

— O czym tak rozmawiacie? — zapytał Lis nadchodząc.

— O tym, że my właściwie bardzo lubimy Żydów — zapiał Kogut.

— Przestań... — szepnąłem. — Teraz mu już dałeś do zrozumienia.

— Dlaczego? — zdziwił się Lis. — Żydzi mają zły charakter i biorą kurczątką na mace.

— Ukrywa się — szepnął do mnie Kogut.

— Właściwie to masz rację — powiedziałem do Lisa. — Żydzi precz do Palestyny!

— Odwrotnie, Żydzi precz z Palestyny! Zapóźniony jesteś, czy co?

— Nie jestem zapóźniony, tylko mi się pomyliło.

— To przez Żydów — powiedział Lis. — Oni zawsze myślą.

— Widzisz jak udaje? — szepnął do mnie Kogut. — Mówi źle o Żydach, żeby odwrócić od siebie podejrzenie. Teraz już nie ma żadnej wątpliwości.

— No, są wyjątki — próbowałem załagodzić, bo mi żal było Lisa. Zawszeć to kolega, choć Żyd. — Niektórzy myślą nie naumyślnie.

— Zwariowałeś? — szepnął do mnie Kogut. — Przecież on naumyślnie nas myli.

— Wszyscy Żydzi myślą naumyślnie, bez wyjątku — stwierdził stanowczo Lis. — Właśnie po tym ich się poznaje.

Zrobiła się cisza. Lis przyznał się. Nie wiadomo, jak teraz zareagować.

— Co tak nic nie mówicie? — zdziwił się Lis. — Bronicie Żydów?

— My? Nie, tylko tak jakoś... — zaplątał się Kogut.

— Chyba będzie padało — próbowałem zmienić temat.

— Co ty mi tu o pogodzie — zdenerwował się Lis. — Kręćcie coś... A może... A może wy sami jesteście, co?

— My?! — krzyknęliśmy chórem.

— To czemu wy jakoś tak dziwnie...

— Chodźmy — powiedziałem do Koguta. — Nie będziemy z nim rozmawiać.

— Słusznie — potwierdził Kogut. — Muszą być jakieś granice.

Odwróciliśmy się i zaczęli oddalać.

— Chwileczkę! — zawołał za nami Lis. — Poczekać! Przecież ja tylko żartowałem!

Ale myśmy odeszli nie odwracając głowy. Co będziemy przedstawiać z tym Żydem.

Stawomir MROŻEK

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie

Obserwatorium

Wybory do Sejmu PRL

Wedle obwieszczenia Państwowej Komisji Wyborczej niemal 79 % uprawnionych do głosowania wzięło 13 października br. udział w wyborach do Sejmu PRL. Rzecznik rządu, mistrz w robieniu dobrej miny do złej gry, oświadczył natychmiast, że władze są bardzo zadowolone z tego wyniku. Skądinąd wiadomo jednak, że tak nie jest i być nie może. Albowiem oficjalne dane o frekwencji wyborczej w PRL porównywać należy nie z danymi dotyczącymi Francji czy Stanów Zjednoczonych, ale z tymi, które ogłasza się w Bułgarii, Czechosłowacji czy Związku Sowieckim, gdzie 99 % uprawnionych do głosowania, jeśli nie więcej, z entuzjazmem spełnia swój „obywatelski obowiązek”. Tak samo było i u nas do 1980 roku włącznie i kierownictwo PZPR dąży do przywrócenia tego stanu rzeczy. 79 % frekwencji wyborczej z oficjalnego komunikatu — to wynik kompromisu między tym dążeniem a dążeniem do zachowania choćby minimum wiarygodności. A 20 % różnicy między tym wskaźnikiem a jedynomyślnością, którą szczył się po każdym wyborach „bratnie partie” — to podana przez samą władzę miara oporu, jaki naród stawia polityce zmierzającej do uczynienia z Polski znormalizowanego kraju „realnego socjalizmu”.

Oporu, którego inną miarą jest liczba więźniów politycznych. 7 października br. było ich 180, w tym — 62 skazanych i 118 „zatrzymanych tymczasowo”. 13 października — w dniu wyborów — więźniów politycznych było łącznie 327; liczba skazanych wzrosła do 69, a „zatrzymanych tymczasowo” do 258. Tak więc, wedle danych rzecznika rządu PRL, bo jego tu cytujemy, w ciągu ostatniego przedwyborczego tygodnia aresztowano 140 osób: 20 dziennie. Jak widać, od strony policyjnej wybory były dobrze zabezpieczone.

Oficjalnie podawana liczba więźniów jest na pewno zaniżona. Natomiast oficjalna liczba głosujących jest z równą pewnością zawyżona. Niemniej przeto geografia polityczna Polski wyłania-

jąca się z obwieszczenia Państwowej Komisji Wyborczej zasługuje na uwagę. W czterech okręgach podaje ono liczbę głosujących niższą niż 70 % uprawnionych. Są to: Gdańsk, Nowa Huta, Łódź Śródmieście i Lublin. W siedmiu okręgach liczba ta zawiera się między 70 % a 75 % (Warszawa Ochota, Łódź Bałuty, Szczecin, Kraków Śródmieście, Gliwice, Praga Południe, Kraków Podgórze). Wreszcie dalsze 22 okręgi znajdują się wprawdzie powyżej 75 %, ale poniżej przeciętnej krajowej, przy czym w ośmiu przypadkach to odchylenie sięga 2,5 % (Warszawa Śródmieście, Bytom, Katowice, Bielsko Biała, Poznań Stare Miasto, Gdynia, Elbląg, Andrychów).

Ważny teraz listę dziesięciu okręgów o najwyższej frekwencji, zawartej między 88,20 % i 83,33 %: Inowrocław, Ciechanów, Leszno, Stargard Szczeciński, Piła, Sieradz, Zamość, Częstochowa, Zielona Góra, Tarnobrzeg. Wniosek nasuwa się natychmiast: *wedle danych oficjalnych, w okręgach miejskich i uprzemysłowionych o wysokim odsetku ludności robotniczej absencja była znacznie większa niż w okręgach mało uprzemysłowionych lub wiejskich, przy czym była ona szczególnie wysoka w tradycyjnych bastionach Solidarności.* Jedynym wyjątkiem od tej reguły jest Wrocław, gdzie przeciętna frekwencja wyniosła 78,62 %.

Ta analiza danych oficjalnych pozwala stwierdzić, że rzecznik rządu PRL mija się z prawdą, gdy głosi, że „bojkot został zbojkotowany”, gdyż „rozmiary absencji nie są tożsame z poparciem dla bojkotu. Z różnych przyczyn mniejszość wyborców nie poszła do urn. Polityczne otumanienie powodowało mniejszością nie głosujących”. *Wszystko świadczy bowiem, że wśród co najmniej 21 %, które nie wzięły udziału w wyborach, tzn. wśród z górą 5 milionów 500 tysięcy osób, przytaczająca większość odpowiedziała na wezwanie Solidarności i dała wyraz swemu poparciwu dla stanowiska TKK.* Gdyby było inaczej, gdyby przyczyny absencji były różnorodne i lokalne, jej mapa byłaby inna, chaotyczna i przypadkowa, i nie pokrywałaby się tak dokładnie z mapą wpływów Solidarności.

O tym, że „bojkot został zbojkotowany” rzecznik rządu PRL wiedział już w niedzielę wieczorem. Ale trzeba było czekać do poniedziałkowego popołudnia, by usłyszeć odeń pierwsze dane liczbowe, zaś ostateczne wyniki ogłoszono dopiero w środę. W roku 1980, gdy w głosowaniu wzięło udział 98,87 % uprawnionych, a Edward Gierek otrzymał 99,97 % głosów, obliczenia nie trwały aż tak długo. Najwidoczniej rozmiary absencji, do których władza była skłonna się przyznać, stanowiły przedmiot dość ożywionej dyskusji.

Na tym tle i zważywszy warunki, w jakich działa, podziemna Solidarność raz jeszcze udowodniła, że jest doskonale zorganizowana i umie być sprawniejsza od instytucji państwowych: już w piątek 18 TKK zdołała zwołać w Warszawie konferencję prasową dla dziennikarzy zagranicznych, w której toku Konrad Bieliński przedstawił wstępne wyniki pracy ekip Solidarności powołanych dla kontrolowania udziału w wyborach. Jego zdaniem głosowało ok. 66 % uprawnionych; wskaźnik ten, obarczony,

jak podkreślił, dość znacznym jeszcze marginesem błędu, będzie korygowany w miarę napływu danych. Już teraz można jednak przyjąć, że liczby ogłoszone przez Państwową Komisję Wyborczą za zawyżone przeciętnie o ok. 10 %, a w pewnych przypadkach może nawet znacznie bardziej, co by tłumaczyło dziwne wyniki Wrocławia.

Ale nawet gdyby się wzięło te liczby z dobrodziejstwem inwentarza, to i tak uzasadniałyby one w pełni stanowisko wyrażone podczas wspomnianej konferencji prasowej przez Zbigniewa Bujaka: *rozmiary poparcia udzielonego Solidarności są tak wielkie, że kwestia istnienia Związku nie może być przedmiotem przetargów*. Znaczący to, że trzeba utrzymać struktury związkowe działające w podziemiu. I że trzeba będzie wszechstronnie przemyśleć strategię i taktykę Związku na najbliższe lata, w szczególności zaś jego działalność w zakładach pracy. Znaczący to wreszcie, że przed polską emigracją polityczną staje jako naczelny obowiązek przyczynienie się do zapewnienia Solidarności długofalowej pomocy politycznej i materialnej ze strony międzynarodowego ruchu związkowego i opinii publicznej krajów demokratycznych.

Nowości wydawnicze

W BIBLIOTECE « KULTURY »

TOM 409 — WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

„PO WYZWOLENIU”... (1944-1956)

Wspomnienia młodej Polki, która po „wyzwoleniu” została zaaresztowana wraz z innymi Akowcami i następnie wywieziona do Związku Sowieckiego gdzie w więzieniu i łagrach przeżyła 12 lat. O cierpieniach Polaków wywiezionych do ZSSR po klęsce wrześniowej ukazały się setki książek i wspomnień, ale nie mieliśmy dotąd świadectwa tych których wywieźli „wyzwoliciele”. Wstrząsające wspomnienia Wiktorii Kraśniewskiej wypełniają tę lukę.

Str. 272.

Cena F. 95,00.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

CIOCIA Z KONTRWYWIADU

„Pograżona w głębokiej żałobie rodzina von Hessen zawiadamia z bólem o śmierci w Penzance, Kornwalia, Timothy'ego, Marka i Jamesa, umiłowanych synów hrabiny Margarity von Hessen i nieboszczyka hrabiego Ryszarda. Pogrzeb odbędzie się w Republice Federalnej, w gronie rodzinnym. Wszystkie wyrazy sympatii prosimy przekazać w postaci daru na rzecz NSPCC (czyli Towarzystwa Przeciwdziałania Okrucieństwu Wobec Dzieci)”.

Nekrolog tej treści ukazał się w *Times*'ie w Londynie 24 sierpnia 1985 roku. Po bliższym zbadaniu okazało się jednak, że:

- w miejscowości Penzance nie zanotowano żadnej, ani potrójnej, ani pojedynczej śmierci umiłowanych synów,
- hrabina Margarita von Hessen und bei Rhein, wdowa po arcyksięciu Hesji Ryszardzie, rzeczywiście istnieje, ma 75 lat, ale żadnego nekrologu do *Times*'a nie dawała,
- tym bardziej nie dawała, że nigdy nie miała dzieci,
- przebywała 24 sierpnia nie w Penzance w Kornwalii, a na zamku Balmoral w Szkocji, na zaproszenie królewskiej rodziny brytyjskiej, z którą jest spowinowacona jeszcze z czasów królowej Wiktorii,
- nekrolog przetelefonowany został do *Times*'a przez pewnego dżentelmena nazwiskiem dr Coleman i opłacony jak najbardziej autentyczną kartą kredytową. Konto jest autentyczne, dr Coleman — po prostu nie istnieje.

Tajemnica nekrologu nie trwała długo. Trudno oczywiście o pewność w tej branży, ale kiedy okazało się, że tuż przed ogłoszeniem nekrologu uciekli do NRD Hans Joachim Tiedge, jeden z szefów kontrwywiadu w Bonn, odpowiedzialny głównie za wyłapywanie szpiegów z... NRD, i kiedy tuż po ogłoszeniu nekrologu uciekli do NRD inni znani i nieznanymi pracownicy administracji w Bonn, fachowcy doszli do wniosku, że nekrolog był szyfrowa-

nym sygnałem dla spalonych szpiegów, rozsianych po wakacyjnym, w tym momencie, świecie: „w domu żałoba, wiać za mur”.

Interpretacja ta nie jest pozbawiona ani wdzięku, ani prawdopodobieństwa. Wokół ucieczki Tiedgego urosła rzeczywistość spora lista „wyjazdów”. Letnia opowieść 1985 snuła się mniej więcej następująco:

3 sierpnia udała się do Brukseli pani Sonia Lueneburg, 60 lat, sekretarka osobista p. Bangemanna, ministra gospodarki RFN. Ale w Brukseli jej nie było. Choć p. Bangemann ogłosił, że szpiegostwo jest wykluczone, Sonia odnalazła się w Berlinie wschodnim. W jej mieszkaniu odnaleziono kompletny i bardzo nowoczesny sprzęt szpiegowski produkcji NRD, opartej na licencji RFN.

17 sierpnia udała się do Hamburga pani Urszula Richter, 52 lata, pracownik sekretariatu generalnego Federacji Uchodźców ze Wschodu. Nie dojechała do Hamburga, dojechała do Berlina wschodniego. W jej mieszkaniu odnaleziono sprzęt szpiegowski itd., oraz dodatkowo numery telefonów biur kryjących w Berlinie wschodnim komórki wywiadu NRD.

19 sierpnia, zbolały rozłąką, znika z Bonn przyjaciel Urszuli, 53-letni Lorentz Betzing, pracownik administracji wojskowej, były funkcjonariusz w tajnym schronie przeciwatomowym, do którego, w razie działań zaczepnych ze Wschodu, miały się schronić i prowadzić wojnę rząd RFN.

25 sierpnia stwierdza się, że nie odpowiada na telefony Eberhard Severin, przyjaciel intymny Reinholda Liebetantza, pracownika kontrwywiadu RFN. Severin jest w NRD. Liebetantz był aresztowany, ale został zwolniony: prawdziwe uczucie nie może być karalne.

17 września stwierdza się w Bonn, że państwo Willner nie powrócili z wakacji. Ogródek niesprzątnięty, żaluzje spuszczone, pełno kurzu na tarasie. Coś w tym być musi. Pani Herta-Astrid Willner była sekretarką w urzędzie kanclerza, a przedtem w ministerstwie obrony, Herbert Willner, dziennikarz, kiedyś w *Spieglu*, pracował w Fundacji politycznej partii liberalnej, członka koalicji rządowej w Bonn. List z Berlina wschodniego wyjaśnił wątpliwości: państwo Willner powrócili z wakacji, ale do siebie, do NRD. Byli w domu po 20-letnim czasowym pobycie w RFN.

Stalingrad w Bonn

Prawdziwy cymes tej letniej kroniki to oczywiście postać i historia Hansa Joachima Tiedge. „Mów mi Heinz” — proponował kumpłom. 48 lat, 125 kg, potrójny podbródek, z wykształcenia prawnik, od sześciu lat odpowiedzialny za wydział IV kontrwywiadu RFN — specjalność NRD; Tiedge, mawiano w Bonn, to prawdziwy as w wykrywaniu wschodnioniemieckich szpiegów rozsianych po RFN. „Gdybyśmy mieli dziesięciu takich Tiedgów, chętni się jego koledzy i szefowie, to nie potrzebowalibyśmy komputerów”. Nic nie mogło zachwiać wysoką opinią, jaką się

Tiedge cieszył w kołach specjalistów od szpiegostwa w Bonn. Ani to, że był to nie zwyczajny, a nadzwyczajny alkoholik. W 1984 roku policja zatrzymała go na szosie przy kierownicy: 3 gramy alkoholu we krwi. Tak, wiemy — mawiano — ale on nigdy nie przychodzi pijany do biura. Ani to, że nie tylko nie opuszczał ani jednego przyjęcia w Bonn, ale urządzał ponadto pyszne *barbecues* i *garden parties* u siebie w ogrodzie. Ani to, że miał ogromne długi (zarabiał 4.500 DM, winien był 250.000), żył ponad stan dzięki zaliczkom w biurze. Ani to, że stał się depresyjny po śmierci — przed trzema laty — swojej żony, której zgon powinien był od razu wzbudzić wątpliwości („upadła” w łazience). Dziś już nie wyklucza się, że Tiedge, który — co nie było tajemnicą — często ją brutalizował, po prostu ją zamordował. Ani to, że Tiedge zabierał do domu tajne *dossiers* i trzymał je u siebie nie wiadomo po co. Teraz już wiadomo.

„To prawdziwy Stalingrad zachodnioniemieckiego kontrwywiadu” — powiedziano w Bonn, kiedy Radio Berlin-wschodni ogłosiło ze źle ukrywanym triumfem, że Tiedge „poprosił o azyl w NRD”. Teraz to NRD nie potrzebuje komputerów. Szkody są ogromne. Według *Bild*’u „Tiedge to największy zdrajca w historii RFN”. Tiedge znał tajemnice funkcjonowania, metody, strategię, logistykę działania kontrwywiadu, nazwiska podwójnych agentów, nasłanych przez NRD ale „odwróconych” przez RFN, znał nazwiska i sytuacje zachodnioniemieckich szpiegów w NRD, czy na Wschodzie w ogóle: 168 wpadek na Wschodzie od początku 1984 roku to robota Tiedgego. „Tajne służby RFN są właściwie sparaliżowane”, powiadają w Bonn. Nie tylko w RFN. Tiedge był rzekomo w posiadaniu informacji przekazywanych przez Francję, Włochy i USA, odnośnie zwalczania agentów KGB, zajmujących się wykradaniem tajemnic, zwłaszcza technologicznych, znał także sposoby penetrowania przez zachodnie wywiady organizacji terrorystycznych, takich jak Rote Armee i Czerwone Brygady.

Najlepiej szpiegować w rodzinie

Nie należy się właściwie dziwić, że Niemiecka Republika Federalna stanowi prawdziwy raj szpiegowski. Najłatwiej wszak szpiegować w rodzinie, a nic przecież nie jest do siebie bardziej podobne niż Niemiec z NRD do Niemca z RFN. Z punktu widzenia służb szpiegowskich NRD, RFN spełnia dwa podstawowe i idealne warunki. Po pierwsze stanowi drugie państwo tego samego narodu; po drugie jest to społeczeństwo otwarte i demokratyczne, łatwe do spenetrowania i infiltrowania, podczas kiedy NRD, państwo za murem, stanowi prawdziwy symbol zamurowania.

W tych warunkach sukcesy wywiadu NRD-owskiego w RFN nie podlegają właściwie normalnej klasyfikacji. W RFN doszło do zupełnie nieprawdopodobnych sytuacji: od Gunthera Guillaume’a, który „pracował” dla NRD w najbliższym otoczeniu

kanclerza Brandta i spowodował jego upadek, aż po Tiedgego, poprzez Ursel Lorentzen, sekretarkę misji RFN przy NATO (oraz „epidemię” około 20 innych sekretarek) poprzez ciągle niejasną sprawę Otto Jahna, szefa wywiadu RFN, który uciekł do NRD, a potem wrócił do Bonn, poprzez Heinza Felfe, szefa kontrwywiadu RFN (specjalność szpiedzy sowieccy), który był stałym pracownikiem KGB, poprzez generała Wendtlanda i admirała Luedke, „którym popełniono samobójstwo” (oba pracowali dla... Czechosłowacji), poprzez inżynierów-spiegów usytuowanych w najbardziej delikatnych ogniwach przemysłu zbrojeniowego i elektronicznego w RFN (niepełna lista odkrytych szpiegów obejmuje firmy Siemens, IBM, BASF, Messerschmidt, AEG, oazy centrum badań nuklearnych w Karlsruhe...) historii zalewu NRD-owskiego szpiegostwa w RFN nie można właściwie nawet napisać, ona się po prostu nigdy nie kończy. I nie skończy, dopóki istnieć będą dwa państwa niemieckie o odmiennych i przeciwstawnych ideologiach, należących do wrogich pod każdym względem sojuszków wojskowo-politycznych.

Nikt nie wie, ilu szpiegów wschodniemieckich działa w RFN. Dopóki nie wpadną, nie można ich odróżnić. Ten sam język, ta sama kultura i historia. A ponadto dostęp Niemca z NRD do RFN jest niczym nie ograniczony: Niemiec z NRD jest uznany za obywatela RFN z chwilą wejścia na terytorium Republiki Federalnej, co tłumaczy między innymi, dlaczego ambasady RFN w Pradze, Warszawie, czy w... Berlinie Wschodnim były przez jakiś czas wyjątkowo wygodną i skuteczną stacją tranzytową na własność. Przed wzniesieniem muru trzy miliony obywateli NRD przeniosło się na Zachód. Mur powstrzymał śmiertelny dla NRD upływ krwi, ale ciągle jeszcze 20.000 rocznie przechodziło, legalnie i nielegalnie, mur i granice. W 1984 roku 40.000 Niemców ze Wschodu przeniosło się do RFN. Dziś oblicza się, że 25 % obywateli RFN ma związki rodzinne z NRD. Wśród tych 25 % figurują liczni członkowie rządu RFN (np. Genscher), oraz elity politycznej w Bonn.

Taki, jedyny w swoim rodzaju układ, ma potrójny skutek. Po pierwsze działa szantaż rodzinny. Bardzo wielu emigrantów pozostawiło na wschodzie najbliższych, a w najbardziej dramatycznych przypadkach nawet dzieci, które zostały dosłownie skonfiskowane przez władze NRD i poddane „socjalistycznej reedukacji”. Takie osoby stanowią łatwy cel szantażu „naganiaczy” z NRD. To zresztą wcale nie jest specjalność niemiecka. KGB już dawno wpadło na ten pomysł w odniesieniu do emigrantów żydowskich czy Niemców nadwożańskich. Z reguły tak rekrutowani „szpiedzy” zgłaszali się od razu do władz w Izraelu i na tym się kończyło, jako że wiedziano, iż podpis pod zgodą na współpracę z KGB był warunkiem otrzymania zgody na emigrację. W przypadku niemieckim chodzi jednak oczywiście o inną skalę i inny wymiar.

Specyfika niemiecka zakłada także jeszcze inny rodzaj szantażu: przeszłość mianowicie. Znane są liczne przypadki, kiedy urzędnicy administracji zachodniemieckiej godzili się na infor-

mowanie KGB czy NRD pod groźbą ujawnienia brunatnych kart z ich działalności w partii hitlerowskiej czy w wojsku i SS. NRD i ZSSR dysponują przebogatymi archiwami, których nigdy nie udostępniły władzom RFN. Tak m.in. zwerbowany został Guillaume, który w wieku lat 17 wpisał się był do nazistów i miał numer 9709880.

No i, żeby przerwać tę szpiegografię RFN, elementem bardzo ułatwiającym penetrację jest wielka liczba agentów NRD w „rezerwie” w RFN. Jest to czynnik zasadniczy. Pozwala on nadrobić szybko straty, wymienić wycofanych, ale przede wszystkim pozwala na „uśpienie” ogromnej „waiting-listy” szpiegów, którzy czekają nieraz bardzo długo na sygnał przejścia do akcji. Guillaume czekał 10 lat, zanim uzyskał w końcu dostęp do dokumentów naprawę ważnych i tajnych i przystąpił do działania. Sonia Lueneburg czekała 3 lata, zanim jej szef nie został ministrem. Wtedy dopiero zaczęła działać.

Najlepiej spytać o Miszkę

Kto tym wszystkim kieruje? Kto to wszystko koordynuje? Gdzie jest mózg koncepcyjny i operacyjny tej kolosalnej akcji kretów, drążących najbardziej życiowe organy zachodniego bezpieczeństwa?

Adres jest znany: Normannenstrasse w Berlinie wschodnim. Najlepiej spytać o Markusa Wolfa, pieszczołliwie zwanego Miszką. Jest to generał policji i wiceminister bezpieczeństwa NRD, twórca koncepcji i szef wschodniemieckiej siatki szpiegowskiej, odpowiedzialny za STASI, tajną służbę Niemiec wschodnich. Liczba pracowników STASI (zorganizowanej jak KGB po wojskowemu) w NRD, RFN i gdzie indziej nie jest naturalnie znana, ale fachowcy zachodni obliczają, że w NRD dysponuje ona 20.000 oficerów, 100.000 informatorów, no i między 20 a 40.000 szpiegów w akcji lub w uśpieniu w RFN.

Markus Wolf, urodzony w 1923 roku, jest synem lekarza ze Stuttgartu, bardziej znanego jako działacz komunistyczny i... dramatopisarz. Rodzina Wolfów opuściła Niemcy z przyjściem Hitlera i wylądowała ostatecznie w 1935 roku w Moskwie, gdzie Markus, już jako Misza, kończy szkołę Kominternu. Nie znamy losów rodziny, ale Misza wraca do Berlina w 1945 roku w mundurze sowieckim. Najpierw dziennikarz pod pseudonimem Michał Storm, Wolf, już pod własnym nazwiskiem, zostaje w wieku 29 lat zastępcą szefa wydziału szpiegowskiego ministerstwa bezpieczeństwa. Już stamtąd nie wyjdzie. Dziś ma 62 lata i jest dziekanem szefów szpiegów na całym świecie. Dziekanem i mistrzem. Wolf był ulubionym uczniem i faworytem Andropowa, szefa KGB, któremu oddał ogromne usługi. Wolf potrafił wzbogacić i przystosować do warunków niemieckich, zeuropeizować i „ucywilizować” podstawowe zasady działania przodującego wywiadu sowieckiego.

Kilka elementów a-historycznych tłumaczy stałość zaopatrze-

nia w kadry. Dwa pierwsze są natury materialnej. Z jednej strony agent jest stale opłacany, niezależnie od tego czy jest w akcji, w stanie „uspienia” w oczekiwaniu na sygnał, czy też po prostu w więzieniu. Z drugiej strony po wyspie ma zapewniony wygodny byt na całą resztę życia, aktywnego lub w ogródku. Można się tylko domyślać zasad rozliczenia w tej dyskretnej dziedzinie, ale wiadomo, że szpiegdy po powrocie z zagranicy korzystali z naprawdę złotej emerytury czy też pensji, jeżeli byli jeszcze w stanie „urzędować”. „Nasz człowiek” z Kalifornii, „kupiec” kapt. Zacharski, jedyny szpieg skazany w USA na dożywocie, został przyjęty, po wymianie na majora Pawłowskiego, jak bohater i nadal pracuje, chyba po awansie, na pewno w wywiadzie. Rudolf Abel, as KGB, po wymianie na pilota U-2 Powersa, żyje czy żył (nie wiem) w absolutnym luksusie. Tiedge mieszka podobno w willi pod Berlinem, nie brak mu niczego, kobiet, szampana, kawioru...

Ale przede wszystkim szpieg wschodnioniemiecki, sowiecki, albo inny ze wschodu, ma właściwie pewność — na tyle na ile to jest możliwe — że nie zostanie zapomniany i że się w końcu wydostanie. Zacharski czekał pięć lat, Guillaume siedem, ale w końcu się doczekali. Aby w ostatniej wymianie odzyskać Zacharskiego i trzech innych szpiegów, ZSSR, Polska i NRD oddali 25 więźniów, autentycznych szpiegów czy po prostu osoby uskładane specjalnie w celu ewentualnej wymiany. Nawiasem mówiąc, sprawa Pawłowskiego, mistrza olimpijskiego w szabli, byłego idola Polski Ludowej, jest dwuznaczna, a być może jest i dramatyczna i skandaliczna. Po zaakceptowaniu wymiany czterech z Zachodu (w tym Zacharski) na 25 ze Wschodu (w tym Pawłowski), okazało się, że były mistrz „zmienił zdanie” już prawie na moście w Berlinie i „postanowił” zostać, jako ułaskawiony, w Polsce?!

Mimo gorących starań nie udało mi się poznać okoliczności tej „wymiany”: sprawa, jak często w tym świecie cieni, ciągle nie jest jasna. Ogólnie biorąc, mechanizm wymiany wszedł do katalogu normalnych zwyczajów międzynarodowych. Kiedy w sierpniu 1985 skazany został na trzy lata w Kolonii niejaki Ziemiakow, „inżynier” z misji handlowej ZSSR, od razu wpłynęło dyskretne zapytanie z Moskwy, czy RFN skłonna byłaby dokonać pewnej transakcji. Kiedy w Bonn odpowiedziano, że trudno mówić o wymianie, jako że żaden obywatel zachodnioniemiecki nie siedzi aktualnie w sowieckim więzieniu, Moskwa odpowiedziała: „Niczewo, w NRD jest ich dosyć, towarzysze pomogą”. Są już nawet specjaliści do handlu żywym i tajnym towarem. Jest to temat oddzielny, warto jedynie wymienić przyjaciela Markusa Wolfa i jego człowieka od zadań specjalnych: wschodnioniemiecki adwokat Wolfgang Vogel załatwia z ramienia całego Wschodu wszystkie poważniejsze transakcje o ludzkiej twarzy.

Choć RFN stanowi prawdziwy, jak się rzekło, raj szpiegowski na ziemi, Niemcy nie mają monopolu na wojnę cieni. Żaden kraj nie stanowi tabu, wszędzie operują tajni agenci. Jeżeli chodzi o obóz socjalizmu, to światowa sieć szpiegowska stanowi praw-

dopodobnie, poza policją polityczną, najsprawniej zintegrowaną instytucję bloku wschodniego. Zacharski był obywatelem polskim, ale faktycznie agentem Moskwy, to Rosjanie zapłacili 110.000 dolarów za tajemnice radarowe i raketowe wykradzione w Hughes Air Corp.

Stany Zjednoczone mają swoją sagę rodziny Walkerów. Trzech braci Walker oraz przyjaciel rodziny Withworth sprzedawali przez kilkanaście lat Rosji tajemnice systemu łączności floty USA, głównie podwodnej. Wyroki będą wysokie, ale nie zmienia to faktu, że akcja rodziny Walker trwała przez ponad 10 lat, że chodzi o ogromną aferę szpiegowską, której fachowcy nie wahają się porównać do wykradzenia w latach 50-tych szczegółów programu Manhattan, czyli tajemnic atomowych USA. Nie ma co się gubić w szczegółach. USA to ogromny kraj i 270 milionów ludzi; CIA doliczyła się oficjalnie 300 lipnych firm wykradających dla ZSSR tajemnice amerykańskiej technologii (pisaliśmy już o tym w *Kulturze*). Ilu Amerykanów współpracuje w tej gigantycznej kradzieży? Ilu wie, że pomaga szpiegom? W Los Angeles odbył się właśnie pierwszy proces agenta FBI oskarżonego o szpiegostwo. James Miller, 48 lat, został uwiedziony przez Świetlanę Ogorodnikow, przepiękną blond-sex-bombę, lat 35, oficjalnie wraz z mężem na politycznym azylu w USA, faktycznie też z mężem w misji KGB. Brzmi to jak w bajce dla dzieci, albo w złym James Bondzie, ale robak jest już w jabłku, czyli w FBI.

Kanada ma swojego prof. Hambletona, jedyne rzekomo szpiega zachodniego, który rozmawiał osobiście z Andropowem. Szwajcaria miała swojego generała Jeanmaire, Norwegia — Arne Treholda, skazanego na 20 lat, byłego dyplomatę i wysokiego urzędnika MSZ. Sowiecki Trehold byłby oczywiście skazany na śmierć i rozstrzelany. W Norwegii Trehold otrzymał nagrodę literacką za sprawozdanie z przesłuchań. Manuskrypt przemycił z więzienia jego adwokat, wyda największy wydawca norweski Cappelen, a po nagrodę, jako że Trehold nie może jej na razie odebrać osobiście, stawi się jego ojciec, były minister rolnictwa w rządzie norweskim.

Pełniejszej listy nie ma sensu ani możliwości (nikt nie zna prawdy) odtwarzać. Żaden kraj nie uniknął kreciej rdzy, niektóre kraje, albo w niektórych przypadkach, zachowują dyskrecję czy tajemnicę, jak np. Belgia, która te sprawy, a ma ich sporo (EWG, NATO), załatwia bez szumu, a przede wszystkim, jeżeli jest to możliwe, bez prasy.

Ważniejsza niż spis spalonych szpiegów jest próba przyjrzenia się niektórym aspektom bezradności demokracji w walce ze szpiegowską zarazą. Tutaj także Niemcy, choć w bardzo specyficznej sytuacji, nie mają monopolu.

Krótki kurs FBI

Oto np. amerykańska super-potęga, główny obiekt pożądania tajnych agentów Moskwy. Zbrojne ramię USA do walki ze szpie-

gami to FBI, która ma monopol na akcję wewnątrz USA, jako że CIA musi się ograniczać do akcji poza granicami kraju. Według statystyk FBI (na tyle, na ile są one dostępne) w USA przebywa normalnie około 2.600 obywateli ZSSR w misji oficjalnej. Z tego — ciągle według jawnych, a moim zdaniem naiwnych kalkulacji FBI — połowa to szpiegów. Do tego należy oczywiście dopisać szpiegów nielegalnie przebywających w USA, no i legalnych i nielegalnych agentów innych państw bloku komunistycznego. Według *New York Times'a* FBI dzieli agentów ze wschodu na pięć kategorii.

Pierwsza obejmuje szpiegów „niewątpliwych”, większość z nich to dyplomaci i dziennikarze sowieccy i KDL'owscy. Tych szpiegów „na 100 %” FBI śledzi przez 24 godziny. Liczba „pewniaków” urosła według FBI w ciągu ostatnich lat czterokrotnie.

Druga kategoria, to „podejrzani” o szpiegostwo, tacy poważnie dyplomaci wschodni, co do których FBI nie jest pewna, ale których uważa za łatwo mogących ulec szantażowi ich własnych wywiadów, KGB czy SB uzależniają bowiem karierę dyplomatów czy dziennikarzy od współpracy z nimi. Tych tylko „podejrzanych” FBI już nie poddaje stałej inwigilacji.

Trzecia kategoria, to tacy przedstawiciele ZSSR (PRL itd.), co do których FBI nie ma dowodu ani podejrzenia o szpiegostwo. Czwarta grupa, to obywatele ZSSR (PRL itd.) bez oficjalnego i jasnego powiązania z rządami wschodnimi, tak jak np. uczeni na wymianie, stypendyści itp. Tacy goście nie są w ogóle godni zainteresowania FBI.

Piąta kategoria, to nielegalni szpiegowie. Chodzi tu o osoby, które przedostały się nielegalnie do USA, uchodzą za Amerykanów, jak np. Rudolf Abel, i o których FBI nic nie wie. To samo dotyczy uchodźców politycznych czy emigrantów w ogóle. Nikt właściwie nie może sprawdzić sytuacji w tych środowiskach. Aż do wyspy oczywiście, ale wtedy jest już za późno.

Otóż, nawet jeżeli uznać, że statystyka i logika FBI jest prawdziwa (moim zdaniem nie jest), jeżeli uznać, że tylko połowa dyplomatów czy dziennikarzy itp. szpieguje, to i tak sytuacja jest śmieszna albo tragiczna — zależnie od punktu widzenia — ale przede wszystkim bardzo niepokojąca.

Według zgodnej opinii fachowców, jakość sowieckiego wywiadu bardzo się podniosła w ciągu ostatnich kilku lat. Czas kiedy James Bonda z Moskwy poznawał się po akcencie, kroju garnituru czy modelu obuwia bezpowrotnie minął. Kiedyś agenci KGB działali w obrębie kilku wielkich miast — Nowy Jork, Waszyngton, San Francisco — dziś działają na całym obszarze USA. Kiedyś wszystkim kierowała rezydentura KGB w ambasadzie ZSSR w Waszyngtonie, dziś jest to instytucja zdecentralizowana, ale przede wszystkim „nieoficjalni”, „nielegalni”, działają na znakomitych paszportach czy dokumentach bez żadnego kontaktu z ambasadą.

No i wreszcie kolosalna przewaga ZSSR polega także na głębokim spenetrowaniu instytucji międzynarodowych, takich jak

ONZ w Nowym Jorku. FBI tutaj także liczy delikatnie, z umiarem. Według FBI tylko co trzeci sowiecki urzędnik ONZ jest szpiegiem, choć wiadomo, że prawie wszyscy pracują na dwóch etatach, pośrednio lub bezpośrednio. Jest to sytuacja wyjątkowa, bez precedensu, a przede wszystkim bez ekwiwalentu. W Moskwie przebywa około 200 dyplomatów amerykańskich, w USA dyplomatów sowieckich jest ok. 900, w tym setki chronionych przez statut urzędników ONZ.

Tak więc, według źródeł amerykańskich, liczba szpiegów, którzy powinni podlegać stałej inwigilacji, sięga na pewno liczby ok. 1.500 i jest to rachunek skromny, dotyczący wyłącznie ludzi sowieckich. Po to — ciągle według tego samego źródła — aby móc przez 24 godziny nie spuścić z oka jednego agenta, FBI musi dysponować czterema kontr-agentami. Tymczasem do „obsługi” sowieców FBI ma takich kontr-agentów... 300 do 400. Reszta jest milczeniem.

Walker byłby pracował dla Rosji przez dalszych 20 lat, gdyby go nie wyspała zazdrosna żona. Ilu jest Walkerów w USA, których żony nie są zazdrosne? Jedyne naprawdę skuteczne antidotum na rdzę sowiecką polega wyłącznie na spenetrowaniu sowieckiego *establishment'u* szpiegowskiego w Moskwie i na Zachodzie. „Ale, jak powiada ze smutkiem p. Cowley z FBI, to jest bardzo trudne. Rosjanie żyją w zamkniętych kompleksach, prawdziwych fortecach, a kiedy wychodzą do supermarketu, to idą tam w grupach, pod kontrolą i opieką KGB-istów”.

No to jaki z tego wniosek? Zlikwidować FBI? Na szczęście są uciekinierzy. Wszystko jedno z jakich powodów uciekli i wybrali Zachód: seks, pieniądze, ideologia, to oni ratują nas przed śmiercią z naiwności, głupoty czy zdrady. Nie trzeba przecież przypominać, co zrobili dla dynamiki i logiki walki z systemem komunistycznym w ogóle, a z jego szpiegostwem w szczególności, tacy ludzie jak uciekinierzy z Polski — Światło, Tykociński czy Monat, rumuński generał Pacepa, a przede wszystkim imponujący korowód sowiecki: zlekceważony Krawczenko czy Guzenko, który otworzył oczy na atomowe szpiegostwo, no i potem już nie lekceważeni Szewczenko, były zastępca sekretarza generalnego ONZ, Lewczenko, były „dziennikarz”, a faktycznie jeden z szefów KGB w Tokio, Hermann, „nielegalny” w USA, Lialin, który wyspał w 1971 roku siatkę w Anglii, „nieznany żołnierz”, który wydał w 1983 siatkę we Francji, a przede wszystkim ostatnie trio: Oleg Gordiewski, którego historia, jako podwójnego agenta, zasługuje na prawdziwy epos, gdyby naturalnie Intelligence Service pozwolił na dostęp do niego, Sergiusz Bokan z ambasady ZSSR w Atenach, który potwierdził, że nawet tak zaprzyjaźniona Grecja nie jest wolna od kretów z Moskwy, i najświeższy — ale chyba też i najciekawszy — Witali Jurczenko, którego Amerykanie nieoficjalnie (nie wiem jak oni to wykalkulowali) sytuują na piątym miejscu centralnej drabiny KGB i który już wydał dwóch kretów z... CIA!!!

Może to być prawdziwa „złota seria”, jeżeli oczywiście nie kryje się za tym podwójna gra. Na Kremlu już dawno przecież

została zrealizowana całkowita osmoza między szpiegostwem a polityką, a zwłaszcza dyplomacją. Jeżeli więc to naprawdę ważni ludzie z KGB wybrali wolność, to Zachód, jeżeli nie przegapi okazji, może bardzo wiele dowiedzieć się nie tylko o siatkach szpiegowskich, ale i o tym jak przebiega tzw. proces podejmowania decyzji politycznej na samym Kremlu.

Tak więc, jak powiedziałem, na szczęście mimo „palmaresu” RFN, ruch szpiegów nie jest jednokierunkowy.

Cela étant, aktualny stan rzeczy nie powinien powodować zawrotu głowy od sukcesu. Powinien natomiast skłonić do zadumy.

Od Mojżesza

Otóż, po pierwsze, szpiegostwo to jest bardzo normalna rzecz. Można powiedzieć, że nikt bez szpiegów obejść się nie może. Jakiś idiota powiedział o boksie, że to szlachetna sztuka samoobrony. Szpiegostwo, to dziś nauka i sztuka — jeżeli we właściwych proporcjach — właśnie prawdziwej samoobrony. I bywa szlachetna. Kiedy w roku 1450 przed Chrystusem Mojżesz „zgodnie z poleceniem Najwyższego” wysłał 12 szpiegów do krainy Kanaan, zanim zdecydował się był wysłać tam swój naród, działał roztropnie, zgodnie z poleceniem i rozumem. Dalila, oprócz innych charakterystyk, leżała obok Samsona także w charakterze szpiega. Cezar, Napoleon (Fouché) — żeby już nie wspominać o tych co w międzyczasie — w dużym stopniu zawdzięczali swe sukcesy właśnie prawidłowo prowadzonemu rozpoznaniu intencji i siły przeciwnika. O Ochronie carskiej nie trzeba wspominać: do szpiegostwa klasycznego dopisała nowe rozdziały dezinformacyjne (Protokoły Mędrców Syjonu) lub prowokacyjne. Nowoczesną sztukę i naukę szpiegostwa stworzyli oczywiście Niemcy, a zwłaszcza niejaki William Stieber, poprzednik Miszki Markusa, w czasie wojny z Francuzami w roku 1870-1871.

Dziś nikt już nie wątpi, że — jak mawiał Publius Syrius, w czasach antycznych jeszcze — „jeżeli chce się wygrać wojnę bardzo szybko, to należy ją bardzo powoli przygotowywać”. Jest to założenie jeszcze bardziej słuszne, jeżeli chce się wojnę wygrać bez robienia wojny, co właśnie leży u podłoża doktryny sowieckiej, stanowi tajemnicę sukcesów ZSSR i jego przewagi w dziele „powolnego przygotowywania wojny”.

Historia szpiegostwa jest dość dokładnie znana i opracowana, bibliografia, jak się uczenie mówi, przedmiotu, jest bardzo obfita. Natomiast filozofia polityczna szpiegostwa stanowi ugór, który czeka na przeoranie. Ktoś to kiedyś zrobi, dziś tylko szkic szybki i amatorski, i to tylko w kontekście amerykańsko-sowieckiej wojny cieni.

Pierwszy aspekt jest — nie boję się użyć tego słowa — moralny. Na Zachodzie być szpiegiem w służbie własnego państwa, to po prostu wstyd. „Dżentelmen nie czyta cudzych listów”, powiedział chyba Roosevelt, kiedy mu zaproponowano organizację służby szpiegowskiej czy kontrwywiadu. Ten pogląd właściwie się nie zmienił, własnych szpiegów do salonów nie powinno się

wpuszczać. Działalność szpiegowską uznaje się już dziś za coś nieodzownego dla bezpieczeństwa państwa, ale moralnie bardzo podejrzanego. James Bond, sympatyczny i odważny dziwkarz, nie potrafił w tej dziedzinie dokonać przełomu. Można podziwiać jego naiwne sukcesy zwłaszcza seksualne (dziewczeta są zawsze pierwsza klasa, szpiegdy sowieccy przeważnie zdegenerowani idioci), ale do służby, którą reprezentuje, obywatele demokracji zaufania nie mają. Pentagon wydał właśnie (koniec września 1985) fascynujące opracowanie na temat wykradania przez ZSSR technologii amerykańskiej. Jest to naukowe i bardzo szczegółowe obliczenie kto, jak, w jaki sposób, za ile, ukradł, wykradł, przemycił z USA do ZSSR i w jakim celu. Warstwa przygodowa raportu nie jest rewelacyjna, dziennikarze już się tym zajmowali w bardziej interesujący i przejrzysty sposób (patrz m.in. *Kultura* nr 4/85 „Główka pracuje”). Ale obliczenia i szczegóły przytoczone przez Pentagon są absolutnie przerażające. A jakie było główne pytanie dziennikarzy na konferencji prasowej, na której Caspar Weinberger prezentował swój raport? „Czy czasem ten raport nie został zredagowany przez CIA lub FBI?”. Nawet Weinberger nie odważył się odpowiedzieć wprost. Ja jednak, chociaż mogę się tylko domyślać, odpowiem: oczywiście, że przez CIA i FBI. A kto miał to redagować? Czerwony Krzyż, Sodaliczja Mariańska, agencja Nowosti?

A jak jest na Wschodzie? A, tam „organy” to poważna sprawa. Czekista to zaszczyt, nie mówiąc już o przywilejach. Zapity Philby czy Rudolf Abel to bohaterzy narodowi, rozmaite groteskowe „kapitany” po powrocie z „misji” do Radia Wolnej Europy nie schodzili z ekranów TV, wydawali w ogromnych nakładach ogłupiające knoty, o Zacharskim była już mowa. Kiedy trzeba było zneutralizować naród sowiecki, sfrustrowany bojkotem olimpiady w Los Angeles i pozbawiony największego widowiska w historii sportu, Biuro Polityczne miało w zanadrzu broń absolutną: telewizyjny felieton o sowieckim Bondzie nazwiskiem Sławin. Mniejsza o jego przygody, konwencja ta sama, wykonanie nieco słabsze, no i panie absolutnie nie do porównania, ważne, że uznano, iż pokazanie pierwszy raz w historii akcji KGB poza granicami ZSSR może uśmierzyć nostalgię sowieckich telewidzów. W skrócie i w konkluzji, były szpieg idzie na Zachodzie w niepamięć. Szpieg Sorge ma w ZSSR operę i pomnik.

Drugi aspekt jest taktyczny. Wywiady wszystkich krajów wschodnich działają zgodnie, pod kontrolą i w zasadzie na polecenie Moskwy. Wszystko jest skoordynowane, rezultaty są najpierw analizowane w Moskwie, a dopiero odpady zupełnie specyficznie „narodowe” polskie czy czeskie idą do Warszawy czy Pragi. Stąd ogromne, niemożliwe do uzyskania w innych warunkach, korzyści ZSSR z pracy szpiegów wschodniemieckich w RFN, rumuńskich, czeskich czy polskich, m.in. wśród ich etnicznych środowisk w diasporze. Oczywiście, mokra robota idzie w zasadzie na konto narodowe: dziennikarz-uciekinię Markow zginął od „parasola bułgarskiego”, pisarz i dziennikarz uciekinię Tanase miał zginąć od trucizny rumuńskiego szpiega itd. Ale,

jeżeli chodzi o sprawy poważne, np. technologiczne, to niezależnie od „autora” wynik idzie do moskiewskiej kasy. Zacharski przekupił Williama Bella i wysłał go do Warszawy z dokumentami radarowych tajemnic Hughes Air Corp., ale w stolicy Polski w odizolowanej willi „dokumentacja” Bella została oceniona i opłacona (110.000 dolarów gotówką) przez wieloosobową ekipę z Moskwy. Rewelacje Pacey potwierdzają tę zasadę na znacznie większą naturalnie skalę.

No i *Bulgarian connection!* Nawet jeżeli roli Bułgarów w zamachu na Papieża (psychopata Agęca wszystko poplątał), nie da się udowodnić, to w każdym razie nie ulega kwestii rola wywiadu bułgarskiego w przemyśle narkotyków z Bliskiego Wschodu na zachód Europy i broni — do Turcji i dla Palestyńczyków. Czyżby sielska Bułgaria miała jakiś „narodowy” cel w zatrucaniu zachodnioeuropejskiej młodzieży lub destabilizacji Turcji i Bliskiego Wschodu? A może interes jest rosyjski?

A na Zachodzie? Wywiady nie tylko nie współpracują, ale się zwalczają. Nic na ten temat nie wiem, ale czytam gazety. Już żeby się nie cofać za daleko, wymieńmy tylko tragicomiczną sprawę *underwatergate*, czyli zatopienia w porcie Auckland przez francuską tajną służbę statku organizacji ekologicznej Greenpeace. Osobiście myślałem, że to zrobili albo przynajmniej inspirowali Rosjanie, tak wielka była kompromitacja francuskiej demokracji. A jaka była pierwsza koncepcja we Francji? A no, że zrobili to na pewno Anglicy. Zrobili to, a raczej absolutnie spartolili, sami Francuzi, o czym dowiedzieliśmy się, trzeba tu jej oddać hołd, dzięki prasie francuskiej.

Statków Greenpeace, ani żadnych innych w czasie pokoju, nie należy w ogóle topić. Nie lubię gwałtu wobec ekologów, ani wobec nikogo w ogóle. Ale wyobraźmy sobie, że jakiś statek, którego zatopienie zostało zdecydowane w Moskwie, zawija do portu w Warnie. Bułgarzy statek topią, nie w porcie naturalnie, a tuż po jego wyjściu poza wody terytorialne (miny z opóźnionym zapłonem) i jest po wszystkim. Na świecie krzyk jest okropny, ale czy zachodzi jakiś konflikt między wywiadami i rządami zaprzyjaźnionych i sojuszników ZSSR i Bułgarii? A co zaszło po zatopieniu statku Greenpeace? Pokłócili się wszyscy, a przede wszystkim zaprzyjaźniona Francja z zaprzyjaźnioną Nową Zelandią.

Współpraca tajnych służb w Pakcie Warszawskim funkcjonuje jak w zegarku, na Zachodzie jest o nią trudniej nawet niż w COCOM-ie, który układa listy towarów pod embargiem w eksporcie na wschód. „Tajna służba powinna być tajna”, powiedział gen. Marshall. Zachodnia tajna służba jest tajna przede wszystkim dla Zachodu. Na Wschodzie wiedzą o niej znacznie więcej.

No i ostatni i bardzo krótko sformułowany czynnik z tej niefachowo zestawionej listy. Na Zachodzie — szpiegostwo nie jest celem samym w sobie, stanowi konieczny ale wyłącznie uzupełniający element dyplomacji i wojskowości, pozostając, w sensie koncepcyjnym i operacyjnym, pod stałą kontrolą polityczną. Na tym, m.in., polega demokracja. Mimo całej swojej śmieszności,

afera Greenpeace właśnie o tym świadczy. I tak, w granicach rozumu, być powinno.

Na Wschodzie szpiegostwo jest takie, jakie jest państwo i reżim. Dlatego tajna policja jest ponad państwem w ZSSR i w sowieckich ambasadach za granicą. Nie stanowi uzupełnienia dyplomacji, jest ponad nią, a właściwie jest nią. Czegoś takiego Zachód zrozumieć nie może. A na tym właśnie polega istota działania państwa sowieckiego i istota nieporozumienia Wschód-Zachód w ogóle, a w dziedzinie szpiegostwa w szczególności.

Ze szpiegostwem jest jak z terroryzmem (patrz *Kultura* nr 9/1985). Zachód niezupełnie rozumie istotę zjawiska, jego prawdziwy wymiar i rolę w starciu demokracji i totalitaryzmu, w globalnym rachunku sił na świecie. Obecnie rachunek ten, w tej dziedzinie, tak jak w dziedzinie terroryzmu, kształtuje się dla Zachodu niekorzystnie. No — pytam znowu — co robić? Powieść się? Poddać?

Kilka przykazań

A może można tego uniknąć? W jaki sposób? Trzeba spytać fachowców, ja mogę skreślić tylko kilka uwag opartych na czytaniu prasy i śledzeniu rzeczywistości. Oto więc kilka przykazań na pozór ewidentnych.

1) Nie podskakuj. Zanim się podejmie kroki w walce ze szpiegostwem sowieckim, należy dobrze rozeznaczyć teren. Pani Thatcher, kobieta rozumna, popełniła błąd w starciu z Gorbaczowem. Urok jej byłego gościa z Londynu prysnął, lekcja pozostała. „Gorbaczow, powiedział ktoś zdumionym Anglikom, nie zna się na precedensach”. Sprawa wybuchła, kiedy w odpowiedzi na wydalenie 31 szpiegów sowieckich, sypniętych przez zbiega Gordiewskiego, szefa rezydentury KGB w Londynie, Gorbaczow wyrzucił 31, prawdopodobnie Bogu ducha winnych, Anglików z Moskwy, takich np. „szpiegów” jak znany Polakom Tim Sebastian z BBC. Zdumienie Anglików było na pozór uzasadnione: po raz pierwszy Moskwa wyrzuciła szybko, a przede wszystkim dokładnie taką samą liczbę obcych dyplomatów i dziennikarzy co obcy — ich szpiegów. Po 105 sowiecach wyrzuconych w 1971 roku Breżniew odesłał tylko 18 Anglików, po 47 wyrzuconych z Paryża w 1983 roku Andropow nie odesłał ani jednego Francuza.

Ale przyszło nowe. Gorbaczow nie mógł puścić płazem afertonu. Za krótko jest na Kremlu, musiał — co było do przewidzenia — pokazać pięść. Pani Thatcher powinna była to przewidzieć i mieć w zanadrzu dodatkową ripostę, wycofanie ambasadora np. czy ekspulsję do finiszu. Nie miała i tuż przed wizytą w Paryżu i summitem w Genewie ofiarowała Gorbaczowowi, przy stanie 31 do 31, zachodnią kapitulację. A nawet znacznie więcej — zalegalizowała sowieckie szpiegostwo. Teraz bowiem każdy kraj,

zwłaszcza mały lub średni, będzie musiał się głęboko zastanowić, zanim postanowi wyrzucić sowieckiego szpiega: stan liczbowy ambasad zachodnich w Moskwie jest co najmniej dwukrotnie niższy od składu ambasad sowieckich na Zachodzie. Jeżeli uznać, że istnieje już „doktryna Gorbaczowa”, oko za oko, jeden za jeden, to zachodzi ryzyko, że ambasady zachodnie w Moskwie się szybko wyludnią. A tego normalny kraj będzie chciał uniknąć, nawet za cenę tolerowania szpiegów.

2) Nie udawaj, że nic się nie stało. Najgorszy przykład tego jak się postępować nie powinno, dał — to nie niespodzianka — laureat nagrody Nobla Willy Brandt. Tuż po wykryciu skandalu Tiedge Brandt udał się *ausgerechnet* do Berlina wschodniego. Była to pierwsza podróż Brandta do NRD od chwili, kiedy w 1974 roku musiał ustąpić z kanclerstwa po wykryciu skandalu z Guillaumem. Szefem całego szpiegostwa wschodnioniemieckiego był wtedy Honecker, który uplasował Guillaume'a w gabinecie Brandta, ten sam który dziś jest szefem partii i gospodarzem Brandta.

3) Nie zacieraj. Są różnice między szpiegami. Nie zamykajmy oczu: zachodzi zasadnicza różnica między szpiegiem, który zagraża mojemu bezpieczeństwu, a szpiegiem, który mnie broni. Jest różnica między wywiadem, który popiera walkę Afganów, a wywiadem, który stara się ich zniszczyć. Jest różnica między FBI, która stara się przeszkodzić wykradzeniu tajemnicy radaru czy systemu kierującego raketami, a KGB, który stara się je wykraść. Szpiegostwo jest istotnym czynnikiem starcia między demokracją a totalitaryzmem. Nie należy szans demokracji oślabiać. USA jeszcze do dziś nie doszły do siebie po rozbiciu CIA za prezydentury Cartera: wystarczy przestudiować sprawozdania Pentagonu z zaboru przez ZSSR technologii wojskowej.

4) Nie lekceważyc przeciwnika. Powiedzkonko jest znane: ach, co tam są oni wariaci, takie ich szpiegostwo, jak poziom techniczny ich społeczeństwa w ogóle. Nieprawda: na wojsko i na policję środki zawsze będą. Kiedy sputnik leciał w kosmos, klozety w Moskwie nie działały, mąka na chleb szła z USA, wołowina i masło z EWG. Komputerów w cywilnym ZSSR nie ma, ale w wywiadzie są.

5) Nie pomagać przeciwnikowi. 14.000 przedsiębiorstw amerykańskich wykonuje zamówienia Pentagonu. 4,5 miliona osób ma tzw. *security clearance*, to znaczy dostęp do tajemnic wojskowych. Według pewnego fachowca „dziś łatwiej jest wykraść tajemnice wojskowe w wielkich zakładach, niż mały chleb w supermarkecie”. Nie ma właściwie jeszcze ustawy o ochronie tajemnicy ani w zakładach, ani — ale to temat obszerny — w publikacjach naukowych czy w czasie konferencji naukowych. Wymiana naukowa ze Wschodem to także oddzielny temat, zwłaszcza te „złe maniery” sowieców, polegające na manipulacji listy

uczestników, z której w ostatniej chwili znika jakiś autentyczny naukowiec, a zjawia się „naukowiec” z KGB.

6) Nie pobłażać. W USA nie ma kary śmierci (jest dopiero projekt) za szpiegostwo, ale nawet bez propagowania środków ostatecznych trzeba stwierdzić, że wyroki jakie przeważnie zapadają na Zachodzie są po prostu śmiesznie nieproporcjonalne i do stopnia szkody i w porównaniu z karami na Wschodzie. Nie ma norm postępowania między sojusznikami. Bruchhausen, nr 2 na liście „techno-bandytów”, to znaczy paserów technologii z USA do ZSSR, został aresztowany w Anglii, ale (w chwili pisania tych słów) nie wydany Amerykanom. Najważniejsza sprawa tkwi jednak nie w wymiarze sprawiedliwości, a w nierówności szans. W ambasadzie amerykańskiej w Moskwie pracuje ok. 200 pracowników rosyjskich: sprzątaczkę, szoferzy, inne funkcje pomocnicze. Są to wszystko funkcjonariusze organów naturalnie, to oni m.in. są odpowiedzialni za takie zmajersterkowanie maszyn do pisania, że listy pisane do Białego Domu trafiały równocześnie na Kreml. Donieśli o tym zresztą dopiero Francuzi, którzy zwerbowali „kreta” w KGB. Nie trzeba nawet dodawać, że nie ma ani jednego pracownika nie sowieckiego w ambasadzie ZSSR w Waszyngtonie.

Departament Stanu nosi się, ze względów oszczędnościowych, z zamiarem zredukowania tylko do połowy nie-amerykańskiego personelu ambasady w Moskwie. W ten sposób pozostaną w pracy tylko najlepsi KGB-iści, m.in. szofer ambasadora, co do którego oficjalnie wiadomo, a doniósł o tym *New York Times*, że jest pułkownikiem KGB.

To samo dotyczy budynku ambasady sowieckiej w Waszyngtonie. To cała epopeja. Został on wzniesiony na Mount Alto, 100 metrów ponad poziomem morza, to znaczy na miejscu, z którego można kontrolować i nagrywać wszystkie rozmowy telefoniczne np. między Kongresem a Białym Domem. W ogóle 70 % łączności telefonicznej Waszyngtonu jest w zasięgu elektronicznych uszu Moskwy. To tak jakby ambasada ZSSR w Paryżu usytuowana była na szczycie wieży Eiffla. Nikt dzisiaj nie wie jak to się stało, że Moskwa uzyskała zgodę na budowę ambasady w tym akurat miejscu. Wiadomo tylko, że stało się tak wbrew opozycji CIA i FBI. No ale za to nie Rosjanie są odpowiedzialni.

Oczywiście nie trzeba się łudzić: szpiegostwa nie da się zlikwidować czy usunąć z nowoczesnego życia politycznego. Nie tylko jest to zajęcie niezbędne w polityce cywilnej i wojskowej, ale już dziś po prostu „normalne”. Dziś już żaden szpieg, zwłaszcza sowiecki, nie działa z pobudek ideowych, dla jednych jest to zawód, awans społeczny, dla innych, po prostu sprawa pieniędzy, taka jest ułomna natura ludzka. Ale to nie znaczy, że należy się z nim godzić, zwłaszcza w jego metastazie, to znaczy w kreacji i ośmiornicowej wersji sowieckiej.

Trzeba m.in. poszukać prawdziwych fachowców i nowych kadr. Gdyby kontrwywiad zachodnioniemiecki prawidłowo rozpoznał teren, to nie byłoby afery Tiedge. Wystarczyłoby np. zwrócić się do pani Gertrudy Wegner, ciotki Tiedgego. Ona już

dawno przejrzała prawdę i charakter bratanka i wydziedziczyła go na rzecz jego córek, dziś osieroconych. Już chciałem zaproponować nominację cioci Wegner na szefa kontrwywiadu RFN, kiedy dowiedziałem się, że ciocia nie żyje. Umarła w 1982 roku. Za wcześniej.

Leopold UNGER

Pisane 7 października 1985

P.S. Dowiedziałem się właśnie, że uciekł na zachód Ladislaw Pataki, czeski specjalista od rzucania młotem. Gdyby tak jeszcze specjalista od rzucania sierpem...

L. U.

Kryzys związków zawodowych w USA

Związki zawodowe w Stanach przechodzą od szeregu lat ostry kryzys, co wyraża się między innymi utratą członków. Poniższa tabela ilustruje te straty.

Branża związku	Rok, w którym liczba członków osiągnęła maksimum	Liczba członków w tysiącach	Ostatnio notowany stan liczebny członków w tysiącach	Utrata w %
Związek Górników	1942	595	87	84
Związek robotników metalurgii	1975	1.071	497	45
Związek robotników samochodowych ..	1969	1.426	904	33
Amerykańska Federacja Pracowników Państwowych	1972	323	218	32
Związek pracowników hotelowych i restauracyjnych ..	1970	486	312	32
Związek pracowników damskiego przemysłu konfekcyjnego	1969	387	283	26
Związek pracowników transportu samochodowego ...	1974	1.946	1.523	20
Związek Nauczycieli	1976	1.818	1.444	20

W porównaniu z latami unijnej *prosperity* robotnicy amerykańscy przeszli w związkach zawodowych stanowią obecnie 16% pracowników w wymienionych branżach*, których bynajmniej nie należy utożsamiać z całą armią pracy, ponieważ wiele zajęć produkcyjnych i usługowych zostało tu w ogóle pominiętych. Niniejszy obraz jest przeto wycinkowy, ale wycinek ten jest dosyć charakterystyczny.

To, że poza Bractwem Górników, rozkwit ruchu związkowego zbiegł się z latami rozwoju nowych technologii nie ma nic wspólnego z rewolucją technologiczną zapoczątkowaną w tym okresie. Jest on następstwem fermentu społecznego, jaki przechodziła Ameryka za prezydentury Nixona, którego genealogii należy szukać w tworzeniu państwa opiekuńczego za prezydentury Lyndona Johnsona. Nixon, Ford i Carter tylko przejęli to po nim w spadku. Związki Zawodowe centrali AFL-CIO wiązały od wielu lat — a zdecydowanie za prezesa George'a Meany'ego i Lane Kirklanda — swój los z losem Partii Demokratycznej. I tu AFL-CIO weszła w fazę wewnętrznego konfliktu, typowego wyłącznie dla amerykańskich organizacji pracowniczych. Gdy w Partii Demokratycznej dominować zaczęły wpływy lewicy, ujawniła się w niej zupełnie wyraźna tendencja, by poprzez redystrybucję dochodu uczynić kapitalizm amerykański bardziej sprawiedliwym, redukując do minimum jego eksploatorskie oblicze. Społecznie miał być zbliżony do socjaldemokratycznych kapitalizmów skandynawskich. Ale kapitalizmy pozbawiające kapitalistów bodźców do zysków materialnych, a co najmniej bardzo je zmniejszające, można sobie wyobrazić tylko w niektórych krajach Europy Zachodniej. Wymagają one głębokiego zhumanizowania społeczeństwa, które godzi się, aby pokaźna część jego podatków szła na opiekę nad inwalidami i starcami. W żadnym wypadku na zbrojenia. Ameryka bynajmniej nie jest krajem głęboko zhumanizowanym. „Państwo opiekuńcze” — to cywilizacja biurokracji, która poprzez rozdział pomocy materialnej ludziom nie zawsze potrzebującym chce rozszerzyć swe prerogatywy i uzależnić od siebie możliwie dużą część społeczeństwa. Odbyna się to pod osłoną hasel humanitarnych ale z humanitaryzmem nie ma nic wspólnego. Natomiast w tej szczególnej sytuacji, o której wspominałem na początku, znalazły się państwa skandynawskie. W nich kapitaliści — choć z najwyższą niechęcią — godzą się na drastyczne obcinanie swych zysków. Państwa te naiwnie próbują kokietować Sowiety swoją neutralnością, wiedząc, że mogą zredukować budżety zbrojeniowe do symbolicznych mikropocentów, bo odium zbrojeni dźwigać będzie na swych barkach wielce niepopularna Ameryka, która właśnie dlatego jest taka niepopularna, że się zbroi. Na ogół związki zawodowe Europy Zachodniej — poza otwarcie komunistycznymi we Włoszech i we Francji — choć nie są komunistyczne, wspierają sowieckie interesy poprzez swoją politykę antyzbrojeniową i pacyfizm. W jednych krajach widać to wyraźniej, w

* Dane według tygodnika *Newsweek* z 5 sierpnia 1985 roku.

innych — słabiej. Inaczej AFL-CIO, która jest ostro i niedwuznacznie antysowiecka. Nie występuje przeciw dozbrojeniu Ameryki, ale wspiera Partię, która Amerykę skutecznie rozbroiła. Ani socjaldemokraci, ani komuniści — ci pierwsi oficjalnie wyznający marksizm, ci drudzy wielbiący Sowiety — nie mają w Stanach Zjednoczonych prawie żadnych wpływów. AFL-CIO w porównaniu z milionami zakamuflowanych „poputczyków” komunizmu, którzy obsiedli uniwersytety, jest w tym układzie organizacją prawie zachowawczą. Ale jakoś ciągle jej się zdarza, że bywa w sojuszu politycznym z organizacjami zdominowanymi przez te grupy interesów, dla których siłą sataniczną zagrażającą bezpieczeństwu świata jest Ameryka. Ponieważ AFL-CIO popiera prześladowane ponad 30 lat temu grupy etniczno-rasowe, jest zrozumiałe, że obecnie domaga się jak najsurowszych kar na rasistów z Afryki Południowej, nie dbając o to, jak i co będzie potem. Przywódcy AFL-CIO dobrze wiedzą, co będzie, gdy RPA się rozleci i kto upiecze przy tym swoją strategiczną pieczeń. Nie ma to jednak dla nich większego znaczenia. Koniunkturalny interes polityczny przeważa. A interes ten wymaga, żeby nie zaciążył na nich nawet cień podejrzenia, że mogą grzeszyć kompromisem wobec rządu w Pretorii.

Partie socjaldemokratyczne Zachodu, które występują przeciw NATO albo te, które jeśli oficjalnie nie występują, to utrudniają modernizację jego zbrojeń, bardzo często zupełnie otwarcie głoszą antyamerykanizm, starając się swą pokrętną retoryką ukazać jeśli nie znak równości, to jakąś złowróżbną symetrię pomiędzy dwoma supermocarstwami. Ze innymi słowami zło płynie nie z tego czy innego systemu, ale z samej super-potęgi. Ze samo nagromadzenie siły jest implikacją zła. Nafaszerowana aluzjami i symbolami propaganda wyraźnie zmierza do tego, by zatrzeć różnice dzielące totalitarny system sowiecki od niemal anarchicznej demokracji amerykańskiej. Innymi słowami wielkie potęgi stanowią dla świata groźbę bez względu na to, jaką treść społeczną reprezentują. Nasuwa to skojarzenie z biednym, który był idealizowany, i bogatym, któremu bogactwo zamykało drogę do raj (ucho igielne!). Otóż AFL-CIO żadną miarą na taką mowę nie może sobie w tym kraju pozwolić, bo nie składa się ani z samych biedaków (przeciwnie, biedaków wśród członków AFL-CIO i organizacji do niej przynależnych jest niewielki procent), ani z samych mniejszości etnicznych. Odwrotnie: element scenementowany ze związkami zawodowymi więzami wieloletniej tradycji, a więc ten, na którym najbardziej można polegać ulega ostatnio powrotnej fali amerykańskiego patriotyzmu. Trudno jest w tych warunkach bonzom związkowym lawirować i nieraz znajdują się w dwuznacznych sytuacjach. Ale te dwuznaczne sytuacje nie wychodzą im na zdrowie. Lane Kirkland, który na początku pierwszej kadencji Reagana jeździł na wysokim koniu, licząc na fiasko ekonomicznej polityki prezydenta, zjeżdża z tego konia coraz niżej. Cyfry, które pokazuje tabela ilustrują pokłose jego klęski. Jeśli cyfry te nie są zbyt wstrząsające, to tylko dlatego, że ruch zawodowy w Ameryce nie odgrywał nigdy zbyt

wielkiej roli z tytułu wielkiej ilości członków. Istotne było to, czy potrafi wejść w najważniejsze dziedziny gospodarki i narzucić przedsiębiorcom zorganizowaną wolę związku. Teraz te sprawy przybiorą niechybnie inny obrót. AFL-CIO, krótkowzroczna w swej polityce strajków w latach siedemdziesiątych, parła do ustawicznych podwyżek, stając się aktywnym katalizatorem inflacji. Obecnie, przy nowej wyłaniającej się technologii, podwyżki nie są najważniejsze. Najważniejsza staje się gwarancja pracy do chwili osiągnięcia wieku emerytalnego. Robotnik amerykański nie może nie wiedzieć, że skala jego zarobków w porównaniu z innymi krajami przemysłowymi jest za wysoka. W tych warunkach wewnętrzny rynek dla produktów amerykańskich można zabezpieczyć tylko polityką protekcjonizmu, co uderzy w konsumenta, a konsumentem w Ameryce — tak jak we wszystkich krajach — jest każdy. Bilans handlowy Stanów Zjednoczonych jest ustawicznie bardzo ujemny i dla nikogo nie jest tajemnicą, że po to by zdobyć rynek dla amerykańskich produktów trzeba pracować lepiej, taniej i wydajniej. Do tego coraz mniej potrzebne są związki zawodowe. *Great Society* prezydenta Johnsona, które dawało, dawało i dawało, by wyhodować wielomilionową armię próżniaków, też się kończy. Kapitałiści świetnie dogadują się ze swymi pracownikami, wprowadzając gdzie można udział w zyskach. A można prawie wszędzie. „Roboty” przy taśmach montażowych — to nie jest jeszcze żadna rewolucja technologiczna. Jest to dalsze zmechanizowanie taśmy montażowej. Rzeczywistym zwiastunem wielkiej rewolucji będą „roboty” w usługach, które się jeszcze nie pojawiły. Nie chodzi oczywiście o automaty sprzedające puszki Coca-Coli lub bilety na stacjach, bo te są w Ameryce od dawna. Chodzi o „roboty” na wzór i podobieństwo wizji Stanisława Lema — działające we wszelkiego typu usługach, spełniające czynności pilotów, stewardess, sprzedawców w sklepach, pracowników w szpitalach. Będzie to sytuacja, w której na jednego wysoko wykwalifikowanego człowieka przypadać będą dziesiątki, a później setki nowej i zupełnie innej generacji „robotów”. Droga do tego nie wiedzie jednak poprzez wysoko ukształtowaną technologię. Przedrostek „techno” jest tu najzupełniej niewłaściwy. Nie będzie to bowiem rewolucja, ograniczająca się do sfery techniczno-przemysłowej czy komunikacyjnej. Droga do niej wiedzie poprzez małżeństwo wielu odległych od siebie dyscyplin naukowych, otwierające przed nami horyzonty przekraczające granice naszej wyobraźni. A wówczas związki zawodowe znajdą się już tylko na kartkach podręczników historii.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 9 września 1985 r.

Korespondencja z Rzymu

BISKUPI A CHORA EUROPA

Gdyby ktoś miał wątpliwości odnośnie praktycznego stosowania kolegialności episkopalnej, musiałyby się ich wyrzec wsłuchując się w głos 73 kardynałów i biskupów reprezentujących 28 krajów Europy zachodniej i wschodniej, zebranych na sympozjum rzymskim w dniach od 6 do 11 października. Zwołane przez Radę Konferencji Episkopatów Europy pod przewodnictwem kardynała Hume'a, arcybiskupa Westminsteru, było to szóste z kolei sympozjum europejskie, a trzecie w czasie obecnego pontyfikatu. Z zaproszonych do udziału przedstawicieli episkopatów zabrakło kardynała Tomaška z Pragi, kardynała Vajvodsa z Rygi, arcybiskupa Počilonisa z Kowna i biskupa Sfatieta z Sofii. W sympozjum uczestniczyło 7 członków episkopatu Polski, wśród nich kardynałowie Glemp i Macharski oraz przedstawiciele episkopatów Jugosławii, Węgier, Niemiec Wschodnich i Rumunii.

Samo istnienie i działalność Rady, jak i rzymskie sympozjum, świadczą o tym, że mimo podziału naszego kontynentu na dwa przeciwstawne bloki, jednakowe są troski i zainteresowania łączące biskupów z Zachodu i Wschodu Europy. Mogli oni wymienić informacje i poglądy, debatując nad główną tematyką, której to spotkanie było poświęcone: sekularyzacją i ewangelizacją w dzisiejszej Europie.

Cel tego sympozjum był podwójny. Z jednej strony: analiza sytuacji, w jakiej Kościół działa, tzn. szerokiego zaplecza społecznego, odznaczającego się postępującą sekularyzacją czyli zeświecczeniem obyczajów, tradycji i sposobów życia. Z drugiej zaś strony: wspólna refleksja nad zaradzeniem istniejącym trudnościom i drogami prowadzącymi do tzw. drugiej ewangelizacji Europy.

Jest rzeczą znamioną, że zarówno główne referaty, jak i wystąpienia dyskusyjne na plenum i w grupach roboczych, nie miały charakteru teologicznego. Była to raczej narada socjologiczna o wyraźnej wymowie pragmatycznej, prowadząca do określonych dyrektyw pastoralnych. Z analizy faktograficznej wynikało, że w „erze post-chrześcijańskiej i post-sekularyzacyjnej” — jak obecnie sytuację historyczną i społeczną określił kardynał Hume — występują analogiczne problemy na Zachodzie i na Wschodzie Europy. Z tym, że w pierwszym przypadku mamy do czynienia z „ateizmem naukowym, humanistycznym, reakcyjnym lub praktycznym”, w drugim, oprócz tego, z instytucjonalnym, narzucanym z góry. Prawdziwym niebezpieczeństwem jest jednak nie tyle ateizm, w tej czy innej postaci, ale indyferentyzm religijny, co wyraża się w rosnącym, raptowym spadku praktyk religijnych

i kontestacji Kościoła instytucjonalnego. Nie jest to jednak koniecznie równoznaczne z niewiarą i porzuceniem chrześcijaństwa. Stojący poza Kościołem widzialnym są bowiem często bardzo wrażliwi na wartości chrześcijańskie, aczkolwiek selektywnie odbierają nauczanie katolickie. W gruncie rzeczy mamy do czynienia z osłabieniem, ze zwiotczeniem postaw religijnych, a nie z kryzysem religii jako takiej. Liczba tych, którzy uważają się wciąż za przynależnych do Kościoła, jest — jak wskazują badania i sondaże — wyższa niż to wynika z danych odnoszących się do praktyk religijnych.

Zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie Europy występują analogiczne uwarunkowania kulturowe, wpływające z postępu nauki i przemian technologicznych. Analiza dokonana na sympozjum pozwoliła na skonstatowanie, że reżimy marksistowskie uprawiają politykę teoretycznego i praktycznego rozdziału pomiędzy Państwem i Kościołem, co — w tym drugim przypadku — wkracza w prywatną sferę egzystencji. Również jednak w Europie zachodniej — bez przymusu i zewnętrznej presji — dochodzi do „prywatyzacji” religii. Ten sam wpływ cywilizacyjny, polegający na odrzucaniu chrześcijańskich wartości etycznych, uwidacznia się w demokracjach zachodnich i reżimach wschodnich w odniesieniu do rozwodów, sztucznego spędzania płodu, zapobiegania urodzeniom i homoseksualizmu.

Jak należy przeciwstawiać się dekadencji moralnej i zwalczać bolączki na jakie natrafia Kościół w swej misji pastoralnej? Syntetyzując liczne wypowiedzi na ten temat trzeba stwierdzić, że nie da się stworzyć jednego modelu ewangelizacji dla całej Europy, bo różnicowanie społeczne i kulturalne występuje zarówno w łonie europejskiego Zachodu, jak i Wschodu. Główni referenci i uczestnicy dyskusji stwierdzali, że nie należy bać się nowoczesności i sekularyzacji ponieważ tkwią w nich również fermenty pozytywne. Zachodzi zamówienie społeczne na odnowione formy religijności, które wyrażają się np. w rozwoju ruchu charyzmatycznego, neokatechumenatu czy takich zjawiskach jak wspólnota ekumeniczna w Taizé lub różne awangardowe ruchy młodzieżowe. To zapotrzebowanie na czynnik religijny wyraża się ponadto w zainteresowaniu dla magii i rozmaitych sekt, a zwłaszcza dla praktyk spirytystycznych i mistycznych pochodzących z Dalekiego Wschodu.

Kardynał Danneels, abp Brukseli, w swym referacie na temat ewangelizacji w zeświecczonej Europie powiedział, że należy bezwarunkowo odrzucić rzekomo nieodwracalny konflikt pomiędzy nowoczesnością i religią. Obok bowiem ateizmu praktycznego, czyli obojętności wobec problemów egzystencjalnych tkwiącej w samej tkance cywilizacji konsumpcyjnej, mamy do czynienia z przetrwaniem wartości humanistycznych takich jak wolność i godność człowieka czy równość, która wyklucza wszelką dyskryminację. Te wartości są faktycznie wartościami chrześcijańskimi tylko że zlaicyzowanymi. W obliczu rzeczywistości narbrzmiałej egoizmem Kościół powinien propagować normy współżycia zakładające wymagania, będące warunkiem wychowania w

każdym życiu społecznym, w każdej demokracji. Tylko nawrót do tych wartości, czyli do źródeł kultury chrześcijańskiej, może uzdrowić Europę z powolnego zatrucia wywołanego przez toksyny, które wytwarza sam jej organizm.

Kardynał Danneels oraz dwaj inni główni referenci, jezuita Schasching i Valadier (redaktor naczelną pisma *Etudes*), dali mimo wszystko wyraz umiarkowanemu optymizmowi. Przyszli im w sukurs polscy biskupi Nossol i Romaniuk oraz Ks. Prymas, który zwrócił uwagę na to, że marksiści w Polsce, ale także w innych krajach Europy wschodniej, zjawisko „eksplozji uczuć religijnych” uważają za nieuchronne. I twierdzą, że nie ma na to innej rady jak przetrwać i doczekać się „lepszyc czasów”.

W czasie debaty zgodnie uznano, że ewangelizacja powinna wyrażać się poprzez dawanie świadectwa — zarówno milczącego w życiu codziennym — przez postawę zajmowaną wobec bliźnich, jak i poprzez rzeczywisty wysiłek reformowania struktur i budowania lepszego świata oraz dialog z tymi, którzy wyznają inne wierzenia religijne. Chodzi przy tym o to, by „misję w świecie spełniał Kościół pozytywnie, bez postawy wyższości moralnej i bez potępień. Drugi Sobór Watykański pomógł bowiem Kościołowi do porzucenia postawy potępienia świata, natomiast do przyjęcia stanowiska otwarcia, rozsądku i wrażliwości na znaki czasu”.

Symposium biskupów europejskich wniosło niewątpliwie poważny wkład do zbliżającego się nadzwyczajnego zgromadzenia synodalnego (25 listopad - 8 grudzień), które nie będzie żadną poprawką Soboru, jak to niektórzy tu i ówdzie zapowiadają. Synod nadzwyczajny został zwołany przez Papieża, by odnowić zapał dla nauczania soborowego i jego stosowania po 20 latach, które upływają od zakończenia Soboru.

Jan Paweł II, przyjmując uczestników sympozjum z okazji zakończenia obrad, powiedział, że Europa przeszła tak wielkie przeobrażenia kulturalne, społeczne, gospodarcze i polityczne, iż problem ewangelizacji trzeba rozpatrywać w całkowicie nowych kategoriach. Należy mieć jednak świadomość, że mimo istniejącego podziału, odnowiona ewangelizacja musi uwzględniać wspólne korzenie Europy. Dwie istniejące tradycje chrześcijańskie, zachodnia i wschodnia, ich treści teologiczne, liturgiczne i kulturowe, nie są przeciwstawne, lecz wzajemnie się uzupełniają i należy przejść to bogate, wielostronne dziedzictwo ideowe przeszłości, otwierając się z zaufaniem i nadzieją ku przyszłości”.

Cała Europa — zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie — na skutek ateizmu teoretycznego i praktycznego, stawia — zdaniem Papieża — Kościół „wobec najbardziej radykalnego wyzwania w jego dziejach”. W dramatycznym apelu o jedność Europy określił on jej obecne rozdarcie jako „bardzo poważne i nie-dopuszczalne”. Papież oświadczył, że Europa ryzykuje „samobójstwem demograficznym” i przeżywa „głęboką alienację duchową”. Na Zachodzie osoba ludzka poświęcona została na rzecz dobrobytu, na Wschodzie — na rzecz struktur. W całej Europie — według Papieża — żyje się dziś i walczy przede wszystkim o władzę i dobrobyt, nie o ideały.

Nawiązując do podziału Europy podkreślił, że Akt Końcowy Konferencji w Helsinkach, podpisany 10 lat temu, dał narodom europejskim nadzieję na podjęcie procesu, który sprzyja wzajemnej solidarności i owocnej współpracy. Ta nadzieja, pomimo wahań, trudności i nawet rozczarowań, powinna być podtrzymywana. Papież wezwał przedstawicieli episkopatów europejskich do wysiłku zmierzającego do odnalezienia przez Europę „siebie samej i swej duszy” w nowoczesnej społeczności, „zarówno złożonej i pluralistycznej na Zachodzie, jak i monolitycznej na Wschodzie”. Papież oświadczył, że biskupów czekają w Europie nowe, ogromne zadania, związane z zapotrzebowaniem na walory religijne i na sens życia, gdyż wobec schyłku ideologii i podważenia zaufania w zdolność struktur do dawania odpowiedzi na „niespokojne oczekiwania, zagubienie się młodzieży i nihilizm, powstała głęboka pustka duchowa”. Kościół powinien ją wypełnić.

Dominik MORAWSKI

Pisane 14 października 1985 r.

KOMPLET „KULTURY” (1947-1983) NA MIKROFISZACH

Mikrofiszowa edycja roczników *Kultury* (1947-1984) zawarta jest na 804 fiszach formatu 10,5×14,8 cm. Każdy rocznik jest w oddzielnej kopercie. Całość przesyłana jest w dwóch plastikowych pudełkach, stanowiących podręczną kartotekę.

Cena kompletu roczników *Kultury* wynosi 750 dolarów amerykańskich lub równowartość w innych walutach. Cena pojedynczego rocznika wynosi 25 dolarów amerykańskich (wraz z kosztami przesyłki).

Już się również ukazała mikrofiszowa edycja roczników *Zeszytów Historycznych* od początku do roku 1984 włącznie (Nry 1-70). Cena kompletu \$ 250,00 lub równowartość.

Zamówienia należy zgłaszać do:

IPA, Box 2113, 220 02 LUND, SWEDEN.

Tel. international: 46/46 14-34-16.

Należności należy przekazywać na IPA: Międzynarodowym przekazem pocztowym — POSTGIRO SWEDEN 469050-9 albo przelewem bankowym na SE BANKEN SWEDEN, LUND 5624-0044911 względnie International MO na IPA, Box 2113, 22002 Lund 2, Sweden.

Edycja roczników *Kultury* i *Zeszytów Historycznych* na mikro-fiszach będzie systematycznie kompletowana.

rocznicę powstania „Solidarności”. Pojawiły się też wezwania do bojkotu wyborów.



Już na początku maja władza, zirytowana demonstracjami 1 maja, postanowiła zareagować. Programowe przemówienie wygłosił 10 maja w Sejmie szef resortu spraw wewnętrznych, generał Czesław Kiszczak. Sytuację określił jako „zaostřejający się stan zagrożenia kluczowych interesów politycznych, gospodarczych i obronnych za strony ośrodków dywersji” i oświadczył, że „ci, którzy angażują się w działalność (opozycyjną) nie powinni mieć żadnych złudzeń, muszą wiedzieć, że wciąga się ich w proceder szpiegowski”. Zabrzmiało to jak zapowiedź ostatecznej rozprawy z opozycją, która co prawda liczy według generała tylko 1.500 osób skupionych w 300 strukturkach, zakłóca jednak obraz pełnej stabilizacji...

Jak pokazały następne miesiące, rzeczywiste represje, choć bardzo dotkliwe, były znacznie słabsze niż można było się spodziewać po neostalinowskim tonie wystąpienia gen. Kiszczaka. Co prawda liczba więźniów politycznych wzrosła do 250 — tylu ich było w końcu sierpnia 1985 — a w procesie Michnika, Lisa i Frasyniuka zastosowano najbardziej haniebne wzory sowieckie, jednak władza nie zdecydowała się na wielkie frontalne uderzenie w opozycję. Usiłowała raczej utrzymywać atmosferę zagrożenia poprzez selektywne represje, wykorzystanie obostrzonych przepisów karnych, naciski na sądy i zapewnienie sobie bezkarności policji.

Obiektem ataków byli w pierwszym rzędzie najwybitniejsi działacze „Solidarności”, znani ze swoich jawnych wystąpień. Najpierw kolegium skazało na 3 miesiące aresztu Seweryna Jaworskiego, Jacka Kuronia i Henryka Wujca za udział w 1-majowym kontrochodzie. 3 maja znaleźli się w areszcie popularni działacze z Nowej Huty, Stanisław Handzlik i Edward Nowak. Później, 12 sierpnia, wszczęto śledztwo przeciwko Marianowi Jurczykowi i rozciągnięto nad nim dozór milicyjny za to, że — jak głosi zarzut — „opracował i kolportował na terenie kraju i poza jego granicami oświadczenie 'W rocznicę Sierpnia 1980', zawierające treści nawołujące do wystąpień przeciwko władzom PRL, do nieuczestniczenia w wyborach do Sejmu PRL, do prowadzenia nielegalnej działalności związkowej” itp. Następny był Józef Piniór, zatrzymany 31 sierpnia, gdy szedł złożyć kwiaty pod siedzibą sierpniowego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w zajezdni MPK na Grabiszyńskiej. Kolegium we Wrocławiu skazało go na 3 miesiące aresztu.

Trudno powiedzieć, dlaczego władza postanowiła ukarać właśnie tych przywódców i właśnie w tym momencie, skoro zarówno oni, jak i wielu innych przez cały czas angażują się w działalność publiczną. Co więcej, represje nie tylko nie paraliżują tego typu aktywności, a wręcz przeciwnie — nabiera ona coraz szerszego rozmachu. Pod oświadczeniem z końca sierpnia, domagającym się niezwłocznego uwolnienia Tadeusza Jędynaka pod-

Kraj

Notatki z Polski

(MAJ - SIERPIEŃ 1985)

Manifestacje 1-majowe, zwłaszcza w Warszawie zaskakujące swoim rozmachem, nie oznaczały jednak — jak wykazały następne miesiące — że „Solidarność” powróciła do tej formy protestu. TKK nie wezwała do demonstracji nawet w piątą rocznicę podpisania Porozumień Gdańskich. Podobnie postąpiły regionalne władze Związku, nawet MKS w Nowej Hucie, który poprzednio z okazji wszystkich ważniejszych dat pod wyraźnym naciskiem robotników wzywał do pochodów.

Obchody V rocznicy sierpnia '80 ograniczyły się niemal wyłącznie do uroczystych nabożeństw. 31 sierpnia msze rocznicowe odprawione zostały we wszystkich kościołach Trójmiasta. Poprzedniego dnia Lech Wałęsa złożył kwiaty pod Pomnikiem Poległych Stoczniowców, gdzie po pierwszej zmianie zebrało się ponad dwa tysiące ludzi, głównie ze Stoczni. W Szczecinie 30 sierpnia po mszy w katedrze kilkunastotysięczny pochód ruszył w kierunku stoczni im. Warskiego. W Warszawie 31 sierpnia po tłumnym nabożeństwie u Św. Stanisława Kostki ludzie trzymając się za ręce przemaszerowali wokół Placu Wilsona.

Nie był to czas manifestacji, co jednak nie oznacza wcale, że „Solidarność” była nieobecna na ulicach. Bardzo się nasiliły akcje ulotkowe; w Warszawie, Poznaniu czy Wrocławiu podczas jednej takiej akcji sypało się po kilkadziesiąt tysięcy ulotek. Najwięcej było ich w maju i czerwcu przed strajkiem przeciwko podwyżkom, nie tylko na ulicach, lecz przede wszystkim w zakładach. Nie sposób tego oszacować, ale ulotek z wezwaniem TKK do strajku 1 lipca musiało być w całym kraju kilkaset tysięcy. Masowe ulotkowania z żądaniem zwolnienia więźniów politycznych przeprowadzone zostały w związku z procesem Frasyniuka, Lisa i Michnika. Wreszcie w sierpniu przypominały one o rocznicy „cudu nad Wisłą” i przede wszystkim upamiętniały

pisało się ponad 50, a pod wezwaniem do bojkotu wyborów do Sejmu z 12 listopada — stu działaczy „Solidarności” z wyboru.

W środowiska intelektualne z kolei miały ugodzić sprawy Stefana Bratkowskiego i Bronisława Geremka. Prezes rozwiązanego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i autor niezwykle popularnej „Gazety Dźwiękowej”, krążącej na kasetach został oskarżony o nielegalny obrót dewizami. Śledztwo wszczęto na podstawie „uzyskanych z ambasady PRL w Kolonii dokumentów, z których wynika, że Bratkowski otrzymuje z zagranicy wartości dewizowe w celu ich dalszego rozdysponowania m.in. w środowisku byłych dziennikarzy” (cytat z uzasadnienia zarzutu). Chodziło o pieniądze przesłane Bratkowskiemu w 1982 roku na pomoc dla wyrzuconych dziennikarzy, sprawa szybko ucichła, widocznie nic więcej nie dało się z niej wycisnąć.

Wyrzucając z pracy w Instytucie Historii PAN doc. Bronisława Geremka, wybitnego historyka i eksperta „Solidarności”, władze również nie były w stanie znaleźć przekonującego pretekstu. Oficjalna decyzja o zwolnieniu, podpisana w kwietniu przez osławionego sekretarza naukowego PAN, prof. Kaczmarska, nie zawierała żadnego uzasadnienia. Jednak Urban na konferencji prasowej pomówił doc. Geremka o oczernianie ZSSR i Armii Czerwonej podczas spotkania ze studentami na Uniwersytecie Gdańskim. Cztery uczestników tego spotkania podpisało oświadczenie stwierdzające, że było ono poświęcone wyłącznie historii Średniowiecza.

Oburzenie środowiska naukowego było tak powszechne, że musiało zaskoczyć władze. Listy protestacyjne podpisywali masowo pracownicy instytutów PAN-owskich i wyższych uczelni z całej Polski oraz studenci. Prof. Kaczmarek, odpowiedzialny za dyscyplinę w Akademii Nauk, postanowił wszystkich sygnatariuszy ukarać i nakazać odwołanie ich służbowych wyjazdów zagranicznych; później z jego polecenia wprowadzono dla wyjeżdżających szczególną „deklarację lojalności”: musieli podpisywać, że za granicą będą podawać oficjalną wersję przyczyn zwolnienia doc. Geremka z PAN-u. W sumie presja na wycofywanie podpisów nie była zbyt silna (utrata stypendium zagranicznego, niemiłe rozmowy ze zwierzchnikami), mimo to wiadomo, że wiele osób jej uległo.

Kolejnym celem ataków władzy, i propagandowych, i policyjnych, był jak w poprzednich miesiącach Kościół. Nie ustawały w środkach masowego przekazu pohukiwania na księży znanych z sympatii dla „Solidarności”; z nazwiska wymieniani byli najczęściej ks. Jankowski z Gdańska i ks. Jancarz z Nowej Huty. Były też groźby bardziej bezpośrednie oraz napaści „nieznanych sprawców”. Ks. Mieczysław Nowak, proboszcz w Łąkach Kościelnych, przeniesiony tam z Ursusa, miał groźny wypadek samochodowy, spowodowany przez umyślne obluźowanie koła. W początku czerwca został napadnięty i pobity ks. Kazimierz Roga z Maślic, autor „nieprawomyślnych” kazań. Ks. Stanisławowi Suchowolcowi, wikaremu parafii Suchowola, skąd pochodził ks.

Jerzy Popiełuszko, systematycznie przebijano opony w samochodzie i obluźywano śruby przy kołach. Do jego mieszkania na plebanii został wrzucony kamień zawiąnięty w kartkę z napisem „Skończysz jak Popiełuszko”, a 24 sierpnia został pobity — napastnicy powtarzali, że to za „Solidarność”. Napadnięto również ks. biskupa ordynariusza gdańskiego, Tadeusza Goćławskiego, któremu wcześniej grożono w anonimowych telefonach do Kurii, że jeśli nie odwoła mszy św. w rocznicę śmierci Marszałka Piłsudskiego, to zostanie pobity, a Katedra Oliwska zdemastrowana. Gdy 21 maja ks. bpa Goćławskiego zaatakował nieznany mężczyzna, zgromadzili się ludzie i napastnik zbiegł do pobliskiej komendy MO, gubiąc teczkę z dokumentami. Okazało się, że jest to Leszek Woźniak, funkcjonariusz gdańskiego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Trudno o bardziej bezpośredni dowód na to, kim są „nieznani” sprawcy napadów na księży.

Ostrzeżeniem dla ewentualnych naśladowców miał być również proces księży z Włoszczowej, Marka Łabudy i Andrzeja Wilczyńskiego, którzy towarzyszyli młodzieży z Zespołu Szkół Zawodowych podczas strajku okupacyjnego w obronie krzyży. Oskarżono ich o to, że 3 grudnia 1984 „wdarli się do budynku ZSZ i(...) miejsca tego nie opuścili do 16 grudnia, organizując i kierując w szkole akcją protestacyjną uczniów”. Rozprawa była właściwie zamknięta, poza nieliczną grupą księży publiczność stanowią lokalni SB-cy i reżimowi dziennikarze. Przed samym ogłoszeniem wyroku na salę wkroczył oddział mundurowej milicji, w pobliżu sądu stały radiowozy i brygada ZOMO. Z kilkuset osób czekających przed budynkiem ponad 50 zatrzymano (w tym 7 księży), kolegium skazało około 20 osób na grzywny po 20 tys. złotych. W postępowaniu dowodowym sąd uwzględnił jedynie to, co potwierdzało zarzuty aktu oskarżenia. Nie przesłuchano więc rodziców strajkujących uczniów ani samorządu szkolnego, ani nawet niektórych nauczycieli. Księża z Włoszczowej skazani zostali: Marek Łabuda na rok więzienia, a Andrzej Wilczyński na 10 miesięcy z zawieszeniem i 60 tys. zł. grzywny. Ciekawe, że w wyniku procesu rewizyjnego zawieszono wyrok również ks. Łabudzie.

Nie można tu nie wspomnieć jeszcze o sprawie kolegiów w Białogardzie, gdyż może się okazać że ma ona charakter precedensowy. Tym razem skazani zostali wierni za to, że — jak brzmiało ustne uzasadnienie orzeczenia kolegium — „na terenie przykościelnym modlili się bez zezwolenia władzy państwowej”. Po mszy w rocznicę Porozumień 31 sierpnia z tłumem modlącego się pod krzyżem stojącym na dziedzińcu kościoła, odgrodzonym od ulicy, zatrzymano 4 osoby. Kolegium wymierzyło kary: Andrzejowi Szalkowi 3 miesiące aresztu, a trzem pozostałym grzywny 35-50 tys. zł. Trzy dni wcześniej po mszy za Ojczyznę skazana została na 3 miesiące aresztu Anna Sztark za to, że pod tym samym krzyżem podczas tradycyjnych modłów w intencji więźniów sumienia odczytała homilię ks. Popiełuszki z 26 sierpnia 1984, zawierającą „anty państwowe treści”. Nasuwa się pytanie,

ile wyroków musiałyby zapasć, gdyby taryfę z Białogardu władza postanowiła zastosować w całej Polsce, skoro wszędzie odbywają się msze za Ojczyznę, modły za więźniów politycznych, czytanie homilii ks. Popiełuszki.

Władze starały się też przeszkadzać w rozmaitych inicjatywach społecznych, rozwijających się pod egidą Kościoła. I tak latem, jak co roku, pod absurdalnymi pretekstami zmuszono do przeniesienia się lub wręcz rozwiązano liczne obozy dla dzieci, organizowane przez parafie, oazy i Kluby Inteligencji Katolickiej. W samym tylko Olsztyńskim Sanepid nakazał zlikwidowanie 7 obozów, chociaż poprzednio uznał ich warunki sanitarne za właściwe. Powodem rozwiązania obozu oazy rekolekcyjnej z Podkowy Leśnej było — jak oświadczyli dwaj cywile przybyli czarną wołgą wraz z 3 mundurowymi — rozbicie go na terenie przyległym do cmentarza w Bóbrce-Solinie, stanowiącym własność komunalną.

Inny przykład do zwalczania akcji pikietowania sklepów monopolowych, podjętej w sierpniu przez Bractwo Trzeźwości „Otrzeźwienie”, założone w grudniu '84 przy warszawskim Kościele seminaryjnym i kościele św. Stanisława Kostki. Trzeciego dnia pikietowania, 16 sierpnia, jedną z takich spokojnie stojących grup otoczyła milicja i SB, mężczyznom zabrano siłą do komisariatu i nazajutrz postawiono przed kolegium, które skazało ich na grzywny po 40 tys. zł. Drugą grupę, zatrzymaną 21 sierpnia, potraktowano podobnie, tylko grzywny wynosiły już 50 tys. złotych. Trzecia pikietka (27 sierpnia) odmówiła płacenia grzywien — Zdzisław Cholewiński, Władysław Janowski oraz Antoni Zambrowski zdecydowali się na 50 dni aresztu. Reakcja władz na akcję pikietowania w Gdańsku była dużo łagodniejsza: zatrzymano tylko jedną osobę, która po godzinie została zwolniona.

Z „ciemnej liczby” milicyjnych morderstw, porwań, napadów i tortur znów ujawniono kilka kolejnych zbrodni, m.in. zastrzelenie żołnierza 24 czerwca w Trzebiatowie; śmierć Jacka Krzywdy z Krakowa, pobitego przez patrol w bramie swego domu (26 czerwca); katowanie na komendzie w Jastrzębiu Zdroju przykutego do krzesła Jana Dziekanowskiego. W paru przypadkach ofiarami byli działacze „Solidarności” i ich rodziny. W Grajewie 3 maja trzy funkcjonariusze usiłovali porwać syna przewodniczącego gminnej „Solidarności” Rolnika Indywidualnych, Rafała Słwińskiego (ludzie udaremnili porwanie), a 9 maja dwaj milicjanci próbowali pobić i udusić przewodniczącego miejscowej „Solidarności”, Bronisława Chełmińskiego w jego własnym mieszkaniu.

Szczególnie oburzające jest znęcanie się nad dziećmi. W tymże Grajewie milicjanci powiesili za ręce na kratkach okiennych na półtora godziny ucznia 8-ej klasy, Janusza Sułakowskiego, później bili go pałkami i kazali biec przed radiowozem, znów bijąc (8 maja). W Świebodzinie dwaj pijani funkcjonariusze w cywilu pobili 15-letniego Jacka Gierasimowicza, a gdy się wyrwał gonili go aż do mieszkania. Z grajewską mafią milicyjną współdziałał prokurator, który urządzał kilkakrotnie w szkole pod

nieobecność opiekunów wielogodzinne przesłuchania 11-letniej córce Jana Budnego, działacza „Solidarności”, zmarłego w lutym 1985 po skatowaniu na komendzie. Prokurator nakłaniał dziewczynkę, by potwierdziła oficjalną wersję, że ojciec zabił się spadając z trzech schodków prowadzących do ich domu. Dzieci aresztowanego tydzień wcześniej Piotra Borka z Torunia przesłuchiwała i szantażowała SB: 12-letniego syna w szkole, a 16-letnią córkę na komendzie, wypytujac o ojca i jego znajomych (17 czerwca).

Nie trzeba chyba dodawać, że w większości tego rodzaju spraw prokuratura bądź odmawia wszczęcia śledztwa, bądź umarza je po pewnym czasie, a winnych funkcjonariuszy co najwyżej przenosi do innej miejscowości. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu przed odpowiedzialnością chroni ich solidarność aparatu, a w jakim jest to — zwłaszcza w przypadku aktów terrorystycznych wobec księży i działaczy „Solidarności” — celowa działalność zmierzająca do podtrzymania atmosfery zagrożenia i bezprawia. Do takich posunięć trzeba by niewątpliwie zaliczyć wiadomość o planowanym zamachu na Wałesę.



Aresztowanym od maja do sierpnia stawiany był najczęściej zarzut z art. 282a §1 kodeksu karnego („kto podejmuje działanie w celu wywołania niepokoju publicznego lub rozruchów”) i art. 45 prawa prasowego („kto bez wymaganego zezwolenia wydaje albo rozpowszechnia dziennik, czasopismo lub inną publikację prasową”). Zestawienie tych dwóch artykułów okazało się bardzo pojemne, zmieścili się tu podejrzani o drukowanie i kolportaż, a często tacy, u których po prostu znaleziono parę egzemplarzy bibuły. Trzeba dodać, że sprawy te na ogół dość szybko trafiają do sądu. Zgodnie z groźbami Kiszczaka kilka osób oskarżono o „wejście w porozumienie z obcą organizacją” — to ci, których podejrzewa się o kontakty z Zachodem. Śledztwo w takich wypadkach prowadzi prokuratura wojskowa, w sprawach politycznych żadnego wyroku z tego artykułu jeszcze nie było.

Spektakularnym sukcesem władzy było aresztowanie Tadeusza Jedyńaka (17 czerwca w Warszawie) członka Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, przewodniczącego Tymczasowego Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Po zatrzymaniu próbowano nakłonić go do wystąpienia w telewizji z oświadczeniem, że nie widzi sensu działania w podziemiu i wzywa ukrywających się działaczy, żeby się ujawnili. Obiecywano mu w zamian, że po 48 godzinach zostanie zwolniony. Specjalna ekipa przywiozła ze Śląska żonę (ubecy chcieli ściągnąć też 11-letnią córkę, jednak matka nie dopuściła do tego) licząc, że będzie go przekonywać. Wobec stanowczej postawy obojga nie pozwolono im nawet na krótką rozmowę. Jedyńaka uwięziono na Rakowieckiej z zarzutem o zdradę ojczyzny (zagrożenie od 10 lat do kary śmierci), tym samym co Bogdana Lisa przy poprzednim aresztowaniu.

Szerokim echem odbiło się także aresztowanie członków re-

dakcji kwartalnika politycznego *Krytyka*, wydawanego poza oficjalnym obiegiem od 1978 roku. 12 czerwca po rewizjach w mieszkaniach kilku osób i zakwestionowaniu u niektórych z nich materiałów redakcyjnych sankcje prokuratorskie otrzymali: Jan Kofman, dr historii z Uniwersytetu Warszawskiego, Mirosława Grabowska, dr socjologii z UW oraz Robert Mroziwicz, dr historii z Polskiej Akademii Nauk. We wrześniu sankcje te zostały przedłużone. Sprawa ta wydaje się precedensowa, dotychczas redaktorzy i autorzy związani z czasopismami teoretyczno-politycznymi i literackimi nie byli z tego tytułu więzieni.

Wśród nowych aresztowanych trzeba jeszcze wymienić tych, którzy odmówili pełnienia służby wojskowej. Informacje o takich przypadkach docierają sporadycznie, pewne jest jednak, że siedzi z tego powodu wielu młodych mężczyzn. Wiadomość o jednym z nich, Mariuszu Janicu z Gorlic, odsiadującym dwuletni wyrok, została przekazana w grypsie z więzienia przez działacza „Solidarności” z Krakowa, Stanisława Handzlika. Dokładniej znana jest sprawa Tomasza Kulczewskiego, nauczyciela z Ząbek k/Warszawy. Został on zatrzymany po dwukrotnej odmowie pójścia do wojska: wezwany w lutym do Wojskowej Komendy Uzuppełnień złożył oświadczenie na piśmie, że odmawia z pobudek pacyfistycznych; 27 kwietnia nie przyjął karty powołania. W trzy dni później dostał wywołanie z pracy „z powodu niezgłoszenia się do odbycia zasadniczej służby wojskowej”, a 8 lipca wezwany został do WUSW w Warszawie, skąd nie wrócił. Umieszczono go w Areszcie Śledczym na Rakowieckiej, w sierpniu odbył się proces. T. Kulczewski skazany został na dwa lata z zawieszeniem.

Procesy w sprawach politycznych przebiegały różnie, na ogół w zależności od tego, jak dobierany był skład sędziowski. Sporo było takich, gdzie opierano się na dowodach wątplych lub wręcz fałszywych, w charakterze świadków przesłuchiowano głównie ubeków i milicjantów, a sędzia obelżywie odnosił się do oskarżonych i publiczności. Zdarzały się jednak procesy całkiem przyzwoite. Stąd rozpiętość wyroków przy podobnych zarzutach jest duża: od 2 i pół roku do paru miesięcy z zawieszeniem. Niewątpliwym *novum* było wprowadzenie po 1 lipca wysokich grzywn w sprawach „o bibułę” — kilkunastu osobom zasądzono po 100-150 tysięcy złotych.

Nowelizacja kodeksu karnego — uchwalona przez Sejm 9 maja, weszła w życie właśnie 1 lipca — przyniosła poza drastycznym podwyższeniem wysokości grzywn, także duże możliwości sądownictwa w trybie przyspieszonym. Władza skwapliwie z tego skorzystała. W lipcu i w sierpniu posypały się wyroki „z bomby”, głównie za bimbrownictwo, spekulację, kradzież. Politycznym rutynowo dawano i tu zarzut z art. 282a §1 kk o wywoływanie niepokojów (zwykle łącznie z art. 45 prawa prasowego o wydawnictwach bezdebitowych). Wszyscy stawiani są przed sądem w ciągu 48 godzin po zatrzymaniu. Nie jest konieczne przedstawienie im zarzutu ani aktu oskarżenia, wystarczy pisemny lub ustny wniosek funkcjonariusza MO, mogą zapadać wyroki do

trzech lat. Jako pierwszy — za strajk 1 lipca — został już następnego dnia skazany na rok więzienia Henryk Grzędzielski ze słupskiej Fabryki Maszyn Rolniczych. Później wyroki „z bomby” zapadały wielokrotnie wobec osób, u których znaleziono wydawnictwa niezależne, ulotki, sprzęt poligraficzny.

Okazało się jednak, że dla władzy tryb przyspieszony nie jest stuprocentowo wygodny: rozprawy prowadzą dyżurni sędziowie, nie zawsze więc trafia się dostatecznie dyspozycyjny skład. Dla wielu sędziów przyzwyczajonych do namiastkowej choćby praworządności procedury, zbyt szokujące okazało się okrojenie niemal do zera postępowania dowodowego i możliwości obrony. Tak więc, ażeby ich ustawić, przed 1 lipca minister sprawiedliwości udał się w objazd po terenie. Na spotkaniu w Lublinie powiedział m.in.: „Sędziowie w wielu dotychczasowych procesach przeszkadzali wprost prokuratorom, którzy głowili się, jak by tu przygotować odpowiednie akty oskarżenia, a sędziowie to wszystko obalali wspólnie z adwokatami. Dlatego też — dodał dla większej jasności — jeśli się ktoś nie nadaje na sędziego, powinien sobie znaleźć pracę jako radca prawny i nie powinien przeszkadzać w naszej polityce”. O tym, że zapowiedzi te nie były gołosłowne, świadczą dwa następujące przypadki: sędzia Julia Zduńczyk, która w procesie rewizyjnym uniewinniła Jacka Kuronia, skazanego przez kolegium na 3 miesiące za manifestację 1-majową, została zdjęta ze stanowiska przewodniczącej wydziału sądu rejonowego; asesora Gołębiowskiego, również z Warszawy, ukarano naganą i wstrzymaniem nominacji na sędziego po uniewinnieniu chłopca, oskarżonego o ublizanie funkcjonariuszowi ZOMO 1 maja. Obydwójgu zwierzchnicy sugerowali, by zwolnili się z pracy w sądzie na własną prośbę.

W miarę jak do zakładów karnych przybywa coraz więcej więźniów politycznych, znowu zaostrza się walka o ich status. W Braniewie 3 tygodnie trwała głodówka ks. Sylwestra Zycha, Józefa Śreniowskiego i Mirosława Andrzejewskiego (15 maja-2 czerwca), którzy domagali się przerwania kilkumiesięcznej izolacji ks. Zycha i wywalczyli umieszczenie go w celi z innym więźniem. Protest głodowy rozpoczął się ponownie 13 sierpnia. Siedmiu więźniów politycznych — już bez Śreniowskiego i Andrzejewskiego, przewiezionych do Łęczycy — co drugi dzień odmawia przyjmowania pokarmów, żądając należnego im statusu. Zapowiedzieli oni kontynuowanie protestu do październikowych wyborów. W Łęczycy 31 lipca dwie cele politycznych wystosowały do naczelnika pismo z żądaniem umożliwienia im kontaktów między sobą, częstszych widzeń z rodzinami, dłuższych spacerów itd. Dwa dni później na spacernik i do cel sprowadzona została atanda (specjalny oddział ochrony więzienia, używany do pacyfikacji protestów); Władysława Frasiuniuka i Józefa Śreniowskiego zamknięto w izolatce. Rozpoczęły głodówkę, następnego dnia przyłączyli się do niej wszyscy więźniowie polityczni z Łęczycy. Protest zakończył się 9 sierpnia, kiedy więźniowie uzyskali możliwość kontaktowania się w celach, na korytarzach i spacerownikach oraz zapewnienie od naczelnika, że będzie negocjował

z ich przedstawicielami pozostałe postulaty. W więzieniu w Siedlcach podjął w lipcu głódówkę Leszek Andrzejewski, brat Mirosława na znak protestu przeciwko bezprawnemu aresztowaniu (zatrzymany na ulicy, gdy wyszedł z domu po papierosy; podczas rewizji nie znaleziono nic). Ponadto na Rakowieckiej były dwa protesty przeciwko karze twardego łoża: w czerwcu i lipcu głodował przez kilka tygodni Marek Gogacz, który otrzymał tę karę za zgodą lekarza więziennego, mimo że jest poważnie chory; w początku sierpnia podjęły głódówkę kobiety: Zofia Floriańczyk, Ewa Kuberna (jej waga spadła poniżej 40 kg) i Małgorzata Magier.

Podwyżki cen podstawowych artykułów i usług wprowadzano etapami wiosną i na początku lata. Z jednej strony podtrzymywało to napięcie społeczne, z drugiej jednak — przez rozłożenie w czasie — podwyżki nie stanowiły punktu na tyle zapalnego, by niezadowolenie mogło się skumulować. W maju i czerwcu nie ustawały akcje propagandowe „Solidarności” wzywające do przeciwstawiania się podwyżkom. 1 lipca, po wprowadzeniu podwyżki cen mięsa, strajków protestacyjnych było niewiele. Na wezwanie TKK odpowiedziało jedynie po kilka zakładów w głównych bastionach „Solidarności” — Wrocławiu, Warszawie i Gdańsku, w skali ogólnopolskiej łącznie kilkadziesiąt załóg. Najsilniej wystąpił Wrocław. Szczególnego rozgłosu nabrała sprawa Słupska, gdzie w Fabryce Maszyn Rolniczych na wydziale W-3 kilkadziesiąt osób na godzinę przerwało pracę, po czym 5 strajkujących zwolniono dyscyplinarnie, a jeden został skazany w trybie przyspieszonym na rok więzienia.

Jednak nie represje, lecz brak przekonania o celowości protestu zadecydował o jego stosunkowo niewielkim zasięgu. Co groźniejsze zakłady zostały wyciszone wcześniejszymi podwyżkami płac lub obietnicami podwyżek. O skali wymuszanych na władzy podwyżek świadczy fakt, że według oficjalnych danych w pierwszym półroczu zarobki w gospodarce społecznej rosły trzykrotnie szybciej niż planowano: w miesiącach styczeń-czerwiec o ok. 20 %, podczas gdy plan na cały rok 1985 przewidywał 12 %.

Po ogłoszeniu w kwietniu kolejnej wersji projektu nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym — idącego jeszcze dalej niż poprzednie w kierunku ograniczenia swobód akademickich — na uczelniach podniosła się ponownie fala oburzenia i protestów. Miały one o wiele szerszy zasięg, przybrały też znacznie bardziej demonstracyjne formy. Uczelnie były oklejone plakatami i hasłami, studenci organizowali wiece (niejednokrotnie z udziałem rektorów) i publiczne zbiórki podpisów pod petycjami. Sejm został zasypany setkami protestów: uchwałami senatów, rad wydziałów, samorządów studenckich, zebrań i wieców, licznymi listami indywidualnymi. Po wiecu na Uniwersytecie Gdań-

skim — w związku z zarzutem, że opinie zbiera się jednostronnie — do podpisywania wyłożono dwa teksty, jeden przeciwko zmianom ustawy, drugi za nowelizacją. Pod pierwszym podpisały się 2.642 osoby, pod drugim — dwie.

„Niejedną taką paranoję przyjdzie nam przeżyć — róbmy swoje” — pod takim hasłem odbywał się zwołany przez samorząd studencki wiec na Uniwersytecie Warszawskim 22 maja. W wystąpieniach — a przemawiali m.in. prorektor i przewodniczący „Solidarności” na UW — podkreślano, że władza niejednokrotnie niszczyła samorządność akademicką i teraz też na pewno, jak za każdym razem, będzie zmuszona przyznać, że był to błąd.

Nie wszędzie władza demonstrowała swoją niechęć do uczelnianych protestów tak wyraźnie jak we Wrocławiu, gdzie podczas wiecu 29 maja Uniwersytet był otoczony przez budy ZOMO i milicyjne patrole, a uczestników fotografowała SB.

Były też akcje protestacyjne nietypowe. Jedna z nich, 12 czerwca we Wrocławiu, w akademikach przy ul. Wittiga, rozpoczęła się od 45-minutowej audycji o nowelizacji ustawy, nadanej o 22-ej przez radio Akademickiego Ruchu Oporu. Audycję kończył apel o „tłuczenie wron” czyli walenie w blaszane parapety okienne, co trwało półtorej godziny, a następnego dnia powtórzyło się w dwu innych akademikach.

W walce przeciwko nowej ustawie studenci zwrócili się o pomoc do rad pracowniczych. Listy w tej sprawie wystosowały w ostatnich dniach maja samorządy uniwersytetów: warszawskiego (podpisany także przez SGPiS, SGGW, Akademię Medyczną i Politechnikę), wrocławskiego i poznańskiego. W odpowiedzi na ten apel uchwały protestujące podjęły m.in. rady Huty Warszawa, CEMI, wrocławskiej Stoczni Rzecznej, Dolmelu, Megabudu, Energoprojektu.

Tymczasem władza, nieodmiennie głucha na masowe głosy protestu, dawała jasno do zrozumienia, że nowelizacja zostanie uchwalona jeszcze w tej kadencji Sejmu. W podkomisji sejmowej referujący projekt nowelizacji minister szkolnictwa Wyższego Miśkiewicz i podsekretarz stanu Rybicki zachowywali się bardzo stanowczo: krzyczeli na posłów i kazali im nową ustawę uchwalić. I rzeczywiście, 25 lipca Sejm przegłosował ją, choć poszło niezupełnie gładko. Podczas głosowania z sali wyszło około stu posłów, głównie pracowników uczelni.

Mimo że celowo odbyło się to latem i że w ostatniej chwili dokonano poprawki ustalającej, że nowe przepisy wchodzi w życie „z dniem ogłoszenia” — tj. na początku sierpnia, kiedy studenci są na wakacjach — odezwał się jednak ważki głos protestu. Na Uniwersytecie Warszawskim 29 lipca spotkali się przedstawiciele samorządów studenckich 10-ciu uczelni: UJ i AGH z Krakowa, uniwersytetów łódzkiego, poznańskiego, toruńskiego, wrocławskiego, opolskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej, a z Warszawy Uniwersytetu, Politechniki i SGGW. Wydali oni wspólne oświadczenie mówiące m.in., że skoro Sejm uchwal-

ustawę, to nie wezmą udziału w zbliżających się wyborach do Sejmu.

Jak w praktyce będzie wyglądał wpływ nowych restrykcyjnych przepisów na życie akademickie, pokażą nadchodzące miesiące. Jednak pierwsze sygnały już są: na UW zostały zamknięte i opieczątowane lokale samorządu i Międzywydziałowego Koła Naukowego „Wiedza”.

W ostatnich miesiącach dużo się mówiło o samorządach pracowniczych. Te z nich, które miały poparcie załóg, umacniały się i występowały coraz ostrzej. Najbardziej znany przykład to Rada Pracownicza Huty Warszawa. Wystąpiła ona przeciwko zarządzeniu ministra o przeglądach kadrowych — sprawa trafiła nawet w maju do sądu. Rada utrzymała kontrolę nad przydzielaniem mieszkań zakładowych, którą cały czas usiłują jej wyrwać POP PZPR, neozwiązki i ZSMP. Obroniła swoje prawo do decydowania o zasadach podziału funduszu socjalnego. Zaprotestowała przeciwko zmianom ustawy o związkach zawodowych. Zorganizowała referendum na temat sposobu wypłacania 14-tej pensji, wzięło w nim udział blisko 3/4 załogi.

Samorządy potrafiły przeciwstawić się dyrekcjom w sprawach drażliwych politycznie. W warszawskiej „Róży Luksemburg” Rada nie dopuściła do wydania 20 tys. zł z zysku na sztandar dla Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych. W gdyńskim „Klimorze” jednogłośnie odmówiła zgody na przekazanie jakichkolwiek kwot z zysku za 1984 rok Federacji Związków Zawodowych Przemysłu Okrętowego. Ogólne zebranie delegatów FSO zażądało przywrócenia do poprzedniej pracy wszystkich wyrzuconych z zakładu lub przesuniętych na inne stanowiska w czasie stanu wojennego.

Najbardziej jednak nie podoba się władzy chyba to, że samorządy się pomiędzy sobą dogadują. Wspólną akcją kilku rad pracowniczych były wystąpienia przeciwko przeglądowi kadrowym (ideologicznym ocenom pracowników), przeciwko nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym oraz ustawy o związkach zawodowych i innych aktów prawnych uszczuplających samorządność przedsiębiorstw.

Po ogłoszeniu w połowie czerwca terminu jesiennych wyborów do Sejmu przygotowania „Solidarności” do propagandowej akcji antywyborczej i niezależnego liczenia frekwencji weszły w fazę bardziej intensywną.

TKK powołała swego pełnomocnika do spraw kontroli frekwencji wyborczej — Konrada Bielińskiego, członka RKW Mazowsze — i poleciła powołać pełnomocników regionalnych.

Ponieważ pomiar ma być ogólnopolski — co wymaga starannej koordynacji i wielu przygotowań organizacyjnych — w sierpniu i na początku września opublikowane zostały szczegółowe instrukcje do akcji „5 minut”, polegającej na czterokrotnym zli-

czaniu głosujących przez 5 minut w określonych porach dnia, do obserwacji całodiennej oraz instrukcja dla członków komisji wyborczych.

Władza ze swej strony czyni kurczowe wysiłki, aby ożywić kampanię wyborczą. Ze przydzielone na ten cel 1 mld 39 mln złotych i półtora miliona dolarów „radio i telewizja powinny zapewnić bogatą i barwną oprawę informacyjno-propagandową (...). Musi ona różnić się i odbiegać od dotychczasowych stereotypów (...).”

Ciągoty neostalinowskie ekipy Jaruzelskiego ujawniały się w ostatnim okresie coraz wyraziściej. Z perspektywy czasu okazało się jednak, że rezultaty tych poczynań są dosyć mierne. Po raz kolejny nie sprawdziło się twierdzenie o likwidacji opozycji, ogłoszone na wyrost przez Kiszczaka z trybuny sejmowej jeszcze w maju. Nie powiodła się operacja zlikwidowania nawisu inflacyjnego za pomocą podwyżek cen, ich skutki całkowicie zniwelował wzrost płac wymuszony naciskami społecznymi.

Nie można też powiedzieć, by bilans zysków i strat wypadł na korzyść społeczeństwa. Ilość więźniów politycznych rośnie, podwyżki weszły w życie, jeszcze silniej rozkręcając spiralę inflacyjną. Pomimo niebywale szerokiej mobilizacji środowiska nie udało się zablokować ustawy o szkolnictwie wyższym. Sytuacja jest więc nadal patowa, a zatem główną strategią wciąż pozostaje hamowanie totalitarnych zapędów władzy.

(aj)

Szczecińskie wydawnictwa podziemne

SPIS SZCZECIŃSKICH CZASOPISM PODZIEMNYCH WYDAWANYCH OD POCZĄTKU STANU WOJENNEGO

1. *Ar.* Czasopismo społeczno-polityczne dla rolników. Od 1984 roku.
2. *BiS.* Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność” Pomorza Zachodniego. Od stycznia 1983 roku.
3. *Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność” Pomorza Zachodniego.* Od 1981 do grudnia 1982 roku (potem *BiS*).
4. *Biuletyn Polskiej Socjalistycznej Partii Pracy.* Od 1983 roku.
5. *CDN.* Pismo społeczno-informacyjne NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego. Od 1983 roku.
6. *Feniks.* Nieregularny tygodnik Międzyzakładowego Komitetu Koordynującego Pomorza Zachodniego. Od kwietnia 1982 do listopada 1982 r.
7. *Grot.* Pismo NSZZ „Solidarność” stoczniovców. Od lipca 1983 roku.
8. *Informacje bieżące.* Pismo Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego. Od 1983 roku.

9. *Jednodniówka bezokolicznościowa*. Od listopada 1982 do grudnia 1983 r.
10. *Jedność*. Redaguje Tajne Kolegium NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego. Od sierpnia 1980 roku.
11. *Komentarze*. Dodatek do Biuletynu Informacyjnego.
12. *Kotwica*. Dwutygodnik NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego. Od 1982 roku.
13. *Na wyspach*. Biuletyn MRKW NSZZ „Solidarność” — Świnoujście. Od 1983 do 1984 roku.
14. *Obecność*. NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego. Od stycznia 1984 roku.
15. *OBP — stan zawieszony*.
16. *Obraz*. Miesięcznik społeczny. Wydaje niezależny zespół solidarnościowy. Od maja 1983 roku.
17. *Od dołu*. Wydaje Komitet Oporu Społecznego KOS NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego.
18. *Okno*. NSZZ „Solidarność”. Oświata, Kultura, Nauka, Opór. Gdańsk, Katowice, Kraków, Lublin, Łódź, Poznań, Szczecin, Warszawa, Wrocław. Od kwietnia 1982 roku.
19. *Prolet*. Tygodnik NSZZ „Solidarność”. 1982 r.
20. *Solidarność*. Tygodnik Komitetu Międzyzakładowego. Od 1982 roku.
21. *Solidarność Pomorza Zachodniego*. Pismo Zarządu Regionu Pomorza Zachodniego NSZZ „Solidarność”. Wiadomości, opinie, komentarze. Komitet Oporu Społecznego KOS. Od 1982 do 1984 roku.
22. *Solidarność walcząca*. Pismo NSZZ „Solidarność”. Od 1982 roku.
23. *Ster*. Nieregularny tygodnik Stoczni Szczecińskiej. 1982 r.
24. *Świt*. Wydaje Niezależny Komitet Oporu Społecznego NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego. Od 1982 do 1983 roku.
25. *Termit*. Wydaje WPKM. Od maja 1985 roku.
26. *Z podziemia*. Pismo Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego. Od kwietnia 1982 roku.

SPIS SZCZECIŃSKICH KSIĄŻEK PODZIEMNYCH

1. Nowak Leszek: *Antyrakowski — czyli o tym, co wygwizdali wicepremierowi robotnicy*. Niezależne Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1984. Stron 34 + 4, cena — 100 + 25 zł. na pomoc dla represjonowanych.
2. Bratkowski Stefan: *Memoriał. W kwestii prawa i porządku czyli o możliwości uzdrowienia gospodarki polskiej*. Niezależne Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1984. Stron 13 + 2, cena 60 zł.
3. Jerzewski Leopold (red.): *Spojrzenie z drugiej strony*. Wolna Drukarnia Wałkowa Gryps. Szczecin 1982. Stron 19.
4. Wiernikowski Andrzej: *Przygody w księstwie nieśmiałości*. Niezależne Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. Stron 24, cena 80 zł.

SPIS KASET MAGNETOFONOWYCH WYDANYCH W SZCZECINIE

1. *Niech żyje wojna*. Przegląd Piosenki Prawdziwej — Gdańsk 1981. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1984. C-60, mono OK-001, cena 600 zł.
2. *Internat*. Z niewielką pomocą swoich przyjaciół śpiewa Zbigniew Iwanow. Nagrania dokonano w ośrodku odosobnienia dla internowanych w Strzebielinku w październiku 1982 roku. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1984. C-60, mono OK-002, cena 600 zł.
3. *Róbmy swoje*. Teksty i wykonanie Wojciech Młynarski, akompaniament J. Derfel, realizacja J. Gryficz. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1984. Na licencji NOW-iej, Warszawa, C-60, stereo, cena 650 zł, OK-003.

4. *Bojkot*. Aktorzy przeciwko stanowi wojennemu — audycja J. Galla. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. Na licencji NOW-iej, Warszawa. C-60, stereo, OK-004, cena 650 zł.
5. *Pompeja*. Teksty i wykonanie J. Kaczmarek, muzyka Z. Łapiński. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. Na licencji NOW-iej, Warszawa. C-60, stereo, OK-005, cena 650 zł.
6. *Na granicy*. Program kabaretu Tey (nagrania dokonano w 1981 roku) — Zenon Laskowik, Bogdan Smoleń, Rudi Schubert. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. C-60, mono, OK-006, cena 640 zł. (poza Regionem: 700 zł.).
7. *1984*. Adaptacja książki George'a Orwella. Tłumaczenie: Juliusz Mieroszewski, adaptacja: Maria Krzesińska, reżyseria: Andrzej Radomski, realizacja: A.D.44 Studio „Oddział Zewnętrzny OZ” (część I). Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. Na licencji NOW-iej, wydano przy pomocy Komitetu Kultury Niezależnej. C-60, stereo, OK-007, cena kompletu I/II 1.200 zł.
8. *1984*. Adaptacja książki George'a Orwella. Tłumaczenie: J. Mieroszewski, adaptacja: M. Krzesińska, reżyseria: A. Radomski, realizacja: A.D.44 Studio „Oddział Zewnętrzny OZ” (część II). Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. Na licencji NOW-iej, Warszawa. Kasetę wydano przy pomocy Komitetu Kultury Niezależnej. C-60, stereo, OK-008, cena kompletu I/II 1.200 zł.
9. *Piosenki zakazane*. Recital Macieja Zembatego, nagrany 12 grudnia 1981 roku. Wykonanie: M. Zembaty, tekst i muzyka: M. Zembaty, L. Cohen. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. C-60, mono, OK-009, cena 640 zł. (poza Regionem 200 zł.).
10. *Dezertrzy?!* Reportaż Wandy Szaad. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. Na licencji NOW-iej, Warszawa. Nagroda kulturalna „Solidarność” za rok 1984. C-60, stereo, OK-010, cena 650 zł.
11. *O cenzurze*. Autor: Jacek Fedorowicz. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. C-60, stereo, OK-011, cena 640 zł. (poza Regionem 700 zł.).
12. *Szczecin, sierpień '80*. Montaż archiwalnych rozmów w Stoczni Szczecińskiej w sierpniu 1980 roku. Autor: Wincenty Kosiak. Kasetę zrealizowano przy pomocy RK NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. C-60, mono, OK-012, cena 640 zł. (poza Regionem 700 zł.).
13. *Polski sierpień*. Reportaż z sierpnia 1980 roku z Gdańska. Na licencji NOW-iej, Warszawa. Grand Prix Italia '81. Autor: Janina Jankowska. Wydawnictwo Oficyna. Szczecin 1985. C-60, stereo, OK-013, cena 650 zł.

Konfiskaty w PRL

URZĄD CELNY PORT LOTNICZY
w Warszawie
kod 00-906

Telefony: Centrala 46-98-70
Sekretariat 46-06-72

Obywatelka
Janina Mikołajczyk
Warszawa
ul. Schillera 4 m. 49

Nr 16-PC-442-410/84. Data 13. 12. 84 r.

DECYZJA

o przypadku przedmiotów w postępowaniu celnym.

Urząd Celný Port Lotniczy w Warszawie po rozpatrzeniu sprawy przywozu z zagranicy przedmiotów zatrzymanych według protokołu z dnia 21. 11. 84 r.

orzeka

przepadek 1 egz. książki pt. „Armia Podziemna”,
1 egz. ks. pt. „Czy diabeł może być zbawiony”,
1 egz. „Widz i uczestnik”
oraz wydanie stronie pozostałych przedmiotów, zdeponowanych według pokwitowania nr 187025 z dnia 21. 11. 84 r.
Podstawa prawna: art. 13 Prawa celnego z 1975 r.

Uzasadnienie

Postanowiono jak w sentencji, ponieważ wyżej wymienione książki są zabronione do przywozu i na podstawie powołanego przepisu podlegają przepadkowi. Natomiast pozostałe książki są do odbioru w pokoju 83 tut. Urzędu. Od niniejszej decyzji służy odwołanie do Głównego Urzędu Ceł w Warszawie za pośrednictwem tutejszego Urzędu w terminie [XX] dni od dnia doręczenia decyzji.

Do odwołania należy dołączyć opłatę skarbową w znaczkach skarbowych w wysokości 50 zł od odwołania i po 5 zł od każdego załącznika.

Z-ca Dyrektora Urzędu Celnego
Bogdan CHMIELECKI

LISTA PUBLIKACJI

1. „Armia Podziemna” — 1 egz.
2. „Czy diabeł może być zbawiony” — 1 egz.
3. „Widz i uczestnik”
4. „Wielka gra”
5. „Szkie o literaturze emigracyjnej”.

Warszawa, dnia 1985. 03. 28.

KC III 44-62/85

DECYZJA

Na podstawie art. 127 § 2 i art. 138 ust. 1 pkt 1 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. — Kodeks postępowania administracyjnego (jednolity tekst Dz.U. Nr 9, poz. 26 z 1980 r.) i art. 13 ustawy z dnia 26 marca 1975 r. — Prawo celne Dz.U. Nr 57, poz. 290), po rozpatrzeniu wniesionego w terminie odwołania Ob. Stanisława Mikołajczyka Warszawa ul. Schillera 4 m. 49 od decyzji Urzędu Celnego Port Lotniczy w Warszawie z dnia 13 grudnia 1984 r. Nr 16-PC-442-401/84 i Nr 16-PC-442-410/84 o orzeczeniu przepadku 5 egzemplarzy publikacji wg załączonej listy

Główny Urząd Ceł —

— utrzymuje w mocy zaskarżoną decyzję.

Uzasadnienie

W dniu 17 i 21 listopada 1984 roku Urząd Celný Port Lotniczy w Warszawie dokonał kontroli celnej przesyłek przeznaczonych dla Ob.Ob. Doroty Fuksiewicz i Janiny Mikołajczyk i w jej wyniku zatrzymał wyżej wymienione publikacje.

W trakcie dalszego postępowania ustalono, że zawierają one treści szkodliwe dla dobra i interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a ponieważ przywóz takich publikacji jest zakazany Urząd Celný Port Lotniczy w Warszawie decyzjami z dnia 13 grudnia 1984 roku orzekł przepadek zatrzymanych publikacji.

Od decyzji tej Ob. Mikołajczyk złożył odwołanie, w którym prosi o zwrot w/w publikacji. Prośbę swoją motywuje m.in. potrzebą wykorzystania orzeczonych publikacji do pracy zawodowej, albowiem jest On twórcą programów pod nazwą „Koncerty Żywego Słowa”. Podkreśla również, że w/w publikacje będą wykorzystane zgodnie z tematem programów „związanych z polityką budowania pomostów między Polakami mieszkającymi w kraju i na emigracji”.

Rozpatrując odwołanie Główny Urząd Ceł zważył co następuje:

Poddając ocenie w/w publikacje stwierdzono, że zawierają one treści godzące swoją wymową w ustrój socjalistyczny, politykę Związku Radzieckiego i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przedstawiają również w sposób tendencyjny fakty historyczne z współczesnej historii.

Wobec powyższego treść ich jest szkodliwa dla dobra i interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, albowiem godzi ona w konstytucyjne zasady polityki zagranicznej naszego państwa i Jego sojusze.

Decyzja niniejsza jest ostateczna w postępowaniu administracyjnym.

Na niniejszą decyzję służy skarga do Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Decyzja może być zaskarżona, o ile jest ona niezgodna z prawem (art. 196 § 1 kpa).

Skargę na piśmie można złożyć osobiście lub przesłać listem poleconym do Głównego Urzędu Ceł w Warszawie, ul. Świętokrzyska 12 nr kodu 00-916, w terminie 30 dni licząc od dnia następnego po dniu otrzymania decyzji.

Przy wnoszeniu skargi do Naczelnego Sądu Administracyjnego musi być opłacony sądowa w wysokości uzależnionej od wartości przedmiotu sporu (§ 1 rozp. Rady Ministrów z dnia 30. VIII. 1980 r. Dz.U. Nr 20, poz. 73).

Opłatę sądową wnosi się bezpośrednio do Naczelnego Sądu Administracyjnego, ul. Jasna 1, nr kodu 00-950 Warszawa.

Załącznik: Lista publikacji.

- Otrzymują: 1. Ob. Stanisław Mikołajczyk
Warszawa, ul. Schillera 4, m. 9.
2. Urząd Celny Port Lotniczy w Warszawie
+ akta sprawy.

Zatrzymane publikacje zostają w GUC.

Z upoważnienia
Prezesa Głównego Urzędu Cei
mgr J. MARCINKOWSKI

Identyczną decyzją (nr KC III-44-558/85) z 11 lipca 1985 Główny Urząd Cei zarządził przepadek nadesłanych temuż St. Mikołajczykowi „Rozdzinnej Europy”, „Zniewolonego umysłu”, „Świadectwa poezji”, „Zdobycia władzy” Czesława Miłozza oraz dwu egzemplarzy II tomu publikacji „Straty kultury polskiej — 1939-1944”.

ODPIS

Urząd Celny Pocztowy
ul. Chmielna 75
00-805 Warszawa
L. dz. 44-2039/85

Warszawa, dnia 10. 02. 1985.
Ob. Andrzej Gliwiński
ul. Dyląga 51/30
41-200 Sosnowiec

DECYZJA

o przypadku przedmiotów w postępowaniu celnym

Urząd pocztowy w Warszawie po rozpatrzeniu sprawy wysłania za granicę przedmiotów zatrzymanych według protokołu z dnia 1. X. 1985 r. w przesyłce nr R 023446 z UPT Tarnowskie Góry przez Andrzeja Gliwińskiego dla ob. T. Framcheani, Plac 10, 3405 Rosdorf — RFN na podstawie art. 13 ust. 1, 3 prawa celnego (jednolity tekst ogłoszony w Dz.U. nr 57, poz. 290 z 1984 r.)

orzeka

— przepadek artykułu odręcznego pt. *Polska pomiędzy Wschodem a Zachodem*.

Orzeczono przepadek z uwagi na zakaz wywozu, ponieważ wymienione publikacje zawierają treść szkodliwą dla dobra i interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Od niniejszej decyzji stronie przysługuje odwołanie do Głównego Urzędu Cei za pośrednictwem tut. urzędu w terminie 14 dni od dnia jej doręczenia. Do odwołania należy dołączyć znaczki opłaty skarbowej w wysokości 50 zł od odwołania i po 5 zł od każdego załącznika.

Dyrektor Urzędu Celnego
(W. MAŁECKI)

UCP 27/85 — 8000

Naczelnik Oddziału
mgr Jolanta SADOWSKA

Sprawy i troski

Stanowisko Kongresu Polonii Amerykańskiej

WYWIAD Z KAZIMIERZEM ŁUKOMSKIM*

KULTURA: — *Jakie stanowisko zajmuje Kongres Polonii Amerykańskiej w stosunku do reżymu generała Jaruzelskiego wobec wzmocnienia polityki represji?*

KAZIMIERZ ŁUKOMSKI: — Stanowisko to określa oświadczenie Krajowej Rady Dyrektorów KPA, uchwalone na zebraniu w czerwcu br. Stwierdza ono, że „rozwój wydarzeń w Polsce na przestrzeni minionego roku wskazuje niedwuznacznie, że celem władz komunistycznych jest zrównanie społeczeństwa polskiego w dół, do poziomu bezwolnej, biernej masy ludzkiej, ślepo i bezkrytycznie poddającej się dyrektywom i nakazom kierowanego z Kremla warszawskiego Politbiura”. Podobną ocenę rządów generała Jaruzelskiego zawiera oświadczenie KPA, wydane w przeddzień jego przyjazdu do Nowego Jorku na sesję Ogólnego Zgromadzenia ONZ we wrześniu br. Oskarża ono generała Jaruzelskiego, że ulegając dyrektywom Gorbaczowa „stoi na czele komunistycznej dyktatury, której celem jest złamanie zdecydowanego oporu narodu polskiego przeciwko komunistycznemu zniewoleniu”. Taka jest, niestety, logiczna konkluzja oparta na faktach rozwiniętych w dalszej części oświadczenia KPA.

KULTURA: — *Sformułowania, które Pan przytoczył odzwierciedlają usztywnienie stosunku KPA do rządów gen. Jaruzelskiego w porównaniu z jesienią ub. roku, kiedy po tak zwanej amnestii Kongres wydawał się zajmować stanowisko bardziej umiarko-*

* Kazimierz Łukomski, wiceprezes Kongresu Polonii Amerykańskiej i przewodniczący Komisji Spraw Polskich KPA.

wane, ulegając w pewnym stopniu teorii większego i mniejszego zł. Jak Pan to skomentuje?

K.Ł.: — W dużej mierze tak było istotnie. „Amnestię”, w wyniku której zwolnionych zostało ponad 650 więźniów politycznych przyjęliśmy jako zapowiedź podjęcia przez władze polityki umiarkowania, która stworzyłaby szansę jakiegoś porozumienia i ułożenia nowego typu stosunków pomiędzy władzą i społeczeństwem. Nie był to pogląd odosobniony. Krakowski *Tygodnik Powszechny* pisał w wydaniu z 29 lipca 1984 roku, że: „ten pierwszy ważny krok stwarza szansę otwarcia społecznego w Polsce, ukazania ludziom realnych perspektyw egzystencji i działania”. W tej sytuacji uważaliśmy za wskazane, żeby tak istotne — jak wtedy oceniliśmy — posunięcie władz spotkało się z współmierną reakcją rządu Stanów Zjednoczonych. Od czasu nałożenia sankcji w grudniu 1981 roku prezydent Reagan niejednokrotnie podkreślał, że zostaną one zniesione w miarę poprawy w zakresie poszanowania praw ludzkich w Polsce. Był to więc odpowiedni moment, żeby to stanowisko uwiarygodnić, dając przy tym niedwuznaczny sygnał, że dalsze posunięcia rozszerzające zakres praw ludzkich w Polsce spotkają się z równie znaczącymi koncesjami ekonomicznymi ze strony rządu Stanów Zjednoczonych.

Jak wiadomo, administracja prezydenta Reagana zamierzała początkowo ograniczyć reakcję na zwolnienie więźniów politycznych do cofnięcia zakazu regularnej komunikacji lotniczej LOT-u między Polską i Stanami Zjednoczonymi oraz do wznowienia wymiany naukowej. Uznaliśmy to za niewystarczające i zabiegaliśmy o wycofanie veta amerykańskiego na członkostwo Polski w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Stanowisko Kongresu przeważało wtedy decyzję prezydenta Reagana na korzyść wycofania veta, czemu przeciwstawiły się niektóre środowiska rządowe i co spotkało się z krytyką pewnych środowisk emigracyjnych.

Jak wiadomo, szansa porozumienia ze społeczeństwem zawodła. W odpowiedzi jakby na świadomie podjęte przez rząd Stanów Zjednoczonych i poparte przez Polonię posunięcie, otwierające drogę do dalszej normalizacji wzajemnych stosunków, władze podjęły na nowo, ze wzmoczoną siłą, akcje represji. Wydaje się oczywiste, że stało się tak m.in. wskutek presji towarzyszy sowieckich, a zwłaszcza Gorbaczowa.

KULTURA: — *Dlaczego spośród obowiązujących wtedy sankcji zdecydowaliście się popierać wycofanie veta na przystąpienie Polski do MFW, a nie wznowienie kredytów na zakup artykułów rolnych lub przywrócenie klauzuli największego uprzywilejowania w odniesieniu do taryf celnych w handlu pomiędzy oboma krajami?*

K.Ł.: — Nie jest dla nikogo — także dla władz PRL — tajemnicą, że warunkiem poprawy sytuacji gospodarczej Polski jest uzyskanie pomocy ekonomicznej, głównie Stanów Zjednoczonych i innych krajów Zachodu. Członkostwo Polski w MFW umożliwiłoby Polsce uzyskanie tak potrzebnych kredytów. Jednocześnie państwa zachodnie, które w przeważającej mierze finansują i kontrolują działalność MFW, uzyskałyby pewien wgląd w system gospodarczy i pewien wpływ na zastosowanie reform, koniecznych do usprawnienia gospodarki polskiej, co z kolei jest nieodzowne dla jej długoterminowej odbudowy.

Same jednak kredyty zachodnie i nawet ich celowe wykorzystanie jeszcze nie wystarczają. Dalszym koniecznym warunkiem jest zwiększenie wydajności pracy na wszystkich szczeblach polskiej gospodarki. „Dla osiągnięcia jakiegokolwiek postępu ekonomicznego, spełnienie choćby minimalnych warunków politycznych jest absolutnie konieczne” stwierdzało niedawno oświadczenie NSZZ „Solidarność”, omawiające uwarunkowania przystąpienia Polski do MFW: „Żeby zapewnić atmosferę i mechanizmy pokojowego rozwiązywania konfliktów w zakładach przemysłowych, co jest konieczne dla zapewnienia większej produktywności, pluralizm związkowy — więc prawo pracowników do zakładania i wstępowania do organizacji odpowiadającym ich potrzebom — musi być dozwolone. Ponadto, tajemnica i cenzura odnośnie zagadnień ekonomicznych (z wyjątkiem dotyczących spraw wojska) musi być zniesiona. Bez tych warunków niemożliwa jest niezależna kontrola decyzji politycznych” (chodzi tu chyba o decyzje dotyczące gospodarki. Przytoczone cytaty są tłumaczeniem z dostępnego mi tekstu angielskiego).

Dopiero skoordynowane kredyty zachodnie, konieczne reformy zarządzania gospodarką, ujawnienie informacji o stanie i problemach gospodarczych kraju i spełnienie postulatów społeczno-politycznych „Solidarności”, stwarzałyby realne warunki do odbudowy gospodarki polskiej. Wszystkie te elementy winny być podstawą obustronnych negocjacji zmierzających do przyjęcia Polski do MFW, co nawet przy wycofaniu amerykańskiego veta nie jest sprawą z góry przesądzoną. Zależy od pozytywnych rozwiązań całości problemów, które wskazałem.

Z drugiej strony wznowienie kredytów rolniczych lub przywrócenie klauzuli największego uprzywilejowania byłoby aktami jednostronnymi i nieodwracalnymi.

KULTURA: — *Jak Pan ocenia wizytę generała Jaruzelskiego w Nowym Jorku?*

K.Ł.: — Chyba najtrafniej podsumowała to redakcja nowojorskiego *Nowego Dziennika*: „W sumie Jaruzelski przyjechał i

Jaruzelski odjechał. W sytuacji Polski nic się nie zmieniło". Odnosi się to zarówno do sytuacji wewnętrznej Polski, jak do jej stosunków międzynarodowych. Spotkania Jaruzelskiego z szefami rządów ograniczyły się do premiera Brazylii i kilku innych mniej znaczących krajów. Nie było kontaktów z członkami rządu Stanów Zjednoczonych ani, o ile wiem, Wielkiej Brytanii, Francji i RFN. Rozmowy w Fundacji Rockefellera dotyczyły pomocy rolnictwu, którym Fundacja jest zainteresowana od kilku lat. Można spodziewać się, że ruszy ona z martwego punktu, podobnie jak Fundacja Pomocy Rolnictwu Indywidualnemu zainicjowana przez Episkopat. Uruchomienie obu tych inicjatyw byłoby pozytywnym krokiem naprzód w tak bardzo istotnym sektorze polskiej gospodarki. Jest natomiast mało prawdopodobne, żeby projekt, jaki generał Jaruzelski wysunął w ONZ, zwołania w Krakowie konferencji głównych państw-dłużników celem omówienia wspólnych problemów i uzgodnienia jakiegoś wspólnego stanowiska, był poważnie potraktowany. Nie sądzę, by na przykład Brazylia (105 miliardów dolarów długu), Meksyk (100 miliardów dolarów), Argentyna 47 miliardów dolarów) i inne kraje o ustrojach demokratycznych chciały rozwiązywać swoje bardzo złożone problemy we współpracy z komunistyczną dyktaturą.

Wizyta generała Jaruzelskiego miała także swoje dobre, choć niezamierzone strony: ożywiła zainteresowanie sprawami polskimi, choć wyrazem tego zainteresowania był nieraz zniekształcony obraz rzeczywistości Polski. Z poważnych wystąpień należy odnotować artykuł redakcyjny *Washington Post*, który nawiązując do wypowiedzi kardynała Glempa i Lecha Wałęsy — obaj wypowiedzieli się za zniesieniem sankcji — wyraził opinię, że Amerykanie powinni słuchać autentycznych głosów narodu polskiego, więc znieść pozostałe sankcje. Przy czym, powołując się na komentarz Lecha Wałęsy, *Washington Post* ostrzega, że Zachód powinien domagać się gwarancji, że nowe pożyczki nie zostaną roztrwonione. „Polsce trzeba pomóc natychmiast, gdy taka pewność zaistnieje”. W innym wpływowym dzienniku, *New York Times*, opublikowany został na pierwszej stronie niedzielnego wydania z 28 września artykuł Johna Darntona, byłego wieloletniego korespondenta pisma w Warszawie, omawiający krytycznie wywiad z generałem Jaruzelskim. Darnton zdecydowanie kwestionuje niektóre wypowiedzi generała Jaruzelskiego, jak na przykład jego twierdzenie, że decyzja wprowadzenia stanu wojennego została spowodowana postępującą ruiną gospodarczą, dezorganizacją funkcjonowania aparatu państwowego i groźbą wojny domowej, oraz że reżym aprobował i przyjmował idee „Solidarności”, czego dowodem ma być wprowadzenie reform ekonomicznych, urlopy macierzyńskie i niedzielne msze św.

Darnton podkreśla, że był obecny w Polsce w czasie ogłosze-

nia stanu wojennego. „Nie widziałem anarchii. Nie widziałem środowisk opozycyjnych, które posiadałyby broń. Nie widziałem demonstracji ulicznych”, pisze. W innym miejscu Darnton zaprzecza twierdzeniom Jaruzelskiego o przyjmowaniu ideałów „Solidarności”: „Najważniejsze spośród nich, jak ograniczenie cenzury, prawo do strajku i organizowania niezależnych związków zawodowych oraz zastosowanie zasad pluralizmu, zostały odrzucone”. O stanowisku Polonii już mówiłem, przytaczając fragmenty oświadczenia Kongresu Polonii Amerykańskiej, które w całości zostało opublikowane w tymże *New York Times*. Poza tym środowiska polonijne dały wyraz swemu potępieniu reżymu w demonstracjach przed siedzibą Misji Polskiej przy ONZ. Główna manifestacja, zorganizowana przez KPA, odbyła się w czwartek 26 września. Przemawiali na niej m.in. burmistrz Nowego Jorku Edward Koch, prezes centrali związków zawodowych AFL-CIO Lane Kirkland i prezes KPA Alojzy Mazewski. Udział w niej wzięły liczne grupy z okolicznych stanów, jak Connecticut, Massachusetts, Rhode Island, New Jersey i Waszyngton, ale także z bardziej odległych jak Ohio, Michigan i Illinois. Stosunkowo najmniej było nowojorczan! Nie otrzymałem jeszcze prasy reżymowej, która niewątpliwie będzie przedstawiała wizytę gen. Jaruzelskiego jako pełny sukces. Sądzę, że cytowana już konkluzja *Nowego Dziennika*, że „Jaruzelski przyjechał i Jaruzelski odjechał, a w sytuacji Polski nic się nie zmieniło” najlepiej oddaje rzeczywistość.

KULTURA: — *I co dalej? Jak Pan widzi dalszy bieg wypadków w Polsce i wynikające z tego stanowisko Kongresu? Jakie w tej sytuacji postulaty będziecie wysuwać wobec rządu Stanów Zjednoczonych?*

K.Ł.: — No cóż. Najbliższa przyszłość nie wróży nic dobrego. Obroza pozostanie zaciśnięta. Można tylko, na podstawie doświadczeń minionych lat, spodziewać się, że okresowo będzie ona luzowana, to znów zaciskana. Jaruzelski zapowiedział na przykład w ONZ, że jeżeli wybory dadzą (w ocenie władz) pozytywny wynik, to prawdopodobnie zostaną zwolnieni więźniowie polityczni, a jest ich obecnie blisko 400. Daj Boże. To coś. A jednocześnie to tak niewiele.

Z drugiej strony nie ma wątpliwości, że dalszą walkę o prawa ludzkie i obywatelskie, o narodową suwerenność, o prawo do decydowania o kształcie i treści swego życia narodowego, naród polski będzie kontynuował z niesłabnącą — i podziwu godną — determinacją. Tak jak „przez minionych 40 lat, wykazując bezprzykładowy hart, naród polski zwycięsko przeciwstawił się komunistycznym wysiłkom złamania jego woli oporu i zniewolenia jego

umysłu i narodowej świadomości” — cytuję z oświadczenia KPA — tak samo „jesteśmy przekonani, że i z tego nowego etapu walki z komunistyczną przemocą, kierowaną przez alians Gorbaczowa i Jaruzelskiego, naród polski wyjdzie zwycięsko”. Ale walka będzie długa, żmudna, wymagająca ofiar i poświęcenia.

W tej sytuacji będziemy kontynuowali naszą pomoc charytatywną, kierowaną poprzez Komisję Charytatywną Episkopatu. Oczywiście, nawet jeżeli wartość przesłanej żywności, leków i sprzętu medycznego wyraża się na przestrzeni ostatnich lat sumą ok. 60 milionów dolarów, jest to pomoc symboliczna tylko, niezdolna zaspokoić rozmiaru potrzeb. Tymczasem nadmierna eksploatacja, jak przede wszystkim w przemyśle górniczym, starzenie się maszyn i innego wyposażenia zakładów przemysłowych oraz brak surowców powodują spadek produkcji i grożą jej postępującym zastojem. Drastyczny brak leków, sprzętu medycznego i ekwipunku szpitalnego od szeregu już lat stanowi poważne zagrożenie dla zdrowia społeczeństwa, zwłaszcza rosnących pokoleń; statystyka śmiertelności niemowląt i przeciętnej długości życia Polaków jest tego tragicznym dowodem. Gwałtownie postępujące zanieczyszczenie środowiska jest bombą zegarową o nieobliczalnym potencjale niszczycielskim. Nie sposób tutaj wchodzić w szczegóły. Sytuacja jest więcej niż krytyczna. W obecnych warunkach pełnego impasu w stosunkach pomiędzy PRL i krajami zachodnimi nie sposób dostrzec w tym ponurym obrazie przystoiwego światła u wylotu tunelu. Nikt, łącznie z generałem Jaruzelskim, nie może mieć wątpliwości, że tylko wszechstronny, długoterminowy, rozsądnie zaplanowany i przeprowadzony program pomocy ekonomicznej Zachodu może tę sytuację zmienić. Pierwszym krokiem mogłoby być uruchomienie pomocy dla rolnictwa Fundacji Rockefellera i Fundacji Episkopatu. Obie są gotowe do startu. Wymagają tylko decyzji władz PRL. Od czegoś trzeba zacząć. Co dalej? Zagadnienie to jest na bieżąco przedmiotem poważnych rozważań i narad w zespole kierowniczym Kongresu Polonii Amerykańskiej. Trudno wyprzedzać decyzje, jakie zapadną. Sądzę jednak, że w naszych decyzjach i postulatach kierowanych do rządu i Kongresu Stanów Zjednoczonych powinniśmy kierować się zasadą, że zahamowanie kryzysu i odbudowa gospodarki polskiej wymagają najszerzego otwarcia kraju na Zachód i przełamania impasu w stosunkach pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Polską, co w konsekwencji umożliwiłoby normalizację stosunków ekonomicznych i zakresu pomocy na poziomie przed grudniem 1981 roku, a na dalszym etapie podjęcie przez Stany Zjednoczone, we współpracy z krajami Europy Zachodniej, programu długoterminowej pomocy ekonomicznej.

W stosunkach międzynarodowych obowiązuje dwustronność. Odnosi się to także do normalizacji stosunków pomiędzy Polską

i Zachodem. Zachód, co oczywiste i zrozumiałe, wymagać będzie gwarancji, że nowa pomoc nie zostanie zmarnowana. Jest również oczywiste, że — jak argumentowało wspomniane już opracowanie „Solidarności” — osiągnięcie jakiegoś postępu ekonomicznego wymaga spełnienia podstawowych warunków społeczno-politycznych. Czy stanowi to podstawę do porozumienia? Odpowiedź na to pytanie znajduje się przede wszystkim w rękach władz PRL. Walka narodu polskiego o jego słuszne i niezaprzeczalne prawa trwa i trwać będzie, dopóki nie zostaną one zrealizowane — za rok, trzy, może dziesięć? Musimy w tym miejscu postawić sobie pytanie, jaka ta przyszła Polska będzie. Nietrudno sobie wyobrazić, że jeśli nic się nie zmieni, będzie to Polska zrzuconowana gospodarczo, o groźnym stopniu zniszczenia środowiska ekologicznego i krytycznym poziomie zdrowotności społeczeństwa. Te wszystkie elementy obserwujemy już dzisiaj. Pogarszają się one z roku na rok.

W tej sytuacji nie możemy stać w miejscu. Trzeba szukać dróg odwrócenia niebezpieczeństwa podejmując ryzyko, że poszukiwane rozwiązanie niczego nie rozwiąże. No to co? Gorzej może być już tylko niewiele.

APEL NA RZECZ CDN

Trzy litery — „ciąg dalszy nastąpi” — pojawiły się na murach miast polskich jako odpowiedź na ogłoszenie stanu wojennego. Wymowa ich była jednoznaczna: walka o wolne słowo, prawa obywatelskie i związkowe, będzie trwała do zwycięstwa. Nie też dziwnego, że niezależne wydawnictwo, które powstało w styczniu 1982, te trzy litery przyjęło jako symbol i nazwę. CDN do dziś opublikował około 50 dzieł głównie z dziedziny historii najnowszej i publicystyki politycznej, a także utwory literackie, teki zdjęć i kasety z nagraniami.

To wielkie osiągnięcie w warunkach konspiracji wymaga nie tylko poświęcenia, odwagi i wytrwałości, ale także pomocy materialnej i technicznej.

Sprawy wydawnicze i pomocy CDN na Zachodzie wzięło w opiekę Wydawnictwo PULS, a prac z tym związanych podjęła się Teresa Afeltowicz, były żołnierz Armii Krajowej. Korespondencję w sprawach CDN, czeki lub międzynarodowe przekazy pieniężne (wystawione na CDN Press) prosimy kierować na:

**PULS PUBLICATIONS,
BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom**

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Niektórzy inteligenci narzekają na telewizję: że to nie jest sztuka, że bezmyślna strata czasu itd. Trudno mi się z tym zgodzić, bo nie dalej jak kilka tygodni temu pokazali mi w zaczerpniętym okienku dwa zadziwiające spektakle: Renaud w Moskwie i Gorbaczowa w Paryżu. Renaud to — jak wszyscy wiedzą — francuski piosenkarz, który udał się do stolicy dojrzałego socjalizmu na festiwal młodzieży; Gorbaczow, generalny sekretarz KC KPZS, przyjechał do Paryża z pierwszą oficjalną wizytą na Zachód.

Reportaż z pobytu Renaud w Moskwie poprzedził audycję z Gorbaczowem w roli głównej i pozwolił w ten sposób raz jeszcze docenić, jak Moskwa przygotowuje spotkania — zarówno wizyty u siebie jak wyjazdy w gości. Renaud dołączył się do francuskiej delegacji, złożonej z komunistów. Sam piosenkarz zdaje się nie należy do partii, ale wyznaje skrajnie lewicowe poglądy, bliższe raczej anarchizmowi. Jak wyjaśnił, zapragnął podzielić się swymi przekonaniem z sowiecką młodzieżą. Francuska telewizja nagrywała cały pobyt modnego śpiewaka. Sowietci zorganizowali przedstawienie w trzech aktach. Widocznie niektórzy francuscy delegaci podzielili się z moskiewskimi gospodarzami wątpliwościami co do repertuaru Renaud, bo w pierwszym akcie „sowiecka super-star” (onaż *dixit*) udała się — jak gwiazda do gwiazdy — z wizytą do Renaud i mimochodem zainteresowała się tekstami piosenek, które zamierza śpiewać na jedynym solowym koncercie. Szczególnie interesowała ją, czy Renaud nie ma w repertuarze piosenek politycznych. Francuski pieśniarz dumnie oświadczył, że ma. Na przykład piosenkę „Dezterter” o tym, że niepotrzebna jest armia i wojny, a potrzebny pokój i przyjaźń między narodami.

Akt drugi: koncert. Najpierw oznajmiono Renaud, że biletów nie będzie w sprzedaży: wejścia tylko za zaproszeniami. Potem okazało się, że koncert, wyznaczony na czwartą po po-

łudniu, zacznie się o dziewiątej wieczór. Wreszcie na ekranie pokazano szczęśliwych posiadaczy zaproszeń, przedzierających się przez potrójny kordon milicji. Tak doszliśmy do aktu trzeciego: Renaud odśpiewał dwie piosenki, po czym zapowiedział „Deztertera”. Ledwo doszedł do słów „Rosjanie i Amerykanie zrywają zębę planety”, jak zabłysnął świetlny sygnał i sowieccy słuchacze jak jeden mąż wstali i opuścili salę.

Nie mniej starannie przygotowano wizytę Gorbaczowa w Paryżu. Najpierw omawiano sprawę protokolarne: strona sowiecka domagała się, żeby generalnego sekretarza przyjęto jak głowę państwa. Francuzi zgodzili się bez oporu — koniec końców Gorbaczow rzeczywiście jest głową, wodzem. Potem, w przeddzień wylotu do Paryża, odbyła się w sali Katarzyny Wielkiej na Kremlu konferencja prasowa. Gorbaczow przez dwadzieścia minut czytał z kartki przemówienie o sukcesach Związku Sowieckiego i jego walce o pokój, po czym francuscy dziennikarze zadawali pytania, na które generalny sekretarz odpowiadał już bez kartki, co z nieukrywanym zachwytem opisały wszystkie gazety świata. Przez trzy dni Gorbaczow z żoną lub bez żony nie schodził z ekranów francuskiej telewizji. Ze Stanów Zjednoczonych zjechało stu dziennikarzy telewizyjnych, aby zarejestrować dla współczesnych i potomnych każdy jego ruch. Wszyscy byli oszołomieni, że Gorbaczow sam chodzi, nie rozpada się w oczach, mówi głośno i wyraźnie.

Trudno powiedzieć, by generalny sekretarz KC KPZS podbił serca francuskich polityków czy Paryżan. Byli rodacy Gorbaczowa, uważnie obserwujący go w telewizji, podzielili się na dwa obozy: jedni uważają, że wyglądał i mówił jak przeciętny sekretarz obwodowego komitetu partii, drudzy — że wyglądał i mówił jak przewodniczący zamożnego kołchozu.

Także w Związku Sowieckim zdania na jego temat są podzielone. Andriej Wozniesiński, który wystąpił w reportażu „Renaud w Moskwie”, wyznaje, że kiedyś był pesymistą, ale teraz, po objęciu władzy przez Gorbaczowa, stał się optymistą. W ślad za Jewtuszenką i innymi Wozniesiński opublikował 29 września w *Prawdzie* hymn na cześć nowego generalnego sekretarza. „Nadzieja dyszy wytrzeźwiają Rosja” — pisze poeta. Nadzieja naturalnie związana jest z nowym gensekiem. Jeszcze uroczyście wyznaje swą wdzięczność za „nadzieję” Nikołaj Tichonow, który poprosił o zgodę na dymisję ze stanowiska prezesa Rady Ministrów. Tichonow dziękuje „za wszystko” KC partii, Biuru Politycznemu, ale przede wszystkim „osobiście Wam, Michaille Siergiejewiczu”. Zwracanie się do wodzów po imieniu (Josif Wissarionowicz, Nikita Siergiejewicz, Leonid Iljcz) i zwrot „osobiście Wam” — uświęcone wieloletnią tradycją oznaki kultu jednostki — tym razem pojawiły się bardzo szybko.

Obok nadziei i wdzięczności „Michail Siergiejewicz osobiście” budzi i inne uczucia. Są już pierwsze dowcipy i przezwiska, dowód, że nowy generalny sekretarz nie jest może aż tak popularny, jak piszą poeci. Przyjęło się np. przezwisko „Misza Lemo-

niada", w którym wyczuwa się lekką ironię pod adresem wysiłków generalnego sekretarza, aby „otrzeźwić” kraj. Inne przewisko — „mineralny sekretarz” — jest jednocześnie aluzją do kampanii Gorbaczowa, aby wódkę zastąpić wodą mineralną, i do miejscowości „Wody Mineralne”, kurortu w rejonie Stawropola, gdzie jeżdżą do wód sekretarze KC. Tam spotykał ich sekretarz stawropolskiego *obkomu* partii Michaił Gorbaczow, zapewniając sobie poparcie, konieczne na drodze ku szczytom.

Najwymowniejszym dowodem, że Gorbaczow chce jak najprędzej zdobyć wszelkie insygnia władzy był ogłoszony w *Ogońku* nr 36 wywiad z akademikiem Dmitriem Lichaczowem. Największy specjalista od literatury staroruskiej, który za młodo odsiedział swoje na Sołowkach, wypowiada na łamach *Ogońka*, pisma, które nawet w Moskwie nazywają reakcyjnym, myśli wysoce nieortodoksyjne. Przede wszystkim akademik uważa, że intelektualny i kulturalny poziom narodu sowieckiego bardzo się obniżył w porównaniu z okresem przed rewolucją. Lichaczow powołuje się na przykład inżynierów, tak zwanej elity technicznej. Do tego dodaje, że reforma szkolnictwa z 1984, która skróciła czas nauki przedmiotów humanistycznych na rzecz zajęć praktycznych, doprowadzi do dalszego spadku poziomu kultury. A w ogóle — oświadcza akademik — celem ludzkości jest rozwój kultury, a nie postępek naukowo-techniczny, walka o pokój itp.

Wywiad zdumiał wszystkich zarówno swoją treścią, jak i miejscem, w którym się ukazał (nakład ponad dwa miliony). Rzecz się wkrótce wyjaśniła, zaczęto mianowicie rozpuszczać pogłoski, że Raissa Gorbaczowa osobiście napisała Lichaczowowi „My Was kochamy”. Każdy przywódca sowiecki uważał za swój obowiązek zajmować się kulturą. Należy sądzić, że Gorbaczow, nie zadowolając się służalstwem nadwornych poetów, chce uchronić za obrońcę prawdziwych wartości kultury.

Aktywność Gorbaczowa składa się ze słów (niezliczonych przemówień) i czynów. Czyny sprowadzają się na razie do wymiany starych przywódców na nowych, mianowanych osobiście przez Michaiła Siergiejewicza. Po wprowadzeniu swoich ludzi do Biura Politycznego Gorbaczow przystąpił na przełomie września i października do wymiany na stanowiskach administracyjnych, posyłając na emeryturę prezesa Rady Ministrów Tichonowa (lat 80) i przewodniczącego *Gosplanu* Nikołaja Bajbakowa (lat 74). Tichonowowi podziękowali za służbę, natomiast Bajbakowowi przytrafiło się to, co już wiele lat temu przewidywała jego żona. Lidia Szatunowska, żona starego bolszewika, która mieszkała w Moskwie w domu rządowym, wspomina w swych opublikowanych na Zachodzie wspomnieniach rozmowę z Klaudią Bajbakową, podówczas żoną ministra przemysłu naftowego. Szatunowska spytała ministrową, dlaczego spekuluje na czarnym rynku. Usłyszała na to szczerą odpowiedź: „My jesteśmy kalifami na godzinę. Mój mąż dziś jest ministrem i wszystko mamy, a jutro może przysięść do ministerstwa i okaże się, że wszyscy się od niego odwracają, a w gabinecie przeczyta w gazecie, że już nie jest ministrem, tylko nikim”. Rozmowa ta miała miejsce w latach

stalinowskich. Sądząc po oficjalnym komunikacie, nie jest wykluczone, że Bajbakow dowiedział się o swojej dymisji z gazet.

W przemówieniach Gorbaczowa wyczuwa się tendencję powrotu do „ludowładztwa” typu stalinowskiego. Na zebraniu weteranów stachanowszczyzny generalny sekretarz dużo mówił o „nieprzemijających tradycjach pracy akordowej” stachanowców (*Prawda* z 21 września 1985) i z naciskiem podkreślał, że pół wieku, jakie upłynęło od dnia, kiedy Aleksiej Stachanow w cudowny sposób wyrąbał sto dwie tony węgla zamiast przewidzianych w planie siedmiu potwierdziło znaczenie tej metody pracy także na dziś. Wychwalając wczorajszych i jutrzejszych stachanowców, Gorbaczow dodał, że z niedawnych podróży na naftowe tereny zachodniej Syberii i ziemie dziewicze Kazachstanu oraz rozmów z robotnikami i specjalistami wyciągnął wniosek, że „sowiecki robotnik i chłop, inżynier i uczonec mają głęboką świadomość swej odpowiedzialności za wykonanie stojących przed krajem zadań”. Selektywny charakter listy — robotnik, chłop, inżynier i uczonec — nie budzi wątpliwości. Wymienieni „mają świadomość swej odpowiedzialności”, ale są i tacy, co nie mają. Kto mianowicie? Odpowiedź znajdziemy w „politycznej dyskusji” akademika W. Afanasjewa w *Prawdzie* z 9 września 1985. Przypominając, że „KPZS jest partią rządzącą, toteż ona i jej komitety naturalną kolejną rzeczą odpowiadają za wszystko”, akademik prosi nie zapominać, że „kierownicy gałęzi przemysłu, terenowych sowietów i innych organizacji bezpośrednio odpowiadają za konkretne sprawy”. W związku z tym „należy przede wszystkim ich pociągać do odpowiedzialności za gospodarcze nieporządki...”.

Jest to jasna odpowiedź na odwieczne pytanie, kto winien. Winne są złe organy planowania, złe kadry gospodarcze, źli administratorzy. Przez nich cierpi naród, przez nich tu i ówdzie brak niektórych towarów, no i przede wszystkim to oni przeszkadzają w „intensyfikacji” i „przyspieszeniu postępu naukowo-technicznego”. Na zebraniu z weteranami stachanowszczyzny Gorbaczow mówił o napływających do KC listach, których autorzy proponują zastosowanie „energiczniejszych środków prawnych, materialnych i administracyjnych przeciwko tym, którzy nie chcą sumiennie pracować”. Z tekstu wynika jasno, że dotyczy to nie tylko byle jakich robotników, ale przede wszystkim „złych kadr kierowniczych”. A poeta Woznienskiej, komentując jakby przemówienie Gorbaczowa, wypowiada się — w zasadzie — przeciw anonimowym listom-donosom, robiąc jednak wyjątek dla tych, którzy „muszą ukryć swe nazwisko / ryzykując głową w walce z niecną mafią”.

Wśród ostatnich przemówień Miszy Lemonyady szczególnie miejsce należy się mowie, jaką wygłosił w mieście Celinograd (*Prawda* z 11 września 1985). Gdyby trzeba było dowodzić, że typ generalnego sekretarza w niczym się nie zmienia, mowa ta mogłaby być dowodem koronnym — Gorbaczow wychwalał so wieckie rolnictwo i wyliczył jego osiągnięcia: ogólna produkcja rośnie, wydajność się polepsza. „Pod względem ogólnej kalorycz-

ności żywienia znajdujemy się na poziomie najbardziej rozwiniętych krajów... Jeśli idzie o mleko, jaja, ryby, cukier, owoce, kartofle — to poziom ich spożycia na głowę ludności jest nie niższy, a niekiedy wyższy niż w wielu krajach...".

Że jest to bezczelne kłamstwo, dowodzi list otwarty sowieckiego robotnika Olega Alifanowa do KC KPZS. Oleg Alifanow nie wysłał listu pocztą, tylko przyniósł go 30 lipca do francuskiej ambasady w Moskwie, gdzie poprosił o azyl polityczny. Sowiecki robotnik myślał, że wystarczy przedrzeć się na teren ambasady, aby być wolnym człowiekiem. Tak bywa, ale w innych państwach i miastach. W Moskwie Francuzi przyjęli list Alifanowa, po czym odprowadzili go do metra, gdzie go schwytała milicja. Oleg Alifanow znajduje się albo w więzieniu, albo w psychuszcze, gdzie go leczą na brak wiary w mądrość partii i „osobiście” generalnego sekretarza.

List został opublikowany. Oto co pisze jego autor o sukcesach sowieckiego rolnictwa: „Od wojny minęło czterdzieści lat, a u nas jak dawniej towary przemysłowe sprzedaje się na talony, a podstawowe produkty żywnościowe na kartki. Nawet w Moskwie kupienie po pracy kiełbasy, mleka, kefiru, świeżego chleba czy jajek jest problemem. W Kujbyszewie i Ulianowsku człowiek może kupić miesięcznie na kartki nie więcej niż 50 dkg mięsa. W Surgucie, stolicy rejonu naftowego, gdzie mieszkałem, jest lepiej — kartki opiewają na 2 kg mięsa na osobę, ale żeby je wykupić, trzeba całymi dniami biegać po sklepach w mieście. Albo choćby w mojej rodzinnej wsi ludzie przez cały dzień (także zimą!) czekają, aż dowiozą chleb i mleko. Kiełbasa jest dla mieszkańców wsi i miast towarem wręcz egzotycznym”.

Generalny sekretarz oświadcza: niczego nie brak! Robotnik pisze: niczego nie ma. List Alifanowa można by uznać za wymysł obłąkanego, dysydenta lub antysowiecisty — co zresztą znaczy jedno i to samo. Można by, gdyby w piśmie *Nasz sowriemiennik* nr 7/1985 nie ukazała się powieść Walentina Rasputina „Pożar”. Rasputin jest jednym z najgłośniejszych pisarzy sowieckich, autorem powieści „Żyj i pamiętaj”, rzadkiej we współczesnej literaturze sowieckiej tragedii. Mimo bezspornego talentu Rasputin jest oficjalnie uznany, latem ubiegłego roku dostał nawet order Lenina.

Rasputin milczał przez blisko dziesięć lat. Jego nowa powieść jest króciutka — raptem 40 stron gazetowych, ale dawno już nie rozległ się w sowieckiej literaturze tak autentyczny krzyk bólu. Rasputin mieszka na Syberii i pisze o sybirskiej wsi. Jego poprzednia powieść, „Pożegnanie z Matiorą”, dotyczyła wsi zatopionej przez sztuczne jezioro, potrzebne dla budowy elektrowni wodnej, potrzebnej nie wiedzieć po co. Ludność zostaje przesiedlona do „osiedla typu miejskiego”. Po dziesięciu latach pisarz odnalazł swoich przesiedleńców i zakrzyczał z bólu i rozpacz nad ich losem. „Pożar” daje przerażający obraz degrengolady ludzi i bezlitosnego niszczenia lasów, ziemi, przyrody. Wybuchający w osadzie pożar jest symbolem ostatecznej zagłady i ostatecznego zwycięstwa zła. Dobro zmieniło się w słabość, zło w

się. „W praktyce życiowej — pisze Rasputin — dobrym człowiekiem jest dziś już ten, kto nie czyni zła, kto niepytany do niczego się nie wtrąca i w niczym nie przeszkadza”.

Rozpacz autora jest tak wielka, że jedyny pozytywny bohater powieści, jedyny „sprawiedliwy” w osiedlu, traktorzysta Iwan Pietrowicz, na końcu opuszcza osadę. Gdzieś tam istnieje inna osada, w której nie wiedzieć czemu — pisarz tego nie objaśnia — żyją dobrzy sowieccy ludzie, pracujący uczciwie i żyjący godnie. Znając sowiecką cenzurę, można się domyślić, że stroniczka o „cudownej osadzie” jest okupem za resztę tekstu. W każdym razie publikacja „Pożaru” dowodzi, że ekonomiczna sytuacja kraju i morale obywateli znajdują się w fatalnym stanie i że Gorbaczow zamierza je zmienić — przy pomocy dawnych, wypróbowanych metod.

Wizyta we Francji przekonała generalnego sekretarza, że może liczyć na pomoc Zachodu. Z tym przekonaniem pojedzie do Genewy na spotkanie z Reaganem.

Niedawny podarunek — pokojowa nagroda Nobla dla organizacji lekarzy, walczących przeciw wojnie nuklearnej — może tylko podbudować generalnego sekretarza w ufny spojrzeniu w przyszłość. Nagrodzoną organizację założyli w 1980 roku amerykański lekarz Bernard Lown i sowiecki lekarz Jewgienij Czazow. Czazow jest wiceministrem zdrowia ZSSR i członkiem KC KPZS. Nagrodzenie organizacji, której jest współ-przewodniczącym zostało przyjęte w Moskwie jako wyraz uznania dla polityki sowieckiej. To zresztą powiedział sam dr Lown, kiedy go powiadomiono o nagrodzie: piłka teraz znajduje się w rękach Reagana — amerykański prezydent powinien okazać się godzien sowieckiego budowniczego pokoju Gorbaczowa i jego reprezentanta prof. Czazowa.

Niewykluczone, że Szwedzi chcieli dać dr. Czazowowi nagrodę Nobla z medycyny: to on skutecznie leczył Breżniewa, Andropowa i Czernienkę. Uprzedzili ich jednak Norwedzy. Wątpię, by towarzysz Czazow miał o to do nich żal.

Adam KRUCZEK

15 października 1985

Kronika niemiecka

Z tabel Stanisława Platara, dotyczących statystyki narodowościowej ziem polskich w granicach przed rozbiorami (1772 r.): Rusini — 7.520 tys.; Polacy — 6.770 tys.; Żydzi — 2.110 tys.; Litwini — 1.900 tys.; Niemcy — 1.640 tys.; Wołochowie — 500 tys.; Rosjanie — zaledwie 180 tys.

■ Do końca sierpnia br. 13.379 obywateli NRD opuściło sowiecką strefę okupacyjną Niemiec i przeniosło się na stałe do RFN. ■ Będąca włas-

nością PAX-u firma INCO-VERITAS eksportuje do RFN surowce odpadowe z tworzyw sztucznych, wyroby ze srebra, witraże, kryształy, uszczelnienia techniczne, kosmetyki i aparaturę okrętową. INCO odnotowuje znaczny wzrost obrotów. ■ Korzystne prognozy dla handlu PRL-NRD: wzajemna wymiana towarowa w 1985 roku wyniesie ponad 2 mld rubli; obroty wzrosną o przeszło 10% w porównaniu z 1984 r. NRD ponadplanowo eksportuje meble, tapety i inne towary deficytowe na polskim rynku. ■ Nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej ukazała się książka Bogdana Koszela pt. *Antagonizmy i współpraca: RFN i jej zachodnioeuropejscy partnerzy*. Pozycja poświęcona jest analizie stosunków bilateralnych RFN z państwami Europy Zachodniej w okresie rządów Brandta-Schmidta. ■ *Z lat okupacji — Wspomnienia Wielkopolan z życia codziennego 1939-1945*. Wybór i opracowanie: Wojciech Jamrozik i Kazimierz Młynarz, który napisał także wstęp. 39 wspomnień — plon konkursu ogłoszonego przez czasopismo *Nurt* (Wyd. Poznańskie, str. 626). ■ W roku ub. za pośrednictwem wschodniobermberskiej filii *Orbisu* wyjechało z NRD do Polski 9 grup liczących od 15 do 30 osób i ok. 6 tys. za pośrednictwem *Reisebüro*. W br. wyjadą 23 grupy liczące ok. 600 turystów z *Orbisu* i 10 tys. przez *Reisebüro*. Tyle *Życie Warszawy*. Komentarz stołecznej Polityki: „Ludzie, wstydzi nie mamy, czy pamięci nie dostaje? Czym tu się chwalić, w 10 lat po tym, kiedy była otwarta granica między dwoma sąsiadującymi, bratnimi krajami?”. ■ W zachodniobermberskiej Akademii der Künste odbyła się bardzo uroczysta prezentacja pięknie wydanej antologii, której przydługim tytuł brzmi: *Berliner Autoren — Stadtbuch. 111 von A bis Z. Berlin als ein Ort zum Schreiben. Literarisches Adressbuch (Miejska księga berlińskich autorów — 111 od A do Z. Berlin miastem dla piszących. Księga adresowa literatów)*. Nadzwyczaj starannie wydana książka zawiera sporo fotografii, życiorysów, tekstów i nawet *facsimile* rękopisów autorskich. Z Polaków berlińskich figurują: Christian Skrzyposzek (proza); Maria Kurecka i Witold Wirpsza (zmarł 16 września 1985 roku), zaprezentowani są w antologii poezją. ■ Parlamentarny sekretarz Stanu w bońskim Ministerstwie Stosunków Wewnętrznych — Ottfried Henning (CDU) oświadczył, że RFN nigdy nie pogodzi się z faktem podziału Niemiec. ■ W wychodzącym w Lüneburgu kwartalniku *Deutsche Studien* (nr 90/1985) ukazał się artykuł Juliusa Mrosika i Ortwina Buchbendera — *Die vierte Waffe. Deutsche Kampfpropaganda gegen das Anders-Korps 1944/45* (Czwarta broń. Niemiecka propaganda wojenna przeciwko Armii Andersa 1944/45). Autorzy w źródłowej pracy omawiają szczegółowo działalność dywersyjnej rozgłośni WANDA, zainstalowanej w Mediolanie w ramach akcji oznaczonej kryptonimem SÜDSTERN. ■ Zamieszkała w Berlinie Zachodnim polska artystka-plastyk — Helena Bohle-Szacki, wystawiała swoje grafiki i kolaże w *Klinice Steglitz*, należącej do *Wolnego Uniwersytetu Berlina*. Miejscowa prasa szeroko odnotowała interesującą wystawę. ■ W Berlinie Zachodnim przebywa od 12 do 15 tys. nowych uchodźców z PRL. Dokładna liczba nie jest znana. ■ Ponieważ rząd PRL wstrzymał spłatę długów i odsetek, rząd boński będzie musiał wypłacić do końca br. bankom niemieckim i wielu eksporterom licencji 916 mln marek (w 1983 roku — 3 mld marek). Chodzi o kredyty udzielone Polsce w okresie rządów Gierka a objęte gwarancjami rządu RFN. ■ *Niemieckie Związki Zawodowe Pracowników Umysłowych (DAG)* zorganizowały wspólnie z *Towarzystwem Wspierania Międzynarodowej Solidarności* w Hamburgu wystawę fotograficzną, obrazującą historię *Solidarności*. Na zdjęciach udostępnionych przez *Independent Polish Agency* (Lund) zostały utrwalone ważniejsze fragmenty z działalności NSZZ *Solidarność*, od narodzin wolnego związku w *Stoczni Gdańskiej* w sierpniu 1980 roku aż do chwili obecnej. Zwiezdający wystawę mogli obejrzeć film *Kalendarz wojny* w wersji niemieckiej. Licznej publiczności udostępniono także wydawnictwa poświęcone *Solidar-*

ności oraz wiersze polskich poetów, również w tłumaczeniu na język niemiecki. ■ 20 lat *LOT-u* w RFN: gospodarzem jubileuszowego spotkania we Frankfurcie n/Menem był dyr. *PLL LOT*, gen. bryg. Józef Kowalski. Samoloty *LOT-u* kursują na linii Warszawa - Hamburg - Warszawa siedem razy w tygodniu; Kolonia - Warszawa (3 razy w tygodniu) i Hamburg - Gdańsk (2 razy w tygodniu). ■ Wspaniały fotoreportaż poświęcony twórczości i (2 razy w tygodniu). ■ Wspaniały fotoreportaż poświęcony twórczości i osobie Feliksa Topolskiego, znanego polskiego malarza, żyjącego od 1935 roku w Londynie, ogłosiła w ilustrowanym dodatku (w kolorze) *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (tekst — Fritz Gruber; fotografie — Calle Hesslefors). ■ Cztery przemówienia prezydenta RFN — Richarda von Weizsäckera, wydane przez *Siedler-Verlag* (łączny nakład — 50 tys. egzemplarzy), przynoszą czysty dochód ok. 70 tys. marek. Autor przeznaczył honorarium w całości na fundusz *Niemieckiego Instytutu Literatury Polskiej* w Darmstadtzie z przeznaczeniem na popieranie niemiecko-polskiej wymiany młodzieży. ■ Prof. Gotthold Rhode, znany historyk z Moguncji, wybitny znawca dziejów naszego kraju, omówił na łamach renomowanego miesięcznika *Ost-europa* (nr 7-8/1985) specjalny zeszyt *KULTURY* wydany w języku niemieckim („wiele słów uznania za szlachetne stanowisko, jakie zajęła *KULTURA* w dialogu niemiecko-polskim”). ■ *Polski Instytut Kultury „Tradycja i Współczesność”* w Düsseldorfie „udziela pomocy Polakom i osobom pochodzącym z bloku wschodniego w zakresie przystosowania społecznego i pochodzącym z bloku wschodniego w zakresie przystosowania społecznego i zdrowia psychicznego (psychoterapia indywidualna i grupowa)”. Adres: Dr H. Olesiak, Annastr. 61, 4000 Düsseldorf. ■ Andrzej Pieniak, z-ca sekretarza generalnego *Towarzystwa POLONIA* (w latach 1979-1983 był konsulem w Kolonii) twierdzi, iż trzeba koniecznie „doceniać rolę księży — wśród Polonii są wciąż bardzo wpływowi i od tego, jakie jest ich nastawienie do kraju zależy ogromnie dużo”; „najtrudniejsze i najbardziej gorzkie sytuacje stwarza najnowsza emigracja, ta po roku 1980. To czasami jest żenujące oglądać, jak młodzi Polacy zapierają się swego kraju i usiłują prześcignąć Niemców w niemieckości. (...) Teraz nam psują dobrą, wieloletnią robotę, ale kiedyś to naprawią”. ■ W RFN drobna wytwórczość letnią wytwarza 47% produkcji przemysłowej; w Polsce 10%. ■ W ramach anty-solidarnościowej akcji, prowadzonej przed wyborami do *Sejmu*, „sprawczytwa Solidarności” (w RFN osiedlił się przed dwoma laty i podobno usilnie zabiegał o obywatelstwo niemieckie). Ze Spiry zrobiono zaraz gwiazdora telewizyjnego, który w audycji-dreszczowcu opowiadał o „wywrotowej działalności” Mirosława Chojeckiego, Seweryna Blumsztajna i Jerzego Milewskiego, kierownika brukselskiego *Biura Koordynacyjnego NSZZ Solidarność*. ■ *Towarzystwo im. Martha-Johannpeter* w Unna (Westfalia) przyznało tegoroczową nagrodę (5 tys. marek) młodemu polskiemu rzeźbiarzowi Andrzejowi Irzykowskiemu. W 1980 roku artysta osiedlił się w RFN. ■ Najnowszy film Agnieszki Holland — *Gorzkie żniwa* (znowu akcja rozgrywa się w czasie okupacji niemieckiej!), który reprezentował RFN-owską kinematografię na festiwalu w Montrealu, został niezwykle przychylnie przyjęty przez krytyków. Agnieszka Holland zrealizowała film w Berlinie Zachodnim w ciągu 21 dni. ■ Mieszkania oddane do użytku w roku 1983 na 10 tys. mieszkańców: w NRD — 118; w PRL — 54. ■ 350-milowa linia promowa łączy wkrótce litewsko-sowiecką Kłajpedę z należącą do NRD wyspą Rugia. Linia służyć będzie głównie zaopatrzeniu jednostek *Armii Czerwonej*, stacjonujących w NRD (350 tys. żołnierzy). Moskwa stale ogranicza tranzyt przez Polskę, choć osiem linii kolejowych przebiegających przez PRL zapewnia szybkie przewozy sprzętu wojskowego, towarów i wojska do i z Niemiec Wschodnich. ■ Krajowe pismo *Ład* podaje, że cmentarz ewangelicki w Szczytnie „został z niewiadomych powodów zbezczeszczonej, zrujnowanej, a część zacych grobów zdewastowana. (...) Kradzieże płyt cmentarnych, niszczenie ogrodzenia, drzewostanu, było zjawiskiem nagminnym. (...) Rozbite

grobowce, ślady gasienic spychacza, przewrócone karczce świętych, wiekowych drzew". Gospodarzem omentarza w Szczytnie jest *Urząd Miejski*. Na zapytanie dziennikarza *Ładu*, dlaczemu zdewastowano omentarz, odpowiada zastępca naczelnika *Urzędu Miejskiego*: „Co roku przyjeżdża tu masa turystów z Niemiec Zachodnich. Odwiedzają omentarz. Przynosi on nam wiele wstydu. Trudno uchronić go przed dewastacją. Pan rozumie, to takie delikatne sprawy. (...) Z ekshumacją zwłok jest dość trudna sprawa, jako że rodziny zmarłych w większości wyjechały do Niemiec Zachodnich". Dziennikarz *Ładu* zaznacza jeszcze, że rozmawiał również „o Mazurach-ewangelikach, o wyjeździe tychże do RFN”... ■ W *Urzędzie Miejskim* Poznania udekorowano ks. Edmunda Foryckiego honorową odznaką miasta Poznania i medalem pamiątkowym. Ks. E. Forycki od szeregu lat pełni funkcje prezesa *Związku Polaków w Niemczech — RODŁO* z siedzibą w Bochum. *Trybuna Ludu*: „Utrzymuje on serdeczne stosunki z krajem”. Nie pierwsze to odznaczenie księdza-patrioty Foryckiego. ■ Polscy robotnicy (głównie z terenu woj. jeleniogórskiego) pracujący w NRD zarabiają od 500 do 1.200 marek, średnio 800. Nieco mniej niż ich koledzy z NRD. Taksówkarz ze Zgorzelca: „Przywieziona do Polski marka w towarze wychodzi na 100 złotych”. ■ Przez pełnych pięć dni przebywała w RFN delegacja PZPR: członek *Biura Politycznego* Kazimierz Barcikowski, jego sekretarz Henryk Urbański, przewodniczący sejmowej *Komisji Spraw Zagranicznych*, członek *KC — Ryszard Wojna*; kierownik *Biura KC d/s Sejmów*, Edward Szymański i jego najbliższa współpracowniczka Elżbieta Michałowska. Delegacja bawiła w RFN na zaproszenie frakcji parlamentarnej *SPD* w *Bundestagu*, którą kieruje Hans Jochen Vogel. Wyślanicy warszawskiego reżymu przyjęci zostali m.in. przez wicekanclerza i min. spr. zagr., Hansa-Dietricha Genschera (kontynuator dawnej *Ostpolitik*, zapoczątkowanej przez *SPD*), przewodniczącego *SPD — Willy Brandta*, wiceprzewodniczącego frakcji parlamentarnej *CDU/CSU — Volkera Rühle*, przewodniczącego *Bundestagu — Filipa Jenningera*, premiera rządu krajowego Nadrenii i Palatynatu — *Bernharda Vogla* i przewodniczącego frakcji parlamentarnej *CDU/CSU — Alfreda Dreggera*. Delegacja nie została oficjalnie przyjęta przez kanclerza Kohla. Przewodniczący zachodnioniemieckich *Związków Zawodowych (DGB)*, Ernst Breit, przyjmując delegację PZPR w Düsseldorfie wezwał Barcikowskiego i jego współpracowników do zmiany polityki wobec zakazanej w Polsce *Solidarności*. Oświadczył, że związkowcy w RFN poczuwają się do solidarności z *Solidarnością* (tylko jakoś bogate *DGB* nie może uruchomić pieniędzy na pomoc dla działającej w podziemiu *Solidarności — przyp. A.J.Ch.*) i zaprotestował przeciwko więzieniu działaczy i członków zdelegalizowanego niezależnego ruchu związkowego w Polsce. Program wizyty przewidywał oczywiście wymianę poglądów na zagadnienia bezpieczeństwa w Europie. Ponadto w Düsseldorfie rozmawiano na tematy gospodarcze. Kazimierz Barcikowski odrzucił projekt kanclerza Helmuta Kohla utworzenia instytucjonalnej formy dla bliższych kontaktów i wymiany pomiędzy młodzieżą zachodnioniemiecką i polską. ■ W Lüneburgu odbyło się uroczyste posiedzenie *Historisch-Landeskundliche Kommission für Posen und das Deutschtum in Polen (Historyczno-Krajoznawcza Komisja d/s Poznania i Niemczyzny w Polsce)*. XVII Sesja obradowała z okazji 100-nej rocznicy założenia *Historische Gesellschaft für die Provinz Posen (Towarzystwo Historyczne Powinności Poznania)*. Poruszono m.in. następujące tematy: prof. Gotthold Rhode — *Powstanie Towarzystwa w 1885, wznowienie działalności w 1920, likwidacja w 1945 roku*; dr Richard Breyer — *Niemczyzna w Kongresówce w czasie pierwszej wojny światowej*; Wilfried Gerke — *Niemcy w „Generalnej Guberni” podczas drugiej wojny światowej*; Petra Blachetta — *Niemiecka Socjalistyczna Partia Pracy Polski jako przedmiot badań*; prof. Georg W Strobel — *Niemcy i Żydzi w polskim ruchu robotniczym*; Józef A. hr. Sacyński — *Rodzina Raczyńskich w historii Poznańskiego*; Werner Conze

— *Zmiany w świadomości historycznej we Wschodniej i Środkowej Europie*. ■ W miejscowości Loccum k/Hanoweru odbyło się niemiecko-polskie 3-dniowe seminarium poświęcone stosunkom PRL-RFN, zwołane przez tamtejszą Akademię Ewangelicką w 20-tą rocznicę pamiętnego *Memorandum Kościoła Ewangelickiego (EKD) — O położeniu przesiedleńców i stosunku narodu niemieckiego do sąsiadów wschodnich*. Warszawska delegacja liczyła prawie 30 osób (przewodniczył M. F. Rakowski); Niemców przybyło ok. 80, z min. Spr. Zagr. Hansem-Dietrichem Genscherem na czele. Rakowskiemu towarzyszyli: jego osobisty sekretarz, Jerzy Modzelewski, dyrektor *Gabinetu — Lesław Zapałowski*, wicemin. Spr. Zagr. — Ernest Kucza, z-ca kier. *Urzędu d/s Wyznań*, A. Merker, J. Jaskiernia (*PRON*), duchowny *Kościola Metodystycznego*, prof. W. K. Benedyktowicz, prof. Marian Dobrosielski (*UW*), J. Bartosz (dziennikarz z Wrocławia o wyjątkowo antyniemieckim zacięciu), prof. A. Czubiński (*Instytut Zachodni*), S. Brzeziński (*MSZ*), B. Karski (*Polska Izba Handlu Zagr.*), A. Wójtowicz (*Rada Ekumeniczna*), P. Frankowski (*CK SD*), prof. Z. Czeszejko-Sochacki (prawnik). Nadwornym sprawozdawcą był Daniel Passent (artykuł w *Polityce* zatytułował taktownie: *A chociaż Niemiec, głos ludzki rozumiał*). Poza min. Genscherem strona niemiecka była reprezentowana przez przewod. frakcji parlamentarnej *SPD*, Hansa Jochena Vogla, wiceprzewodniczącego frakcji *CDU/CSU*, Volkera Rühle, do Loccum przybyli też ideolog *Zielonych* Otto Schilly i przewodniczący *Ziomkostwa Pomorzan — Phillip von Bismarck*. W skład delegacji niemieckiej wchodził również Karl Dedecius, dyr. *Niemieckiego Instytutu Literaturnego* w Darmsztacie. Całością kierowali bp ewangelicki D. Eduard Lohse i dyr. *Akademii Ewangelickiej* pastor Karl May. Rakowski od razu ostro zaatakował „rewanżystów i rewizjonistów”, z czego później starał się wycofywać (omawiano przecież też sprawy związane z wymianą gospodarczą!), po odpowiedzi Genschera, Vogla i Schilly'ego, ale nie omieszkał pomówić opozycji w Polsce o działalność „antyradziecką” i dodał, że rząd PRL nie dopuści do kontaktów zagranicznych gości z opozycją. Dobrosielski natomiast porównał działaczy *Solidarności* do terrorystów irlandzkich. Umiar i takt wykazali członkowie delegacji niemieckiej: Volker Rühle i Horst Teltschik (wybijający się doradca kanclerza Kohla) deklarowali kilkakrotnie nienaruszalność obecnych granic Polski. Niestety z powodu *désintéressement* strony polskiej sprawa wymiany młodzieży na większą skalę utknęła na martwym punkcie (mimo to *Fundacja im. Eberta* nosi się z zamiarem wybudowania w Polsce ośrodka młodzieżowego). Przedstawiciele rządu bolskiego wyrazili gotowość nawiązania współpracy w dziedzinie ochrony środowiska naturalnego, prolongaty kredytów i odsetek, zwiększenia kontyngentów polskiego eksportu i wyrazili poparcie dla polskich starań o przyjęcie do *Międzynarodowego Funduszu Monetarnego*. Trzeba jednak zaznaczyć, że na takich spotkaniach niczego konkretnego się nie załatwia.

Andrzej J. CHILECKI

O dialogu polsko-niemieckim

Szanowny Panie,

W załączeniu przesyłam artykuł prof. Biedenkopfa dla tygodnika *Deutsches Allgemeines Sonntagsblatt* z 6 października 1985. Prof. Biedenkopf podjął w nim m.in. propozycję Adama Michnika ze specjalnego nie-

Dialog polsko-niemiecki jest procesem na długą metę. Przede wszystkim chodzi o obopólne zrozumienie historii i kultur politycznych po obu stronach granicy. Analiza literaturoznawcy Jana Józefa Lipskiego np., w której autor uczciwie rozlicza się z winami polskiego nacjonalizmu wobec narodów ościennych, zasługuje na odpowiedź ze strony Niemców. Adam Michnik słusznie wnosi o wydaną po polsku, a sporządzoną przez niemieckich przyjaciół Polski dokumentację tak dla wielu niemieckich rodzin bolesnego wygnania. Dokumentacja taka mogłaby się znacznie przyczynić do ustalenia prawdy i wzajemnego zrozumienia tego trudnego tematu.

Do dialogu polsko-niemieckiego należą także spotkania między ludźmi. Np. ludzi z zagłębia Ruhry i górnośląskiego zagłębia przemysłowego. Przed jakimś czasem zaproponowałem takie spotkanie. Mogłaby je zorganizować rada komunalna Ruhry. Moglibyśmy na nim podyskutować o modernizacji klasycznych terenów przemysłowych i wymienić doświadczenia. Zrozumieć problemy rozmówców, opisać sobie wzajemnie stan rzeczy, zrozumieć różnice i w ten sposób się poznać. Dotyczy to także dorastających pokoleń. To także są warunki pokoju.

Prof. Kurt H. BIEDENKOPF
(Przewodniczący CDU
Landu Westfalia-Lippe)

NA MARGINESIE ZJAZDU ŚLĄZAKÓW W HANOWERZE¹

Norwich, Vermont, USA, 8 czerwca 1985.

Pani Cornelia I. Gerstenmaier
Bonn

Droga Cornelio!

Nasze rodziny — Gerstenmaierów i Moltke — są ze sobą związane i zaprzyjaźnione od czasów, kiedy hitlerowcy objęli władzę. Wspólnie ryzykowaliśmy wówczas wiele.

Dlatego też pełna ufności piszę do Ciebie, przedstawicielki następnej generacji. Niedawno byłam w Republice Federalnej i przeżyłam tam poruszenie, jakie ostatnio było wywołane wypowiedziami „Ślązaków”. Chciałabym się w tej sprawie wypowiedzieć. Do roku 1945 mieszkaliśmy w Kreisau (Krzyżowa), powiat Schweidnitz (Świdnica) — na Śląsku. Potem musieliśmy odejść. Nie była to dla nas rzecz łatwa. Ale już wtedy wiedzieliśmy, że kraj ten w przyszłości należeć będzie do Polaków i że tak będzie to musiało pozostać w imię zachowania pokoju, a także dlatego, że w ciągu wielu lat wyrządziliśmy Polakom wiele złego. Obecnie zresztą większość dawnych starszych Ślązaków ma się wcale nieźle w swojej nowej ojczyźnie (w RFN — przyp. Red.). Chciałabym opowiedzieć co następuje: mąż mój, Helmuth James von Moltke, od dawna aktywny przeciwnik narodowych socjalistów, który w styczniu 1945 roku oddał życie w walce prze-

ciw dyktaturze faszystowskiej (został skazany na śmierć i stracony), już w czasie wojny dokładnie przewidział utratę Śląska. „Pozostaje tylko pytanie czy Śląsk przypadnie Polsce, czy Czechosłowacji. A zawdzięczamy to Hitlerowi!” — mówił.

Dla sprawy pokoju w Europie jest niezmiernie ważne, by Niemcy pozbyli się złudzeń. Fakt, że Śląsk należy obecnie do Polski jest bezpośrednim następstwem wojny prowadzonej przez Hitlera i terrorystycznych rządów hitlerowskich. Winą za to nie można obarczać aliantów, ale tylko i wyłącznie Hitlera. Dzięki Bogu większość Niemców potrafi to zrozumieć, o czym z czystym sumieniem można zapewnić Polaków.

Dobrze byłoby, moim zdaniem, aby ciągle przypominać o prawdziwych przyczynach takiego stanu rzeczy, co też chciałam niniejszym uczynić.

Serdeczne pozdrowienia,

Twoja

Freya von MOLTKE²

Kronika litewska

Staraniem Światowej Konfederacji Bałtyckiej powołano do życia trybunał, który w dniach 25-26. 7. 1985 rozpatrzył w Kopenhadze oskarżenie Związku Sowieckiego o pogwałcenie praw Estonii, Litwy i Łotwy. W trybunale zasiadali członkowie parlamentów: austriackiego, francuskiego, szwedzkiego, europejskiego oraz organizacji obrony praw człowieka. Zeznania składało kilkunastu świadków, b. obywateli sowieckich, łagierników lub dygnitarzy: 5 Litwinów, 5 Łotyszów, 3 Estończyków, 2 Rosjan i jeden niemiecki zakonnik. Wśród Litwinów byli: poeta dr T. Venclova (znany czytelnikom *Kultury*) i jego kuzyn B. Venclova, b. sowiecki dyplomata, który niedawno wybrał wolność w Kongo, prawnik z Wilna Stomas (Stroem), obecnie profesor w Anglii, b. sekretarz ministra sowieckiej Estonii, znany opozycjonista sowiecki Bukowski i inni. Trybunał w wydanym „Manifeście kopenhaskim” stwierdza, że aneksja i okupacja byłych niepodległych republik estońskiej, litewskiej i łotewskiej jest przestępstwem, naruszającym prawo międzynarodowe i traktaty ratyfikowane przez Związek Sowiecki. Masowa imigracja rosyjska naruszyła całość, tożsamość i strukturę polityczną tych

2. Pani Freya von Moltke jest wdową po niemieckim oficerze Helmuth James von Moltke, który w styczniu 1945 roku został skazany na śmierć i stracony za działalność w antyhitlerowskiej grupie oporu tzw. *Kreisauer Kreis*. Do grupy tej należał również Eugen Gerstenmaier, późniejszy przewodniczący *Bundestagu* z ramienia CDU.

List jest skierowany do córki Eugena Gerstenmaiera, Corneli Gerstenmaier, redaktorki naczelnej niemieckiego wydania kwartalnika *Kontinent*. Cornelia Gerstenmaier od czasów uniwersyteckich (studiowała przez pewien czas w Moskwie, później była uczennicą prof. I. M. Bocheńskiego we Fryburgu) zaangażowała się w walkę o poszanowanie praw ludzkich i obywatelskich w Związku Sowieckim i krajach Europy Wschodniej. Redagowany przez Cornelję Gerstenmaier kwartalnik *Kontinent* poświęca również wiele miejsca tematyce zbliżenia niemiecko-polskiego.

1. Patrz *Kultura* nr 9/456.

krajów. Język, kultura, religia i nauka historii ucierpiały pod rządami wiekami. Narodom Nadbałtyki powinno być zwrócone prawo do niezależnego bytu na ziemiach ich praojców. Manifest kopenhaski nawołuje do domagania się wolności i niepodległości dla Estonii, Litwy i Łotwy. Rozprawie trybunału przysłuchiwało się m.in. 70 dziennikarzy, reprezentujących prasę światową, rozgłoszeń watykańską, „Radio Free Europe” i „Radio Liberty” oraz siedmiu oficjalnych przedstawicieli władz sowieckich. Następnie rozpoczął się „Bałtycki Rejs Wolności i Pokoju” na specjalnie na ten cel wynajętym statku „Baltic Star”, wiozącym 400 pasażerów, przeważnie młodych Bałtów z diaspory, oraz 40 dziennikarzy. Statek miał płynąć wzdłuż 12-tomilowej strefy sowieckich wód terytorialnych i puszczać na wodę lub w powietrze baloniki z ulotkami i flagi narodowe. Jednak sowieckie statki rybackie i wojenne tak groźnie manewrowały, stając niekiedy w poprzek trasy „Baltic Star”, że rejs zbliżył się do brzegów dopiero na wysokości Estonii i tam popłynęły flagi narodowe i pozdrowienia. „Baltic Star” zawiązał do portu w Helsinkach w wigilię wielkiego zjazdu ministrów sgnatariuszy układu w Helsinkach z okazji 10-lecia podpisania układu. Młodzi Bałtowie ze sztandarami, wieńcem i plakatami wyruszyli ulicami miasta pod ambasadę sowiecką, do której jednak nie dopuściła ich policja. Wieńiec z wstęgami w barwach trzech narodów złożono na pomniku estońskim, a główne przemówienie wygłosił Bukowski. Audycje z pochodu nadały programy telewizyjnej fińskiej, dobrze widzialne w Estonii. Ponoć władze fińskie zakazały niesienia plakatów, ale wobec reakcji tłumów i obecności wielu zagranicznych dyplomatów wołały uniknąć incydentów. Tym niemniej jeden z uczestników, wnuk reprezentanta Litwy w Waszyngtonie, został na parę godzin aresztowany. Następnie uczestnicy rejsu odpłynęli do Sztokholmu, gdzie odbyły się seminaria, a na zakończenie festiwal o charakterze rozrywkowym. Podobno w Rydze i Tallinie zastosowano w dniach rejsu pewne środki ostrożności. Prasa sowiecka określiła całą imprezę jako akcję zachodnich wywiadów. Niemcy pisali, że trzeźwo myślący Bałtowie nie marzą o niepodległości, a jedynie o pewnym uniezależnieniu się od Moskwy w ramach Związku Sowieckiego. *Times* pisał, że Bałtowie nie zrobią powstania, bo żyli się już z ustrojem komunistycznym i mają lepsze warunki życia aniżeli mieszkańcy innych republik. Prasa szwedzka poświęciła dużo miejsca całej imprezie. Ogólny plon — 500 wzmianek na ten temat w prasie światowej. ■ *Literaturnaja gazeta* z 26 sierpnia 1985 poświęciła obszerny artykuł polemice z wydawnictwami litewskiej emigracji, omawiającymi rozwój piśmiennictwa w sowieckiej Litwie. *Gazeta* pisze: „Większość krytyków emigracyjnych musi przyznać, że nie można już przemilczać osiągnięć sowiecko-litewskiej literatury”. Obszerny artykuł pt. „Mitologia antysowiectyzmu” wymienia wydawany w USA miesięcznik, który w każdym numerze omawia twórczość krajową, inny — również amerykański periodyk, który omówił w ub. roku twórczość dwudziestu pisarzy krajowych, i pogadanki na tenże temat w „Radio Liberty”. Litewski czytelnik w kraju, odcięty od wydawnictw emigracyjnych, dowie się poprzez moskiewski tygodnik, że zagraniczna gałąź litewskiego życia kulturalnego nie zamarła i ma swój dorobek, a litewski pisarz krajowy dowie się, że jego twórczość jest oceniana z dwóch punktów widzenia. ■ Z okazji rejsu bałtyckiego, który zirytował komunistów w Moskwie i Wilnie, słuchacze i czytelnicy sowieccy mogli wyczytać pomiędzy wywiskami, że prezydent Reagan stara się wygrywać „kartę bałtycką”, że audycje w trzech językach Bałtów zostały wyłączone z „Radio Swoboda”, przeznaczonego dla narodów Związku Sowieckiego, a przydzielone do „Radio Wolna Europa”, nadającego dla krajów socjalistycznych. Na seminariach dla politruków litewskich tłumaczy się, że teoretyczną bronią imperializmu jest „kolektywny nacjonalizm”, czego przykładem nacjonalizm Nadbałtyki. ■ W *Kronice Kościoła Katolickiego Litwy* nr 66 czytamy: „Dnia 17 stycznia 1985 obchodzono w wileńskim

teatrze dramatycznym 150-lecie urodzin biskupa A. Baranauskasa. W uroczystościach wzięli udział również przedstawiciele bezbożnych władz. Najpiękniejszych przykład współżycia między państwem a Kościołem! Litewski poeta i biskup w poprzednim stuleciu odważnie walczył z carskimi ograniczeniami działalności katolickiej. Ówczesne rządy ukarały biskupa za to, że wbrew przepisom wyprowadził procesję poza obręb cmentarza, chociaż była to katolicka procesja w katolickim kraju. W dniu opisanych uroczystości jubileuszowych w tymże Wilnie sądzono ks. Kastytisa i młodego katolika Żemajtisa, oskarżonych o to, że w dniu Wszystkich Świętych spokojnie szli z procesją z kościoła na mogiły. Carskie władze w podobnych wypadkach poprzestawały na grzywnie pieniężnej — dzisiaj dostaje się 2-3 lata więzienia”. ■ Nowy moskiewski pełnomocnik do spraw wyznań, K. Charczew, odwiedził Litwę. Przy tej okazji obiecał zwiększenie ilości kleryków w seminarium kowieńskim do 150-ciu, jeżeli biskupi nie będą wyświęcać na księży kleryków, odmawiających współpracy z władzami. Obecnie klerycy są często wzywani do urzędów wojskowych. Na Litwie kursuje list otwarty kleryka Puzonasa, opisujący, jak go zwerbowano na informatora. Na petycję w sprawie zwrotu kościoła w Kłajpedzie (zbudowanego ze zbiorok) Charczew oświadczył, że nie zostanie on nigdy zwrócony. ■ W ostatnich latach nie można z Litwy wysłać bez specjalnego zezwolenia żadnych druków, książek ani gazet. Upřednio można było wysłać kilka urzędówek, ale nie pisma satyryczne i specjalistyczne. ■ Jubileuszowy Komitet Chrztu Litwy z Chicago rozpiisał konkurs na projekty znaczków, które byłyby przedłożone poczcie watykańskiej do wydania w roku 1987. Przy napisie „Christianitatis Lituaniae” mają widnieć daty trzech chrztów Litwy: 1251 Mendog, 1387 Jagiełło i 1413 Witold. Poza tym projekty mogą przedstawiać wizerunki bł. Giedroycia, św. Kazimierza, Matki Boskiej Ostrobramskiej, katedry wileńskiej, uniwersytetu wileńskiego i in. ■ Litewsko-kanadyjski tygodnik *Teviskes Žiburiai* często omawia głosy prasy i wydawnictw polskich na temat stosunków polsko-litewskich, uwypuklając „polskie zagrożenie” przez cytaty oświadczeń rządu londyńskiego i wypowiedzi o niezbywalnych prawach do granic z traktatu ryskiego. Współpracownik *Kontakt* Jan Darewski pyta w liście do redakcji, czy dla przyszłych stosunków ważniejsze są wypowiedzi starej emigracji polskiej, czy też nowej i opozycji w kraju. Oświadczenie opozycji nt. granic przesłał upřednio redakcji. *Teviskes Žiburiai* cytuje również artykuł z warszawskiej *Rzeczywistości* pt. „Casus Miłosz”, w którym Miłosz potraktowany jest jako poeta nie-polski, uważający się sam za Litwina: zdaniem *Rzeczywistości* można go wobec tego uznać najwyżej za kosmopolitę. ■ Pomni strat wynikłych z wynarodowienia, Litwini nazywają Miłosza Milasius, Giedguda Gelgudas, Chodkiewicza Katkus, Radziwiłła Radvil... w pewnej pogadance mowa nawet była o wybitnym człowieku, którego nazwisko rodowe — od nazwy gniazda rodzinnego na Żmudzi — powinno brzmieć Giniotas, a imię Juozas: do historii przeszedł jednak jako Józef Piłsudski. Wielki Książę Witold figuruje w angielskich książkach niekiedy jako Vytautas, Witovt lub Witowt.

E. ŻAGIELL

Kronika kulturalna

Londyński Kongres Kultury Polskiej

ZAKALEC Z RODZYNKAMI

Wysiłkiem pracy społecznej odbył się w Londynie w dniach od 14 do 20 września bież. roku wymieniony w tytule Kongres. Zgromadził ponad 300 polskich publicystów i polityków, pisarzy i naukowców ze wszystkich prawie kontynentów, z wyjątkiem Azji, co jest prostą konsekwencją faktu, że ich tam nie ma (prócz Izraela). Jeśli chodzi o kraje zamieszkania, to najliczniej reprezentowana była oczywiście Wielka Brytania, potem Stany Zjednoczone, Kanada, Francja, Niemcy, Szwajcaria. Kongres otworzył Prezydent Edward Raczyński. Rangi intelektualnej dodał udział Bohdana Cywińskiego, Waldemara Kuczyńskiego, prof. Piotra Wandycza, Jana Nowaka (uparcie tytułowanego magistrem), prof. Jerzego Zubrzyckiego z Australii, prof. Leszka Kołakowskiego i wielu innych — wymieniam nazwiska z listy bez wyboru, nie pragnąc pomniejszyć dorobku twórczego ani znaczenia w kulturze polskiej wszystkich pozostałych. Ale zabrakło Czesława Miłosza i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Jerzego Giedroycia i Konstantego Jeleńskiego, obu Karpińskich i obu Smolarów, Lebensteina i Lenicy... Te dwa ostatnie nazwiska wywołują problem nieobecności na Kongresie sztuki tworzonej na obczyźnie, która w dzisiejszym malarstwie polskim ma tak ważne miejsce, a przy tym liczy się w kulturze europejskiej. Zamiast tego pokazano w pomieszczeniach POSK-u — będącego miejscem obrad Kongresu — wystawę podrzędnych kiczu w zaściankowym stylu. Zabrakło wielu przedstawicieli najmłodszego pokolenia twórców i działaczy kultury, którzy znaleźli się poza Krajem w ciągu ostatnich kilku lat. Mimo zapowiedzi nie pojawili się Kazimierz Brandys i Stanisław Barańczak — ten ostatni ponoć nie otrzymał wjazdowej wizy brytyjskiej, co jest zjawiskiem wysoce zastanawiającym....

Był natomiast obecny na Kongresie Kraj — nie w formie

delegacji, nie przez obecność ludzi, ale przez obecność problematyki krajowej.

Obecność ta przybierała czasem formy może nieco zbyt groteskowe, jak na przykład w referacie na jednej ze specjalistycznych sesji o losie żubrów w Puszczy Białowieskiej... Zbyt wiele miejsca poświęcono chyba sprawozdaniom z rozmaitych cennych zapewne i potrzebnych, ale przyczynkarskich badań naukowych. Pragnienie przedstawienia całej panoramy polskiego wysiłku umysłowego na obczyźnie przesłoniło możliwość osiągnięcia większego, nieporównanie większego pożytku z takiego spotkania polskich myślących głów, które skupiłoby się na dwóch-trzech zasadniczych problemach. Ale zanim przejdziemy do opisu *Kongresu, jaki mógłby być* — choćby fragmentarycznie opiszmy *Kongres, jaki był*.

Obecność kraju — ogromna zaleta. Problematyką przede wszystkim krajową zajął się dr Zdzisław Najder we wstępnej prelekcji otwierającej Kongres, na temat „Co kultura polska może dzisiaj dać światu?”. Szczęśliwym wyborem prelegenta obyło się w tym referacie bez wywołania duchów mesjanizmu, bez wieszczania, w ogóle bez wszelkiej przesady. Zamiast narodowej pobudki, której być może niektórzy oczekiwali, otrzymaliśmy spokojną, rzeczową, bardzo wyważoną ocenę szans podtrzymania, rozwoju, utrwalenia swego miejsca, a ewentualnie także wywarcia pewnego wpływu na Europę i świat przez ten swoisty fenomen społeczno-kulturowy, jakim jest dzisiejsze społeczeństwo polskie (w najlepszych swych przejawach). Nie ujmując nic z zadań, roli i znaczenia, jakie ma emigracja, los tej szansy zależy całkowicie od przyszłych losów społeczeństwa w kraju.

Perspektywę krajową miały wszystkie ważniejsze wydarzenia intelektualne Kongresu.

Takim wydarzeniem był niewątpliwie referat dr. Waldemara Kuczyńskiego, działacza „Solidarności” i ekonomisty, który mówił na temat postaw opozycji w Polsce, analizując różne style, określone przez autora jako ucieczka w przeszłość i ucieczka w przyszłość — obie jednakowo oderwane od rzeczywistości — czyli zarówno tęsknota do powtórzenia się historii raz jeszcze w takiej samej skali i temperaturze, co w 1980 roku, jak i formułowanie programów politycznych na wyrost, na lata cudem odzyskanej wolności, co jest zabawą miłą, lecz niepraktyczną i jałową. Dodam od siebie, że prowadzi to często do zupełnie zbytecznych — na dzisiejszym etapie walki opozycji o minimum obywatelskiej podmiotowości — podziałów i kontrowersji. Niedawno ukazała się w obiegu podziemnym w kraju nowa książka znanego publicysty Piotra Wierzbickiego pod tytułem „Myśli staroświeckiego Polaka”. Autor obwieszcza w tym dziele, które jest zresztą głównie pamfletem politycznym a nie manifestem, upadek tradycyjnego programu demokratycznej lewicy i potrzebę ożywienia i sformułowania na nowo programu prawicy. Dostyć typowy przykład.

Wśród postaw, których nie popiera, Waldemar Kuczyński wymienia także „ucieczkę w drugi obieg”, czyli wycofanie się części

opozycji na utrwalone przyczółki Polski niezależnej i całkowite odwrócenie się tyłem do PRL, co — dodam od siebie — jest postawą szczególnie powszechną i co więcej, możliwą do zrealizowania, zwłaszcza w sferze działania kultury niezależnej. Przeciwnieństwem tej postawy jest wymieniona przez Kuczyńskiego „gorączka radykalizmu” — czyli odziedziczone po tak zwanej „ekstremie” Solidarności dążenie do zwarcia z systemem, do próby sił w przekonaniu, że komunizm uda się przewrócić. Postawa ta rzeczywiście przetrwała stan wojenny i ani kule, ani czołgi, ani kolejne lekcje udzielane przez ZOMO przy pomocy pałek nie wybiły jej z głowy. Ale faktem jest, że ta postawa ma szczerze i emocjonalne poparcie zwłaszcza wśród robotniczej młodzieży.

Co proponuje Kuczyński? Ano właśnie. Rzeczą wymaga szerokiej dyskusji, dla której praktycznie miejsca na Kongresie nie było, z powodu przeładowania programu drugorzędnymi albo zgoła zbędnymi referatami, z których wiele stało na bardzo kiepskim poziomie. Jednak na tle poglądów Kuczyńskiego doszło do krótkiego spięcia o charakterze więcej niż polemicznym. Nawet insynuacyjnym.

Kuczyński wystąpił z tezą, która jest trudna do zaakceptowania: „... najważniejszym obowiązkiem opozycji jest wpływanie na poprawę stanu i perspektyw całej Polski (...). Ponieważ większość tego, co wyznacza losy kraju i zamieszkujących go ludzi rozstrzyga się w Polsce oficjalnej, opozycja nie może się od niej odwracać. PRL-u nie można zbojkotować inaczej jak za cenę opuszczenia społeczeństwa w tych sprawach, z którymi ono nie może się udać gdzie indziej, niż tam właśnie”. I dalej: „... w PRL-u tkwi zaklęta Rzeczpospolita (...) my tego zaklęcia nie jesteśmy w stanie dziś zdjąć, choć kiedyś ono opadnie. Kształt, jaki się wtedy wyłoni, zależeć będzie od tego między innymi, czy dziś opozycja zdecyduje się na przeniknięcie do Polski oficjalnej, czy uzna to za zasadę programową, czy będzie nadal traktowała problem półgębkiem”.

Jeden z polemistów Kuczyńskiego potraktował te słowa jako próbę wykupienia biletu na powrót z emigracji do PRL, co zostało powiedziane. Kuczyński świetnie poradził sobie z przeciwnikami. Nastąpiło przeproszenie.

Ale problem pozostał nierozwiązany. I rzeczywiście, nie ma chyba ważniejszego problemu, zwłaszcza dla ludzi tam, w Kraju, którzy na własnej skórze, codziennie egzaminują możliwości wymuszonego sytuacją współistnienia z PRL.

Dobre rady brzmią niezbyt wiarygodnie, póki ten kto ich udziela nie zamierza praktycznie angażować się w ich urzeczywistnianie — i z tego punktu widzenia oponenci Kuczyńskiego mieli nieco racji... Ale nie jest to jedyna słabość jego teorii. Dla tych wszystkich — a nie są oni wcale nieliczni — którzy pragnęliby odbudować owo „centrum”, ów „środek” między władzą a opozycją, łagodzić ostre kany rzeczywistości i popychać wszystkie sprawy życiowe Polaków łagodnie naprzód, poważniejszą trudnością jest fakt, że nie są wcale akceptowani.

I to nie przez opozycję — a właśnie przez władze, którym wystarczają atrapy społeczne typu PRON. Wydaje się, że budowa szerszego systemu władzy, jak najmniej powiązanego z rzeczywistością prawdziwą, w jakiej na coraz niższym poziomie toczy się życie kraju, jest tej władzy ideałem. Trudno się dziwić: wszystkie poprzednie reżymy upadały w niesławie dlatego, że zbyt były ustępliwe wobec życia. Abstrakcja matką ładu i porządku.

Wydarzeniem Kongresu był także wykład Bohdana Cywińskiego, który analizując postawy społeczne, polityczne, etyczne różnych grup dzisiejszego społeczeństwa polskiego, opisując poziom ich świadomości i zespoły wyrażanych poglądów i postaw, nawiązał tym samym do wstępnej prelekcji dr. Najdera, pogłębiając wiele jego tez i obserwacji. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że i te uwagi miały charakter zbyt akademicki. Doskonale rozumiemy układ stosunków społeczno-politycznych w Polsce i fakt, że Kościół katolicki i światopogląd religijny mają znaczną przewagę i wielką władzę nad umysłami. Jakie jednak wynikają z tego wnioski dla dalszego, świadomego kształtowania stosunków między państwem a Kościołem oraz między obywatelem a państwem, ideologicznie mu przeciwnym — tego nadal nie wiemy, a praktyczne rozwiązania, podejmowane przez episkopat, nie zawsze wydają się przekonujące.

Do szczególnie bezsilnych, jeśli chodzi o wnioski, należały wygłoszone na sesji poświęconej zagadnieniom ekonomicznym referaty profesorów E. Zaleskiego i J. Marczewskiego. Krytyka nieszcześniejszej gospodarki polskiej nie należy do zadań trudnych, jest dostępna nawet dla laika. Od fachowca można oczekiwać jednak pewnej dozy obiektywizmu, która sprowadzałaby się do tego, by dzisiejszych zarządców ekonomii PRL nie traktować tylko i wyłącznie jak idiotów o szczególnym natężeniu złej woli, lecz choćby tylko częściowo jak ludzi, którzy są ograniczeni wielkim zespołem faktów dokonanych, szczególnie niekorzystnych pod każdym względem. Jeśli się o tym nie pamięta, dochodzi do przykrych popisów, które można przyrównać do zęnięcia się człowieka zdrowego (i bezpiecznego) nad, delikatnie mówiąc, niepełnosprawnym.

Oczywiście, nikt nie spodziewa się cudownych recept uzdrowienia chorego (ten Łazarz oczekuje raczej wskrzesiciela) — ale krytyki rzeczowej, uwzględniającej okoliczności, których nikt, włącznie z Gorbaczowem i Jaruzelskim, nie jest w stanie odmienić. Gospodarka rynkowa jako środek leczniczy na naszą chorobę byłaby tym samym, co wypuszczenie na bieżnię człowieka po amputacji obu kończyn, lub nacieranie krostowatego terpentyną.

Do równie jałowych krytyków PRL należeli na Kongresie panowie A. Peszyński i A. Łuczak, którzy zajmawszy się problemami kryzysu i zagrożenia kultury polskiej w kraju, ograniczyli się do antykomunistycznych frazesów odmienianych w różny sposób. Nie posunęło to naprzód sprawy naszej przyszłości w żadnej z istotnie śmiertelnie zagrożonych dziedzin życia.

Jedynym optymistycznym akcentem Kongresu było wystąpienie prof. Leszka Kołakowskiego z Oksfordu na temat „Komunizm jako formacja kulturowa”. Elegancja, obiektywizm, prowadzenie toku myślenia po torach przeciwstawnych wszelkim stereotypom, wyjaśniło trudny do zrozumienia z dzisiejszej perspektywy fakt, że przez wiele lat komunizm był atrakcyjny dla wielu wybitnych artystów, filozofów, działaczy jako źródło inspiracji ideowej, kulturowej, czy nawet artystycznej.

Esej prof. Kołakowskiego ma wielkie znaczenie praktyczne — powiedziałbym: edukacyjne. Nie tylko dla młodzieży.

A jego optymizm streszcza się w stwierdzeniu, że komunizm formacją kulturotwórczą *był* — lecz już *nie jest*. Jest to twierdzenie prawdziwe. Potwierdzone doświadczeniem.

Uschnięcie komunizmu jako źródła kultury, bankructwo jego teorii ekonomicznej, również potwierdzone w praktyce, poprzedzają dalsze przemiany, dalszy rozpad.

Wysłuchiwanie tego zamierającego tętna, zagłuszanego przez tętno życia prawdziwego, wegetującego w dzisiejszych warunkach kraju — życia, któremu trzeba nakreślić perspektywę — oto, jak się wydaje, możliwy cel emigracyjnych zjazdów ludzi kultury. Kongres, którego byliśmy świadkami, z tego punktu widzenia w dużym stopniu zawisł w próżni. Rozproszony w szczegółach i szczegółikach, za mało dbały o wysoki poziom przygotowanych uprzednio wystąpień, poświęcający zbyt mało czasu na dyskusję — nie osiągnął tej siły wypowiedzi, której można byłoby oczekiwać. Tej siły, która jest potrzebna — i krajowi, i emigracji. Tej siły, która jest konieczna jednej — wspólnej dla wszystkich niezależnie od miejsca zamieszkania — zagrożonej polskiej kulturze.

OBSERWATOR Z KRAJU

Periodyki polskojęzyczne w USA

RAZ NA TYDZIEŃ, NA MIESIĄC, NA KWARTAŁ

Jeszcze kilkanaście lat temu wymagający czytelnik musiałby wystawić jednolicie surową opinię pismom polskim ukazującym się w Ameryce. Okoliczności łagodzące, takie jak trudności finansowe wydawców, niedostatek fachowców z prawdziwego zdarzenia, kłopoty z dystrybucją na ogromnym kontynencie, nie usprawiedliwiały ich niskiego poziomu. Koślawa, zanieczyszczona obcymi wrętami polszczyzna, brak hierarchii w traktowaniu tematów, zaściankowość, anachronizm poglądów, nieudolne kroniki „z niwy polonijnej”, byle jaka szata graficzna, a na dodatek masa błędów zniechęcały do lektury. Szycerzy nazywali je gazet-

kami parafialnymi lub „Dzwonkiem Niedzielnym”. Tak redagowane periodyki były skazane na uwiad starczy. I rzeczywiście, część z nich musiała zaniechać dalszej działalności. Te, które przetrwały, zostały zreformowane. W ostatnich latach powstało również kilka nowych pism, założonych przez ludzi, którzy nie tracą nadziei, że Polacy, szczególnie spośród najnowszej emigracji solidarnościowej, będą w większym stopniu niż ich poprzednicy na kontynencie amerykańskim popierać prasę w rodzimym języku.

Nie trzeba dodawać, że te inicjatywy są bezpośrednio związane z cyklem wydarzeń w Polsce w ciągu ostatnich dziewięciu lat, począwszy od strajków radomskich i utworzenia KOR-u. Od tego czasu sprawa polska zgalwanizowała opinię publiczną w świecie i naturalną koleją rzeczy przysporzyła czytelników oraz współpracowników periodykom polskim wydawanym na Zachodzie. Spowodowała też istotną zmianę perspektywy. O ile przedtem pisma w USA i w Kanadzie poświęcały obok sprawozdań lokalnych z życia Polonii wiele miejsca materiałom wspominkowym z okresu międzywojennego i z czasów wojny, o tyle w ostatnich latach nastąpił wyraźny zwrot w kierunku teraźniejszości. Sytuacja w Polsce zmusiła też wydawców do zajęcia wyraźnego stanowiska politycznego. Skończyły się czasy mniej lub bardziej skutecznych prób kokietowania niektórych z nich przez konsulaty PRL lub jego agendy.

Teoretycznie prasa polskojęzyczna na kontynencie północnoamerykańskim ma doskonałe warunki do działania: oparcie w największym poza Polską skupisku Polaków, możliwości korzystania z najnowocześniejszej w świecie bazy technicznej i komunikacyjnej, serwisów agencyjnych, a także ze współpracy znacznej obecnie liczby emigrantów parających się zawodowo piórem oraz bodaj jeszcze liczniejszej grupy rysowników i grafików, którzy przenieśli się ostatnio do USA. Wzrosła też grupa potencjalnych czytelników. Szacuje się, że w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych osiedliło się w latach osiemdziesiątych ok. trzystu tysięcy uchodźców i emigrantów z Polski. Ich obecność nie pozostała bez wpływu na poziom pism polskojęzycznych — pozwoliła na odmłodzenie kadry redaktorskiej, wniosła tak potrzebny element polemiczny.

Gdy jednak przychodzi do ogłoszenia nakładów (w Stanach Zjednoczonych każde pismo jest prawnie zobowiązane do podania raz w roku dokładnych danych dotyczących wysokości prenumerat, egzemplarzy w wolnej sprzedaży, zwrotów z kiosków itp.), to okazuje się, że domniemane miliony potencjalnych czytelników nie są bynajmniej zainteresowane prasą polskojęzyczną. Dla periodyków nakład rządu kilku dziesiątków tysięcy pozostaje na ogół w sferze pobożnych życzeń. Wydawcy niechętnie zresztą powołują się na wysokość nakładów, jest to raczej fakt wstydliwie skrywany. Pod tym względem istniejący od 77 lat tygodnik *Gwiazda Polarna* może się poszczycić nie tylko długo-wiecznością, ale i pewnym sukcesem komercyjnym. I gdy w reklamówce zachęcającej do prenumeraty podaje, że jest naj-

większym (w sensie ilościowym) pismem w Ameryce, to pisze prawdę.

Sceptyk zapyta, po co więc zakładać nowe pisma, zamiast poprawiać poziom już istniejących, skoro popyt na nie jest tak umiarkowany. Zapewne, sporo racji mają krytycy twierdząc, że nastąpiła inflacja polskiego słowa drukowanego na Zachodzie. Ale nie jest to zjawisko charakterystyczne tylko dla ostatnich lat. Jan Kowalik, autorytet w dziedzinie prasoznawstwa na emigracji, wymienia w swojej czterotomowej *Bibliografii czasopism polskich wydawanych poza granicami kraju od września 1939 roku* (do września 1972 roku) ponad 3 tysiące periodyków w ok. 60 krajach świata. Obecne inicjatywy wydawnicze są więc powtórzeniem dawnego wzoru. Ponadto w Ameryce występuje silna tendencja do decentralizacji prasy. Prócz powszechnie znanych pism o zasięgu krajowym, każde miasteczko ma własny organ, w którym nacisk pada na lokalne aspekty życia zbiorowego. Pisma polonijne sprzed lat naśladowały ten typ lokalnych periodyków anglojęzycznych, przeznaczonych dla określonej społeczności. Teraz, jak się wydaje, stosują odmienną formułę: są adresowane do odbiorców z różnych stanów, a nawet do emigracji polskiej poza Ameryką.

Przed redaktorem pisma polskojęzycznego w Ameryce stoi jeszcze jeden fundamentalny wybór: czy ma być ono emigracyjne czy polonijne. Emigracyjne, a więc takie, dla którego punktem odniesienia jest Polska, przede wszystkim w kontekście politycznym, czy polonijne, gdzie eksponuje się głównie życie w kraju osiedlenia, a sytuacja w Polsce schodzi na dalszy plan. Innymi słowy, zagadnienie sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: gdzie jest centrum — tu czy tam? Warto pamiętać o tym rozróżnieniu, bo ma ono poważne konsekwencje dla profilu i ideowości pisma.

Krótki przegląd nowych lub zreformowanych periodyków polskojęzycznych w Ameryce Północnej zaczę więc od pisma o największym nakładzie — *Gwiazdy Polarnej*, wydawanej od 1908 roku z dala od ośrodków wielkomiejskich, w Stevens Point w stanie Wisconsin. Jest to przykład pisma bardziej polonijnego niż emigracyjnego. Tajemnicą jego powodzenia jest przystępność. Tygodnik ten nie jest trybuną ścierania się poglądów. Jest redagowany z myślą o masowym odbiorcy. Ma 16 stron gazetowych dużego formatu (spora część zajmują reklamy — główne źródło dochodu pism w Ameryce) i choć zawiera artykuły i doniesienia na temat sytuacji w Polsce, to proporcjonalnie dużo miejsca poświęca popularnym działom w rodzaju porad praktycznych (moda, przepisy kulinarne, horoskopy, krzyżówki, kącik dla dzieci), informacjom z zakresu medycyny, psychologii, prawa, ciekawostkom naukowo-technicznym itp. Chociaż nominalnie jego redaktorem naczelnym jest Alfons Hering, to *de facto* redaguje *Gwiazdę Polarą* Edward Dusza, autor kilku tomików poetyckich. Dusza zapowiadał znaczne zmiany w profilu tygodnika, ale — przynajmniej na razie — nastąpiła jedynie nieznaczna ewolucja pisma. Jest ono z pewnością staranniejsze redagowa-

ne niż przed laty, niemniej jednak jego zasadnicze działy pozostały niezmienione. Rubryka poezji przynosi na ogół wartościowe wiersze, ale na powieści w odcinkach redakcja wybiera zakurzone dzieła klasyków drugiej kategorii (obecnie *Florian z leśnej puszczy* Rodziewiczówny). Pismo rzadko drukuje głębsze analizy polityczne, a jeśli to czyni, posługuje się chętnie przedrukami z podziemnej prasy polskiej. Nie oznacza to jednak, że wystrzega się zabierania głosu na tematy polityczne. W jednym z numerów sierpniowych ogłosiło np. interesujący wywiad z emigrantem z Niemiec Wschodnich. *Gwiazda Polarą* dociera do czytelników w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Mniej lub bardziej świadomie stosuje formułę pisma kobiecego. Jest pismem „dla ludzi”, którzy umiarkowanie interesują się wielką polityką. Przy pewnym nadmiarze plotek o różnych osobistościach i poradnictwie na każdą okazję, pismo jest w sumie „niepodległościowe”, zachowawcze, poprawne. Radykalnych zmian w jego profilu nie należy raczej oczekiwać, bo do takiego właśnie przyzwyczaili się jego odbiorcy. Ale w przeszłości różnie bywało. W czasie wojny na jego łamach ogłaszał artykuły Julian Tuwim, przeżywający wówczas apogeum upojenia prosowieckiego, czemu dawał upust w swoich elukubracjach.

Przegląd Polski jest 16-stronicowym dodatkiem *weekendowym* do nowojorskiego *Nowego Dziennika*, założonego w 1917 roku jako kontynuacja *Nowego Świata*. Z początku dodatek miał osiem, potem 12 stron i nosił tytuł *Tydzień Polski*. Od 1981 roku, po zmianie nazwy i zwiększeniu objętości, zyskał ograniczoną autonomię, tzn. można go kupić (zaprenumerować) oddzielnie, nie tylko w transakcji związanej z gazetą. Redaktorem naczelnym obu publikacji jest Bolesław Wierzbiański. Z początku poziom dodatku pozostawiał wiele do życzenia. Był on obciążony wszystkimi wadami wspomnianymi na wstępie. Porównanie pierwszych numerów dodatku z jego obecną mutacją najlepiej ilustruje proces ożywienia polskiego słowa drukowanego w Ameryce w ciągu minionych kilkunastu lat.

Stały zespół redakcyjny i ciągła współpraca danej grupy dziennikarzy w dużym stopniu decydują o sukcesie pisma, a już z pewnością o jego obliczu. W przypadku *Przeglądu Polskiego* było inaczej: w ciągu kilkunastu lat redaktorami tygodnika było kolejno sześć osób o różnych upodobaniach i temperamentach. Dominowały kobiety z młodszej generacji emigracyjnej. Każda z nich wniosła coś nowego. Od ponad roku *Przegląd Polski* redaguje Julita Karkowska, bo w redakcji i dziennika, i tygodnika nastąpiły kolejne zmiany personalne. Jednakże, jak należy sądzić, o zawartości numerów decyduje nadal Bolesław Wierzbiański, jeden z nielicznych redaktorów naczelnych piszących dużo i często. Pismo straciło kilku doświadczonych dziennikarzy i współpracowników, ale zyskało innych. Wśród nowych współpracowników wyróżnia się Maciej Hłowiecki, niegdyś członek zespołu redakcyjnego *Polityki*, publicysta specjalizujący się w tematyce naukowej. *Przegląd Polski* przynosi dużo materiałów dotyczących osoby i działalności Jana Pawła II (ostatnio drukował

nawet w odcinkach encyklikę papieską), korzysta w znacznej mierze z przedruków z podziemnej prasy polskiej, a także *Tygodnika Powszechnego* i polskiej mutacji *Osservatore Romano*, poświęca wiele uwagi każdej rocznicy narodowej i świętom kościelnym, ale przesadą byłoby twierdzić, że jest nieoryginalny lub że ma skłonności chadeckie. Stosuje jednak z upodobaniem dydaktykę społeczną, pragnąc oświecać „politycznie myślącą społeczność polską w Ameryce”. Ma ton wyważony, czego najlepszym dowodem jest ogłoszony latem cykl artykułów B. Wierzbiańskiego „KPA — krytyka i rzeczywistość”. Krytyka Kongresu Polonii Amerykańskiej w jego ujęciu była jednak nadzwyczaj powściągliwa i czasem nawet robiła wrażenie apologetyki. Gwałtowne polemiki nie są obecnie dobrze widziane na tych łamach, a jeden z felietonistów *Przeglądu*, Puszczuk, który gustował w bulwersowaniu opinii publicznej, to się pojawiał, to znikał na wiele miesięcy. Prócz tego *Przegląd* ma na ogół dobrze prowadzony dział recenzji książkowych (uświetnia go okresowa współpraca Stanisława Barańczaka). Systematycznie zamieszcza wywiady — własne i z drugiej ręki, czyli przedruki. Przedstawia sylwetki Polaków, którzy się wybili, zamieszcza reportaże z Europy i innych części świata — różnego kalibru: od opisu pielgrzymek do Rzymu do relacji typowo turystycznych. Wprowadził niedawno kącik debiutów poetyckich (zdumiewające, ile ludzi pisze wiersze) i ostatnio drukuje w odcinkach książkę Edwarda Redlińskiego o środowisku polskim w Ameryce. Słowem, stara się zaspokoić wszystkich: starych i młodych, pobożnych i niepokornych.

Tygodnik Nowojorski istnieje zaledwie od jesieni ub. roku i ma niezbyt adekwatną nazwę, bo — przynajmniej na razie — jest miesięcznikiem. Założycielką nowego periodyku jest Julita Michalska, polonistka i teatrolog, która rozstała się z *Przeglądem Polskim* po kilkuletnim okresie pełnienia obowiązków jego redaktora. Pismo zwraca uwagę atrakcyjną szatą graficzną. Okładki projektują czołowi plastycy polscy, mieszkający obecnie w Ameryce: Jan Sawka, Andrzej Dudziński, Andrzej Czczot i in. Sposób łamania numeru, liczne ilustracje i rysunki (w tym Sławomira Mroźka) dowodzą, że redakcja ceni znak plastyczny równie wysoko co słowo. Pismo powstało niemal *ex nihilo* — bez zaplecza w postaci spółki akcyjnej, kredytów bankowych, lokalu, administracji, dzięki sile woli jego redaktorki. *TN* jest w zasadzie adresowany do młodszego, bardziej wykształconego odbiorcy, ale nie jest pismem pokoleniowym. Rozpiętość wieku piszących jest także znaczna. Lista jego stałych współpracowników wynosi obecnie ok. 30 osób, w tym kilku profesorów (Jan Kott, Andrzej Kamiński, Roman Karst, Andrzej Targowski), krytycy literaccy, socjologzy, tłumacze, poeci, dziennikarze radiowi oraz publicyści — zarówno seniorzy (Zdzisław Bau, Zbigniew Byrski), jak i nowi emigranci. Dalsze losy pisma i jego rozwój zależą od prenumerat. Gdy liczba prenumerat przekroczy tysiąc osób, koszty opłat pocztowych będą znacznie tańsze, co ma pozwolić na zwiększenie częstotliwości wydawania numerów.

Teraz jednak czytelnik otrzymuje 32-stronicowy miesięcznik o profilu tygodnika społeczno-kulturalnego. O ile wyżej wymienione pisma uprawiają układność, o tyle ton *TN* jest zadziorny — zarówno w felietonistyce jak i w komentarzach aktualnych wydarzeń. Kulturze i tematyce społecznej pismo poświęca nieco więcej uwagi niż polityce, ale w wielu wypadkach zagadnień tych nie sposób oddzielić, czego dowodem może być szkic Daniela Geroulda o problemach z rzeczywistością społeczno-polityczną we współczesnym dramacie i teatrze polskim, drukowany na wiosnę. *TN* ogłosił też wypowiedzi znanych osobistości, w tym Richarda T. Daviesa, b. ambasadora USA w Warszawie. Od pierwszego numeru drukuje w odcinkach nigdzie przedtem nie publikowany notatnik Mirona Białoszewskiego z pobytu w Ameryce. Systematycznie zamieszcza recenzje książkowe, teatralne, plastyczne, a także poświęca sporo miejsca prezentacji współczesnej prozy i poezji polskiej. Stałych działów ma niewiele; na pochwałę zasługuje przegląd prasy podziemnej. W małym stopniu korzysta z przedruków. W zasadzie ogłasza materiały oryginalne. Ma ambicje bardziej elitarne niż populistyczne, zamieszcza zgrzytliwe karykatury. Część tekstów drukuje po angielsku (wówczas może byłoby wskazane dołączenie krótkiego *resumé* po polsku).

W sumie *TN* nie ma jeszcze wyraźnie skryształizowanego profilu, znajduje się ciągle *in statu nascendi*. By przeżyć, musi się stać prawdziwym tygodnikiem, nie tylko z nazwy, ale czy zdoła sobie zapewnić dopływ materiałów na odpowiednim poziomie? Wymagać to będzie dużej energii od redaktorki jak i grona jej współpracowników.

Dialogi — kwartalnik Kongresu Polonii Kanadyjskiej (okręg Alberta) pod redakcją Edwarda Możejki, profesora komparatystyki na miejscowym uniwersytecie, są zapewne najmniej znane czytelnikom polskim na Zachodzie. Edmonton, centrum kulturalne prowincji zamieszkałej przez ok. 50 tysięcy Polaków, leży bowiem z dala od głównych szlaków, a pierwszy numer pisma ukazał się dopiero rok temu. O ile *Tygodnik Nowojorski* i *Przegląd Polski* mają ambicje wyjścia na szersze wody i uzyskania prenumeratorków także poza granicami USA, o tyle *Dialogi* są nastawione na rynek miejscowy, licząc co najwyżej na dotarcie do Polaków w innych prowincjach zachodniej Kanady, gdzie nie ukazuje się żadne pismo w języku polskim. Nowy kwartalnik stanowi kontynuację pisma, które z braku funduszy musiało zawiesić działalność w 1971 roku. W tym wypadku mamy do czynienia z periodykiem subsydiowanym przez KPK, co nie pozostaje bez wpływu na jego profil. Organizacji tej poświęca się na stronicach *Dialogów* sporo miejsca i w dwóch pierwszych numerach zamieszczono obszerny wywiad z jego prezesami. Kwartalnik, jak podkreślono w inauguracyjnym artykule wstępnym, „jest poświęcony życiu społeczno-kulturalnemu Polonii kanadyjskiej oraz zagadnieniom całej kultury polskiej”. Innymi słowy, Kanada jest głównym punktem odniesienia. Centrum znajduje się „tu”, w Albercie, a nie „tam” — w Polsce.

Lektura trzech pierwszych zeszytów kwartalnika (objętość

dość skromna, 28 stron) prowadzi do wniosku, że zespół redakcyjny składa się z kontynuatorów tradycji pozytywistycznej. Ton wypowiedzi jest wyważony, a nacisk pada na oświecanie, propagowanie tolerancji, łagodzenie konfliktów (chodzi o życie polonijne, nie o stosunek do rzeczywistości w Polsce). Bardzo dużo miejsca poświęca się kulturowości (to modne słowo-klucz w socjologii stosowanej Kanady). Interesujący szkic na temat polityki wielokulturowości w perspektywie historycznej ogłosił Aleksander Matejko w drugim numerze *Dialogów*. Na łamach kwartalnika publikuje artykuły spore grono profesorów, nauczycieli, a także młodszych pracowników naukowych. Niektóre szkice, jak „Mistycyzm i magia Żydów polskich” Mariusza Wesołowskiego czy „Orient na słowiańskiej ziemi” Marytki Kosińskiej są ważne i zajmujące. Inne teksty, jak powierzchny „Trójętós o emigracji”, materiały wspomnieniowe czy sprawozdawcze — nie mają wystarczającego ciężaru gatunkowego. Co ujdzie w tygodniku, nie bardzo pasuje do kwartalnika. Periodyk ukazujący się cztery razy do roku z natury rzeczy musi stosować staranną selekcję materiałów. Prócz działów „Wielokulturowość”, „Dokumenty”, „Przegląd kulturalny”, wierszy poetów polsko-kanadyjskich, w następnych numerach *Dialogów* wprowadzono nowe rubryki, w tym niezbędny dział recenzji oraz poradnictwo imigracyjne, a nawet kącik brydżowy. Kwartalnik jest dwujęzyczny — każdy większy artykuł jest zaopatrzonej w krótkie streszczenie po angielsku. W sumie jest to pismo stateczne, poważne w tonie, odpowiedzialne za słowo. Z ogłoszonych listów do redakcji wynika, że *Dialogi* przyjęły się. Pytanie, czy to poparcie będzie trwałe i masowe. Opiszana w kwartalniku historia szkoły dwujęzycznej w Edmontonie świadczy, że Polacy mają słomiany zapał. Szkołę uruchomiono z ogromnym nakładem wysiłku, ale rodzice nie kwapią się z wysyłaniem do niej dzieci.

Ta sytuacja ilustruje w pewnym sensie całość zagadnień polskich w Ameryce. Teoretycznie inicjatywy polityczne, kulturalne, oświatowe powinny się spotkać z masowym oddźwiękiem. Dużo nas tam. Jako grupie wiedzie się nam nieźle finansowo. Mamy swoich Wielkich Polaków, którzy podnoszą nasze morale i nasze notowania na giełdzie etnicznej. W praktyce jednak odzew jest słaby. Na ogromnych obszarach kontynentu łącznikiem skupisk polskich lub choćby luźnych polskich grup są pisma. Nie przeceniając ich roli, można od nich przynajmniej oczekiwać wzmocnienia nadwątlonej więzi. Dlatego ich jakość, ton i reprezentowane przez nie wartości są tak ważne.

Renata GORCZYŃSKA

Shoah /Zagłada/

W połowie października br. zaproszono mnie oraz kilka innych osób na prywatny pokaz filmu „Shoah”. Wśród obecnych był profesor teologii katolickiej, Monsignor George Higgins; szczerzy przyjaciel Polaków i były ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie, Richard Davies oraz ceniony i życzliwy Polsce pisarz, Abraham Brumberg.

Film trwa ponad dziewięć godzin. Nie ma w nim aktorów. Zawiera jedynie wywiady z ofiarami żydowskiej gehenny, jej bezpośrednio sprawcami oraz naoczniymi świadkami. Pokazane są również oryginalne dokumenty i raporty niemieckie. Niektóre wywiady (z Niemcami) są filmowane z ukrycia. Poza tym są pokazane obozy, komory gazowe, przyobozowe wsie i miasteczka, tak jak wyglądały w czasie wojny i tak jak wyglądają dzisiaj. Twórcą filmu jest Francuz, Claude Lanzmann. Filmował w Polsce, Czechosłowacji, Grecji, Holandii, Izraelu, Szwajcarii, Rumunii oraz Ameryce. Poświęcił tej pracy kilkanaście lat życia.

„Shoah” jest na pewno największym filmem o tragedii Żydów, jaki powstał po wojnie. Nikt nie zdołał odtworzyć zagłady Żydów podczas drugiej wojny światowej tak dogłębnie, z tak krew mrozącą w żyłach brutalnością i brakiem litości dla widza. Jednocześnie konstrukcja filmu, powiązanie ludzi, wydarzeń, natury i czasu są pełne uzekającej poezji. Kojące piękno drzew, wyrosłych na miejscach kaźni, nieskazitelnie czysta tafla stawu, zawierającego popioły spalonych Żydów, wieśniacze łąki i zagony, pokrywające straszne tajemnice obozów koncentracyjnych, procesja, wychodząca z kościoła, który był miejscem zbiórki deportowanych Żydów, przejmujące modły w synagodze tych, którzy przeżyli, stara kobieta, która ocalała i śpiewa żydowską pieśń „z tamtych czasów” — wszystko to wstrząsa grozą lub urzeka pięknem. Jedno jest nieludzko straszne, drugie niewypowiedziane niewinne. Kto zobaczy ten film, nigdy go nie zapomni.

Dowiedział się o filmie „Shoah” Papież i w audiencji, udzielonej francuskim i belgijskim kombatanom chwalił film i sumienność jego twórcy. Podkreślił także moralne znaczenie tego filmu.

Przedmiotem filmu są męczarnie i wreszcie zagłada bezbronnych Żydów, w tym ponad trzech milionów obywateli polskich wyznania mojżeszowego lub żydowskiego pochodzenia. Nic więcej. Film nie opisuje ogólnego tła wojennych lat, podboju przez Trzecią Rzeszę prawie całej Europy i okrucieństw, dokonywanych wobec podbitych narodów. Nie mówi o cierpieniach nieżydowskiej ludności w Polsce, Rosji, Grecji czy Serbii. Rygorystyczna konstrukcja filmu na to nie pozwala.

Intencją Lanzmanna jest uzmysłwić widzowi, iż gehenna Żydów była zjawiskiem jedynym, z niczym nieporównywalnym. Ma w tym niewątpliwie rację. Równanie zagłady Żydów z cierpienia-

mi i stratami nieżydowskiej ludności Europy jest wprawdzie uczuciowo zrozumiałe, ale błędne. Owszem, wszystkie narody ponosiły mniejsze lub większe ofiary, ale wśród Żydów ofiarami byli wszyscy. O tym Lanzmann nie zapomina ani na chwilę i rozumie to każdy, który ten film zobaczy.

To bezkompromisowe ograniczenie tematu wywołuje wrażenie, iż Żydzi byli opuszczeni przez całą ludzkość, iż cała ludzkość była nieczuła na ich los. Jest to jednak nieściste, a poza tym deprymujące, szczególnie dla powojennego i przyszłych pokoleń żydowskich. Żydzi byli opuszczeni przez rządy, przez tych, którzy mieli władzę fizyczną czy duchową. Nie byli opuszczeni przez ludzkość. Przecież w Europie paręset tysięcy Żydów zostało uratowanych. W Polsce przeżyło ich kilkadziesiąt tysięcy. Za ukrywanie Żyda w Polsce groziła kara śmierci temu, kto to czynił i jego rodzinie. W Zachodniej Europie, choć kary nie były tak ostateczne, pomaganie czy ukrywanie Żydów też narażało na wielkie niebezpieczeństwo. Niemniej setki tysięcy chłopów, robotników, inteligentów, księży, zakonnic, narażając siebie i bliskich, udzielało Żydom pomocy w każdym kraju Europy. Ilu ich zginęło — Bóg jeden wie.

W Polsce powstała tajna organizacja, której jedynym zadaniem było ukrywanie i pomoc ukrywającym się Żydom. Jej szef, Władysław Bartoszewski, żyje w Warszawie. Żyje w Łodzi bohater przywódca powstania w warszawskim getcie, Marek Edelman. Żyją inni w innych krajach. Powinni być choćby wspomniani. Uprzymiśnienie widzowi, szczególnie młodemu pokoleniu Żydów i nie-Żydów, iż tacy ludzie byli, wydaje mi się konieczne, niezależnie od takiej czy innej konstrukcji filmu. Dla jednych jest to konieczne, aby nie stracili wiary w ludzkość i w swoje w tej ludzkości miejsce. Dla drugich, aby zrozumieli do czego prowadzi brak tolerancji, rasizm, antysemityzm i nienawiść oraz co może miłość bliźniego. Jest to ważniejsze niż jakakolwiek konstrukcja. Szczególnie, iż jest to film tak potężny i tak wielki, i będzie miał wpływ na widza.

Technika filmu polega na wywiadach, albo zaplanowanych albo przypadkowych, z nieznanymi Lanzmannowi ludźmi. W tej drugiej grupie są wypowiedzi kilku Polaków, mieszkańców przyobozowych miast i wsi. Niektóre świadczą o współczuciu i dobroci serca, większość przeraża. Oto jakieś małomiasteczkowe kobiety, pytane co myślą o zniszczeniu Żydów, odpowiadają, iż po ich zagładzie żyje im się lepiej niż dawniej. Zajęty pożydowskie domy, okazał się niż te, w których mieszkają przed wojną. Oto jakaś kobieta z innej grupy, choć nie pytana, poucza Lanzmanna, że to, co spotkało Żydów, to kara boska za wydanie Zbawiciela na śmierć. Mówi to na tle kościoła tuż przed procesją. Snać przykazania drugiego soboru watykańskiego, określające taką postawę jako grzech, nie doszły do tej parafii. Oto miejski inteligent, także nie pytany, wrywa się z tłumem przed kamerę filmową, aby poinformować Lanzmanna, co jakoby widział jego przyjaciel. Oto jakiś rabin miał tłumaczyć zebranym na deportację Żydom, że swój los zawdzięczają własnym przed-

kom, którzy, wydając Chrystusa na śmierć, wołali, aby Jego krew spadła na nich i na ich potomstwo. Inteligent nie dodaje, iż Żydzi i rabin byli otoczeni przez SS-manów z rewolwerami lub pałkami w łapach. Oto rolnik, pytany, czy żałuje, że Żydów już nie ma, odpowiada z uśmiechem, że i tak, i nie. Gdy był młody, lubił Żydówki. Teraz jest stary i wszystko mu jedno. Inny Polak z okolic Trebłinki opowiada o transporcie Żydów z Zachodniej Europy, który obserwował. Na dojazdową stację tuż przed Trebłinką zajeżdżały pulmanowskie wagony. Siedzieli w nich grubi Żydzi i ufryzowane Żydówki. Na stolikach wewnątrz wagonów stały „flakony z perfumami”. Widział walizy ze złotem. Na stacji jeden z Żydów wyszedł z wagonu i udał się do bufetu stacyjnego, aby coś tam sobie kupić. Drzwi wagonu nie były strzeżone. Wolno mu było wyjść — tuż przed Trebłinką. O Boże!

Film zawiera także wywiad ze mną. Okoliczności tego wywiadu ujawniają metodę pracy Lanzmanna oraz zaplanowane ramy „Shoah”. Lanzmann odwiedził mnie w 1977 roku, wręczył mi materiały, dotyczące jego kwalifikacji, poprzednich filmów, pochlebnych recenzji itp. i opowiedział o swoim projekcie. Słyszałem i czytał o mnie. Jest moim obowiązkiem udzielenie mu filmowanego wywiadu. Początkowo odmówiłem. Odszedłem od moich wojennych przeżyć i przez ponad trzydzieści lat do tych wspomnień nie wracałem. W końcu zgodziłem się, prosząc o pisemne sformułowanie pytań. Chcę się przygotować. Lanzmann odmówił: nie chce przygotowanych odpowiedzi. Będzie pytał o to, co należy do filmu. Ja będę mówił to, co pamiętam. Zgodziłem się, zastrzegając jedynie, aby mnie nie wplątywał w jakieś polityczne dyskusje, oceny czy konkluzje. Odpowiedział, że bynajmniej nie leży to w jego intencjach.

Wywiad odbył się w 1978 roku u mnie w domu. Filmował dwa dni, w sumie około ośmiu godzin. Lanzmann to trudny człowiek. Namiętny. Całkowicie oddany swej pracy. Bezwzględny w indagacji i ustalaniu faktów. Parę razy załamane się nerwowo. Raz załamał się on. Żona, nie mogąc tego znieść, wyszła z domu.

Z ośmiu godzin filmowania zobaczyłem na ekranie około czterdziestu minut wywiadu, opisującego męczarnie Żydów w warszawskim getcie oraz skargi i rozpaczliwe żądania o pomoc żydowskich podziemnych przywódców, skierowane do zachodnich rządów. I czas, przeznaczony na moją relację i konstrukcja „Shoah” zmusiły Lanzmanna do pominięcia tej części wywiadu, która według mnie była najważniejsza w tej mojej żydowskiej misji z końca 1942 roku. O męczarniach Żydów mówili inni ponad siedem godzin. Wielu zrobiło to lepiej niż ja. Dla mnie centralnym punktem mojego wywiadu było to, iż przedarłem się na Zachód i poinformowałem o tragedii i żądaniach Żydów czterech członków angielskiego Gabinetu Wojennego z Edenem na czele, prezydenta Roosevelta i trzech kluczowych członków amerykańskiego rządu, delegata apostolskiego w Waszyngtonie, żydowskich przywódców w Stanach Zjednoczonych, wybitnych pisarzy i politycznych komentatorów. Przecież o tych rzeczach

nikt poza mną w filmie nie mógł mówić, a to wykazywało, jak rządy alianckie, które jedyne były zdolne przyjąć Żydom z pomocą, zostawiły Żydów ich własnemu losowi.

Włączenie tego materiału do filmu, jak również choćby ogólnych wiadomości o tych, którzy starali się Żydom pomagać, przedstawiliby zagładę Żydów we właściwszej perspektywie historycznej. Przywódcy narodów, potężne rządy albo decydowały o zagładzie, albo w tej zagładzie brały udział, albo wobec tej zagłady zachowały obojętność. Ludzie, zwykli ludzie, tysiące ludzi współczuło z Żydami lub szło im z pomocą.

Film „Shoah” poprzez swoją potęgę talentu, woli i okrutnej prawdy, ale także samoograniczenie spowodował konieczność następnego filmu, równie potężnego, równie prawdziwego — filmu, który przedstawi tę drugą rzeczywistość zagłady. Rządy, organizacje społeczne, Kościoły, ludzie talentu i serca powinni znaleźć jakąś formę wspólnego wysiłku, aby taki film wyprodukować. Nie po to, aby zaprzeczać temu, co film „Shoah” pokazał. Po to, by go uzupełnić. Przecież żydowska gehenna czasów drugiej wojny światowej ciąży nad ludzkością jak kłątwa.

Jan KARSKI
Georgetown University

TEATR 8 DNIA Z POZNANIA

Teatr 8 Dnia z Poznania, od połowy lat 70-tych walczący o prawo do życia, znalazł się obecnie na nowym, być może najtrudniejszym etapie swojej drogi. Po urzędowym, oficjalnym pozbawieniu grupy poznańskich aktorów patronatu Estrady Poznańskiej w czerwcu ub. roku, co bynajmniej nie przekreśliło istnienia zespołu, władze PRL „wymyśliły” zapewne, że najlepszym sposobem będzie rozbięcie zespołu. W czerwcu br. część grupy otrzymała paszporty i mogła wyruszyć na *tournee* zagraniczne (dotychczas wszelkie oficjalne zaproszenia indywidualne, jak też uczestnictwo w międzynarodowych festiwalach, uniemożliwiało ministerstwo Kultury i Sztuki. Pozostałym (Ewa Wójciak, Lech Raczak — kierownik zespołu, Roman Radomski, Marcin Kęszycki), konsekwentnie odmawia się paszportów, acz — co paradoksalne — trójka z nich pozostaje w związkach małżeńskich z aktorami z zespołów zachodnich. Nie pomagają interwencje w ambasadach, podejmowane przez współmałżonków w Europie Zachodniej i w Warszawie.

Przed wyjazdem na *tournee* zagraniczne Teatr 8 Dnia przygotował najnowszą swoją premierę — „Auto da fé”, opartą m.in. na „Małej Apokalipsie” Konwického, w dwu wersjach. Aktorzy wyjeżdżający (Adam Borowski, Tadeusz Janiszewski, Tomasz Stachowski, Leszek Szczaniecki) dali premierę w połowie czerwca — „krajowa” część zespołu — 28 czerwca.

„Auto da fé”, przedstawienie, które rozpoczęło życie na Zachodzie od Francji i Włoch, zdobyło następnie I-szą nagrodę na Festiwalu w Edynburgu dla zespołów off-u, First Fringe Award, i wielki aplauz publiczności oraz krytyki. Jedynymi osobami, które „zaprottestowały” przeciwko nagrodzie niezależnego jury, traktując ją jako „polityczną” — byli: konsul generalny PRL w Glasgow i przedstawicielka warszawskiego ministerstwa Kultury i Sztuki. Nie wpłynęło to, oczywiście, na zmianę werdyktu. Dalsza droga Teatru 8 Dnia, a ściślej — jego „zwolnionej” części — prowadzi przez Szwecję (Göteborg, Sztokholm) i RFN.

Książki

Z „Dzienników” 1847-1854

Okresowi 1847-1854 poświęca Kierkegaard wiele miejsca w „Dziennikach”. To lata szczególnie dlań ważne. W roku 1846 wydaje „Afsluttende uvidenskabelige efterskrift”, manifest filozofii egzystencjalnej. Po nim m.in. „Kjerlighedens gjerninger” (1847), „Sygdommen til doden” („Choroba na śmierć”, 1849) oraz „Indovelse i christendom” (1850). W latach 1848-1849 wybuchają gwałtowne rewolucje w Europie środkowej, co również porusza Kierkegaarda. Filozof egzystencji coraz częściej myśli — i pisze — o polityce.

Prezentowany tu wybór to zaledwie szkic do portretu (a właściwie autoportretu) Kierkegaarda mniej znanego, Kierkegaarda-obywatela. Chodziło mi o odtworzenie jego postawy wobec autorytetów: państwa, monarchy, duńskiego Kościoła i oficjalnych idei.

Wybór i tłumaczenia oparte zostały na: „Soren Kierkegaards Papirer”, Kopenhaga 1968-1978 (oznaczone tu literą P) oraz „Soren Kierkegaards Dagbog”, Kopenhaga 1962-1964 (litera D).

1. Państwo

Zdumiewa wiara Hegla w to, że państwo ma znaczenie moralne dla chrześcijanina, że prawdziwa cnota tylko w państwie żyje (co jak dzieciak zmałpowałem w mej dysertacji*) i że celem państwa jest uszlachetnianie ludzi. Państwo jest raczej złem niż dobrem, raczej koniecznie, w pewnej mierze korzystnym i celowym złem niż dobrem.

Państwo to ludzki egoizm w wielkim rozmiarze, stąd jest nader wątpliwe, by Platon miał rację, studiując jednocześnie i cnoty i państwo.

* Kierkegaard mówi tu o swej pracy magisterskiej „Om Begrebet Ironi med stadigt Hensyn til Socrates”, ukończonej w 1841 roku.

Państwo to ludzki egoizm o wielkim rozmachu, owszem, celowy i tak sprytnie skonstruowany, że pojedyncze egoizmy słabną tu, napotkawszy inne. Tak państwo jest tarczą przeciw egoizmowi — dzięki wyższemu egoizmowi, który włada egoizmami indywidualnymi.

Państwo to tablica liczb nieskończonych: tablica egoizmów, które egoistyczna mądrość podporządkowuje państwu, egoizmowi wyższemu. A to jest coś zupełnie innego, niż etyczne zaniechanie egoizmu. Tego państwo nie potrafi, stąd szansa poprawy jednostki jest taka sama w państwie, co w zakładzie poprawczym.

Żyjąc w państwie można zapewne lepiej zrozumieć własny egoizm na tle innych egoizmów. Lecz nie staniesz się przez to mniej egoistyczny. Gorzej: szybko uznasz oficjalnie autoryzowany egoizm za cnotę. Tak demoralizuje państwo, mieszając egoizm z mądrością.

(D 1854: 25)

2. *Poetycka odpowiedź jednostki*

Zamiast głosowania, które często wywołuje krytyki podważające jego rezultaty, proponuję, by — obok Przewodniczącego i Sekretarza — wybrać jeszcze jedną oficjalną osobistość: Gracza. Winien nim zostać — podobnie jak w przypadku prowadzącego loterię — człowiek życiowo doświadczony, który zgodzi się uczestniczyć w różnych zebraniach, uprzedzony, powiedzmy, dzień wcześniej. Jego zadaniem jest gra w orła i reszkę. Gdy tylko jakiś problem zostanie przedyskutowany, przewodniczący zebrania zwraca się do Gracza: Czy byłby Pan łaskaw zagrać teraz w orła i reszkę? Zdanie, które w ten sposób zwycięży, staje się Prawdą. Zgromadzenie rzuca się wtedy na kolana i woła: oto wola boska.

Gracz winien jednocześnie być osobą świętą, gdyż reprezentuje państwo. Jest w każdym razie bóstwem, a co najmniej postacią mitologiczną, którą czcić należy wedle wschodnich wzorów, organizując dlań doroczne festyny.

(P 1850: 463)

3.

Władza to nie król, cesarz czy generał i jego armaty, to nie biskup ani policjant. Władza to niezachwiana i świadoma decyzyja poświęcenia wszystkiego: swego życia — Sprawie. Co znaczy: tak się sprawić, by — w zgodzie ze sobą zostając — niczego nie pożądać i niczego się nie bać.

Władza: bezwzględność wobec tej nic-ości.

(P 1847: 416)

4. *Próba chrześcijaństwa*

Każcie księżom milczeć w niedzielę. Cóż pozostanie? To, co ważne: egzystencja, codzienna egzystencja, która warunkuje ich kazania. Przypatrz się tej egzystencji, a zobaczysz, czy głoszą chrześcijaństwo.

(D 1850: 21)

5.

Chrześcijaństwo jest dialektyczne.

Można to znaleźć w pouczeniu Apostoła: zacznij od powtórzenia.

(P 1850: 101)

6.

Lud to siła, która zniszczyła królów i cesarzy. Królowie i cesarze posłużyli się ludem do zniszczenia szlachty i duchowieństwa. Duchowieństwo posłużyło się ludem do zniszczenia szlachty, szlachta wykorzystała lud do zniszczenia duchowieństwa. Lud, zawsze lud. Czas już zamknąć ten bieg wypadków. Pojęcie „ludu” jest dialektyczne, co pozwala zniszczyć sam „lud”. W jaki sposób? Za pomocą Jednostki. Rozwój duchowy ludzkości jest bowiem procesem postępującej indywidualizacji. Najpierw została ludzkość rozbita w kawałki na trzy stany, teraz trzeba rozbić tę monstrualną abstrakcję „lud” na kawałki — Jednostki.

(P 1848: 551)

7. *Jednostka-tłum-wobec Boga*

Oto wielkość Sokratesa: gdy oskarżony stał przed zebraniem ludem, jego oczy nie widziały tłumu, a jedynie jednostki.

Zwycięski Duch widzi tylko jednostki. My, zwykli śmiertelnicy, posługujemy się zmysłami i miast gromadzących się ludzi widzimy abstrakcję — tłum. Wówczas i my stajemy się inni. Lecz dla Boga, Ducha nieskończonego, miliony ludzi zmarłych i żyjących nie tworzą tłumu. On widzi tylko jednostki.

(D 1850: 34)

8.

Jakież pomieszanie u Kanta! W jednej ze swych prac powiada, iż pewien król miał rzec: myślcie, co chcecie, lecz bądźcie posłuszni. Nie wiem, czemu dziwić się bardziej: czy pośrednio

ujawnionej przez filozofa pogardzie dla myślenia, tak tu bezsilnego — czy też Kanta nieznamość życia? Bo nieco wcześniej powiada on, że tylko jeden władca rzec może: myślcie, co chcecie, lecz bądźcie posłuszni. Wyobrażam sobie, że Kant mówi tu o Bogu. To piękna myśl: Bóg mógłby to zrobić, gdyż potrafi nas zmusić. Popatrzmy jednak, czy tak robi!

Odnieśmy to do ziemskiego króla: mam więc przyjąć, że myślenie i posłuszeństwo nie są zażartymi wrogami? Że tak wyróżnione myślenie i posłuszeństwo mają ze sobą cokolwiek wspólnego?!

(D 1850: 10)

9.

Źle, źle być geniuszem w kupieckiej mieścinie, powiedziałem kiedyś Christianowi VIII*. Powiedziałem tak, by zabrzmiało to jak komplement. Rzekłem bowiem: jedynym nieszczęściem Wąskiej Królewskiej Mości jest to, że Jego mądrość i wiedza są ogromne, zaś kraj — mały. To nieszczęście być geniuszem w kupieckiej mieścinie. Na co odpowiedział: za to można więcej zrobić dla ludzi. Rozmawiałem z nim wtedy po raz pierwszy. Powiedział mi wiele miłych słów i poprosił, bym go odwiedził, na co rzekłem: WKM, nie odwiedzam nikogo.

Odpowiedział: Dobrze, ale chyba nie weźmie mi Pan za złe, jeśli poślę po niego? Na co rzekłem: Jestem poddanym, WKM ma prawo rozkazywać. Ale pod jednym warunkiem.

— Jakim mianowicie?

— Że będziemy rozmawiać w cztery oczy.

Podał mi wtedy rękę i odszedłem.

W trakcie rozmowy, chyba na początku, powiedział mi, że mam tak wiele pomysłów: czy nie mógłbym oddać mu kilku? Odpowiedziałem, że pragnę być pożyteczny dla rządu, ale przede wszystkim byłem i jestem osobą prywatną (co zawsze opatrywano małostkowym komentarzem). Dodałem także: mam zaszczyt całym swym życiem służyć innej, wyższej Władzy. (...)

Następnym razem spotkałem Christiana VIII wiele miesięcy później, w Sorgenfrie. (...) Król powiedział: już dawno nie widziałem Pana u siebie. Odpowiedziałem jeszcze od drzwi: mam nadzieję, że WKM pozwoli mi się wytłumaczyć. WKM może być pewien, że wysoko stawiam Jego łaskawość i zainteresowanie, jakie mi okazuje. Będąc jednak chorym, nie mogę przychodzić zbyt często. Trudno mi bowiem wytrzymać czekanie w przedpokojach. Odpowiedział, że nie musiałem wcale czekać, w każdym

* Christian VIII (1786-1848), król duński od 1839 roku. Od chwili wstąpienia na tron coraz bardziej wrogi wobec idei liberalnych. Jego dewiza brzmiała: „Bóg i Ojczyzna”.

razie powinienem był napisać do niego. Podziękowałem. Później zaczęliśmy rozmawiać spacerując. Król był bardzo przejęty pracami rządu i polityką w ogólności. Tego dnia zaczął mówić o komunizmie, którego się wyraźnie obawiał. Wyraziłem zdanie, że ruch ten, będący dopiero w powijkach, pozostawi królów w spokoju. Będzie to walka między stanami, a strony walczące zechcą żyć dobrze z monarchą. Są to odwieczne problemy, na nowo ujawnione, król zaś, co łatwo zgadnąć, nie ma tu nic do roboty. Bo to jakby wojna domowa między piwnicą a parterem, między nimi a pierwszym piętrem, itd. — lecz Gospodarz pozostaje nietknięty. Później mówiłem, jak trzeba walczyć z tłumem: po prostu stać spokojnie. Tłum jest jak kobieta; należy unikać otwartej sprzeczki, lecz skrycie spowodować, by palnęła gaffę. Gdy straci wątek, ustąpi w następnej sekundzie. Wówczas: stój mocno na swoim. Na co odrzekł: tak, dotyczy to szczególnie królów. Nic nie odpowiedziałem. (...) Podziękował mi za książkę, którą mu podarowałem ostatnio. Czytał ją i znalazł „bardzo głęboką” lecz zbyt wzniosłą dla siebie”. Odpowiedziałem: WKM nie ma z pewnością czasu, by czytać książki, a to, co ja piszę, nie jest skierowane do Niego. WKM podejmowała niedawno przyrodników, są oni z pewnością bardziej interesujący, a ponadto zaspokajają zmysł estetyczny.

Uraziło go to nieco i powiedział: tak, tak, to też może być ciekawe. (...)

Wreszcie pożegnanie. Powiedział, że byłoby mu bardzo przyjemnie ujrzeć mnie znowu. Po czym poruszył ręką tak, jak to uczynił ostatnim razem. Powiedziano mi, że należy pocałować wyciągniętą dłoń królewską. Lecz nie potrafiłem zadośćuczynić temu zwyczajowi, udałem, że nie rozumiem o co chodzi i skłoniłem się. Jednocześnie obiecałem sobie odwiedzać go jak najrzadziej.

(D 1849: 10)

10.

Jestem sam i nie mogę liczyć na zrozumienie: młodzież jest zbyt młoda, starsi — zbyt ociężali. Tak jak w rymach nieocenionego poety, włożonych w usta dziewczyny i charakteryzujących jej zalotników: „Jeden jest za młody, by uszczknąć z mego wianka, drugi zbyt ociężały, by prosić go do tańca”.

Ale ze mną nie stanie się tak, jak z tą dziewczyną, co znalazła trzeciego. Nie, mój „trzeci” nie istnieje.

(D 1854: 17)

Soren KIERKEGAARD

(Wybór i tłumaczenie Bronisława ŚWIDERSKIEGO)

Krakowska "Arka"

Leżą przede mną trzy numery *Arki* (pierwszy, dziewiąty i dziesiąty, plus spis treści wszystkich numerów), czasopisma kulturalno-politycznego wydawanego w obiegu pozacenzuralnym. Pierwszy numer ukazał się w roku 1983. Określenie „polityczno-kulturalne” jest moje; właściwy podtytuł *Arki* brzmiał najpierw: „eseistyka, krytyka, literatura, inne formy”, skrócony później do: „eseistyka, krytyka, literatura”.

Otrzymuję dość regularnie *Dialog* i *Twórczość* z Polski, które coraz bardziej przypominają pisma przysyłane z księżycy. Gdyby nie rok i miesiąc wydania, można by przypuszczać, że są to pisma pozaczasowe: równie dobrze mogłyby się ukazywać dwadzieścia, a nawet trzydzieści lat temu. *Arka* jest pismem żywym, od pierwszego numeru pełnym treści. Trzy numery, które zostały mi udostępnione przypominają spore książki, są gęsto zadrukowane, dosłownie pękają w szwach. Pan Wojciech Sikora, przedstawiciel *Arki* w Paryżu poinformował mnie, że w roku 1983 pismo zostało wyróżnione przez Komisję Kultury „Solidarności”. Jest to wyróżnienie zasłużone, co podkreślam, bo nie wszystkie literackie nagrody Komisji wydawały się uzasadnione.

Najstańszą stroną *Arki* — choć i tu zdarzają się piękne wyjątki — jest literatura i krytyka literacka. W trzech numerach najlepsze teksty literackie — zresztą nie jest ich dużo — to wiersze Juliana Kornhausera, pomieszczone w numerze 10-tym, moim zdaniem najbardziej utalentowanego poety generacji „68”, i Tadeusza Nowaka — *Pierwszy pacierz diabelski*. Najlepszą stroną *Arki* jest jej eseistyka historyczno-polityczna. W pierwszym numerze *Ostatnie posiedzenie KK: Krótka historia „Solidarności”*, relacja z zebrania Komisji Krajowej „Solidarności” w Gdańsku, odbytego 11 grudnia 1981. W tym samym numerze znakomity artykuł Jana Lityńskiego — *Polskie Stronnictwo Ludowe — Model oporu*, historia unicestwienia PSL przez PPR w okresie od ostatnich lat wojny do wyborów w roku 1947 pod pamiętnym hasłem: „Trzy razy tak, Polaka znak”. Wielka karta — i tragiczna — z okresu wojny domowej w Polsce, o sporych analogiach do sytuacji dzisiejszej.

Znaleźć można w *Arce* wiele (trochę może za wiele) przedruków z prasy zachodniej i emigracyjnej, a także omówienia zawartości najlepszych zachodnich czasopism i krajowych pism wychodzących poza cenzurą. Sporo — na wzór czasopism emigracyjnych (*Kultury*, *Zeszytów Literackich* i *Pulsu*) — tekstów pisarzy z innych krajów Europy Wschodniej. Numer 8-my *Arki*

w całości poświęcony był Orwellowi, z dużą ilością jego własnych tekstów.

Dominującym tonem w *Arce* jest dyskusja nad Polską: nad jej stanem dzisiejszym, przeszłością i perspektywami. I to jest celem pisma: dyskusja i wypracowywanie modelu myślenia politycznego. Notka, iż pismo zamieszcza także publikacje osób, z których poglądami redakcja się nie zgadza, nie jest czczym frazesem. *Arka* jest rzeczywiście wolną, dyskusyjną trybuną.

Podobnie jak *Puls* i *Kultura*, tak i *Arka* dorobiła się już swoich laureatów. Za rok 1984 zostali nimi Józef Mackiewicz (jest to jedyne ze znanych mi pism, które poświęciło twórczości tego pisarza wnikliwy artykuł jeszcze przed jego śmiercią) i Jarosław Marek Rymkiewicz za tom wierszy *Ulica Mandelsztama* i powieść *Rozmowy polskie latem 1983*.

Największe wrażenie zrobiła na mnie dyskusja na temat nacjonalizmu w numerze 10-tym: blok artykułów otwarty esejem Isaiaha Berlina pt. *Nacjonalizm*, po nim artykuł Jana Prokopa *Zdziechowski, nacjonalizm, antysemityzm* (niestety pomijający katastrofizm historyczny Zdziechowskiego, o którym pisał Miłosz w *Prywatnych obowiązkach*). Następnie niezwykle interesująca ankieta na temat nacjonalizmu, w której kilka osób odpowiada na cztery niezbyt łatwo sformułowane pytania, skierowane „do intelektualistów różnych zawodów, pokoleń i orientacji ideowych”. W odpowiedziach zaskakuje obiektywizm podejścia: naukowy, mało emocjonalny ton. Respondenci analizują nacjonalizm (pojęty szerzej niż ksenofobie narodowe, zaściankowy patriotyzm wypływający z lęków, przesądów, nienawiści, organicznej niechęci do obcości) od strony historycznej (jako fenomen XX wieku) i w perspektywie jego szans i racji bytu w dzisiejszej Polsce. Inaczej mówiąc — dotyczy to także eseju Berlina — jest to analiza siły, nie słabości nacjonalizmu. Po ankiecie przedruk rozdziału pt. *Zydzi* z książki brytyjskiego historyka Normana Daviesa — *God's Playground. A History of Poland*. I na zakończenie krytyczna ocena książki (w szczególności zacytowanego rozdziału) pióra Marka Leskiego. Leski twierdzi, że Anglik nie ma racji, traktując polski antysemityzm jako zjawisko „naturalne”, oceniając je na równi z animozjami do innych mniejszości narodowych. Dodatkowo autor polemiki jest jedynym jak dotąd publicystą, który powołuje się na bezpardonowy referat Rafała Scharfa (drukowany w *Pulsie* nr 2), wygłoszony na konferencji w Oksfordzie na temat stosunków polsko-żydowskich.

Arka powstała w momencie, kiedy zlikwidowane zostało krakowskie *Pismo*. I nie jest — czego mi trochę żal — jego kontynuacją. Literatura i krytyka literacka były w *Piśmie* na znacznie wyższym poziomie. Refleksja polityczna na równie wysokim poziomie i mało licząca się z cenzurą. Nie jest także kontynuacją *Pisma* miesięcznik o nazwie *Pismo literacko-artystyczne*, które przejęło lokal i tytuł (dla przyzwoitości odrobinię go rozszerzając), ale któremu nie udało się przejąć ani poziomu zaszlachetowanego przez cenzurę poprzednika, ani żadnego z członków

redakcji. Z wyjątkowym brakiem taktu zamieszcza się tam notorycznie notkę następującej treści: „Uwaga! Numery *Pisma i Pisma literacko-artystycznego* z 1983 roku do nabycia w redakcji”. Jest to zwyczajne przywłaszczanie sobie cudzej własności. Podszycanie się. Ale za to któż tam nie pisze! Otóż nie piszą tam ci wszyscy, którzy pisali w *Piśmie*, to znaczy najlepsi krakowscy prozaicy, poeci, krytycy literaccy, felietoniści. Ci znaleźli sobie inną trybunę: prezentują się w *mówionym* miesięczniku literackim *Na Głos*, założonym w roku 1983 przy lokalu Klubu Inteligencji Katolickiej. W nowym *Piśmie* (literacko-artystycznym) roi się od wielkich i mniejszych nazwisk: Gramsci, Croce, Borges, Vogler, Eco, Bloch, Bondy, Sontag, Moravia, Menuchin, Machejek! *Eine gemischte, aber nette Gesellschaft*. Wszystkie te nazwiska nie są jednak w stanie sprawić cudu, który udał się *Arce* (a wcześniej *Pismu*): zapewnić pisma treścią, która kogokolwiek w kraju by interesowała. Ale jak powiedział pewien pisarz: „Każdemu to, na czym mu mniej zależy”.

Janina KATZ HEWETSON

Nadesłane nowości wydawnicze

PODLASKI (Kazimierz). *Białorusini, Litwini, Ukraińcy*. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Puls Publications w serii „Puls politicus”, Londyn 1985).

Biesiada krzemieniecka, zeszyt 2: *Juliusz Słowacki — największy Krzemienianin*. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Komitet Biesiady Krzemienieckiej, Londyn 1985).

NALEPA (Tadeusz). *Legiony Rzymskie na ziemiach Polski i Litwy*. Str. 48. (Wyd. Fundacja Sztandarów PSZ, Przegląd Kawalerii i Broni Pancernej, Londyn 1985).

Sprawozdanie z działalności Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. Sikorskiego od 1 kwietnia 1983 do 31 grudnia 1984. Str. 30 (Wyd. jak wyżej, Londyn 1985).

Biuletyn Informacyjny Koła AK nr 60, Londyn, sierpień 1985. Str. 165: *Złot AK, 1984*, Londyn. (Wyd. Zarząd Główny Koła b. Żołnierzy AK, Londyn 1985).

KARACZKO (Łucjan). *Krótki zarys tragicznych dziejów polsko-ukraińskich*. Str. 51-84. (Odpis

pisma przesłanego do Sejmu i Rady Państwa PRL w 1978 roku, a potem do Jana Pawła II; odbitka powielona przez W. Fedortjuka, Szwecja).

GAUZA (Władysław). *Organizacja i propaganda. (Rzecz o programie działania)*. Str. 54 i 2 nlb. (Wyd. Ośrodek Niezależnej Myśli Politycznej, Oslo 1984).

JAN PAWEŁ II. *Nauczanie papieskie III, 1 1980 (styczeń-czerwiec)*. Przyg. do druku ks. E. Weron i ks. A. Jaroch. Str. 875 i 1 nlb. (Wyd. Pallotinum, Poznań-Warszawa 1985).

GOLUBIEW (Antoni). *Szaja Ajzenstok. Trzy świeczniki siedmiomienne*. Str. 277 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 350).

BACZYŃSKI (Krzysztof Kamil). *Wystawa. Katalog wystawy poświęconej K. K. Baczyńskiemu w Muzeum Literatury w Warszawie, 1984; str. nlb., wiersze i fotografie*.

Sens choroby. Sens śmierci. Sens życia. Opr. i wstęp H. Bortnowska. Ssr. 495 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1985, cena zł 320).

FRELEK (Ryszard). *Śmierć Adama Zawiszy. Twarzą w twarz w Casercie*. Str. 156 i 4 nlb. (Wyd. PIW, Warszawa 1985, cena zł 130).

MOSTWIN (Danuta). *Cień księdza Piotra*. (Wyd. PAX, cena zł 380).

MOSTWIN (Danuta). *Trzecia wartość. Formowanie się nowej tożsamości polskiego emigranta w Ameryce*. Str. 132 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Lublin 1985, cena zł 300).

KULESZA (Władysław T.). *Koncepcje ideowo-polityczne obozu rządzącego w Polsce w latach 1926-1935*. Str. 310 i 2 nlb. (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków - Gdańsk - Łódź, 1985, cena zł 300).

BESANÇON (Alain). *La falsification du Bien. Soloviev et Orwell*. Str. 222 i 2 nlb. (Wyd. Julliard, Paryż 1985, cena F. 70).

BORDET (Gaston). *La Pologne, Lamennais et ses amis 1830-1834*. Str. 130 i 6 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue przy udziale CNRS, Paryż 1985).

Les contacts religieux franco-polonais du Moyen Age à nos jours. Relations, influences, images d'un pays vu par l'autre. (Colloque international organisé par le CNRS, GRECO nr 2 Histoire religieuse moderne et contemporaine et le Centre Interdisciplinaire d'Etudes des Religions de l'Université de Lille III, Lille 5-7 octobre 1981). Str. 646 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue przy udziale CNRS, Paryż 1985).

KOSTA (Jiří), LEVCIK (Friedrich). *La crise économique dans les pays du C.A.E.M. d'Europe de l'Est*. Str. 58 i 2 nlb. (Wyd. w serii „Projet de recherche Les crises des systèmes de type soviétique”, studium nr 8).

L'évolution récente de la République démocratique allemande. (Textes

du colloque organisé par le Bureau International de Liaison et de Documentation, Paris 29 janvier 1985). Str. 79 i 1 nlb. (W: „Documents — revue des questions allemandes”, supplément au nr 3/85, wyd. Bureau International de Liaison et de Documentation, Paryż 1985).

MAREK (Edmond). *Pluralisme culturel. Immigration réfractaire et Pologne de France*. Str. 44 i 2 nlb. (Wyd. Club Culturel Franco-Polonais „Polonia”, Lille 1985).

Granta nr 11. Str. 252 i 4 nlb. (Wyd. Granta Publications, distr. Penguin Books, cena pojed. nru £ 3.95).

Granta nr 14, winter 1984. Str. 256. (Wyd. Granta Publications, distr. Penguin Books, cena pojed. nru £ 3.50, roczna £ 12,00).

LAUB (Gabriel). *Entdeckungen in der Badewanne. Neue Satiren*. Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. Albrecht Knaus Verlag, Monachium-Hamburg 1985, cena DM 19,80).

Meinung nr 6-7. Str. 96. (Wyd. Gesellschaft „Solidarność”, Berlin Zachodni 1985, cena pojed. zeszytu DM 5, pren. roczna DM 25).

MIŁOŚ (Česlav). *Himna o perli*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. Narodna Knjiga, Belgrad 1985).

DADUNAITE (Nijole). *En medio del infierno siberiano*. Str. 68. (Wyd. nie podane).

MARUNCZAK (Mychajło G.). *Nacija w borot'bi za swoje isnuwanja 1932 i 1933 w Ukraini i diaspori*. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Ukrajinska Wilna Akademia Nauk w Kanadzie, Winnipeg 1985).

LUBOMIRSKYJ (Stepan). *Slidamy zapowitu. Politycznyj roman-wizja. Tom 1: Pochowajta te ustawajta!* Str. 371 i 1 nlb. (Wyd. Ukrainian Publishers, Londyn-Toronto 1985).

SZAŁAMOW (Wałam). *Woskreszczenie listwiennicy*. Str. 320 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1985).

SWIETOW (Feliks). *Opyt biografii*. Str. 437 i 3 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1985).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

22-8-85

W stocznicach Szczecina, Gdańska i Gdyni ma być w bież. roku zwodowanych 57 statków, z czego 43 statki zostaną dostarczone armatorom sowieckim. „Centromor” podpisał z ZSSR umowy na budowę 124 statków wartości 1,1 mld rubli. Statki te mają być dostarczone do 1990 roku. Armatorzy zachodni odbiorą do końca bież. roku w najlepszym wypadku 10 statków, natomiast armatorzy polscy dostaną w sumie najwyżej 5.

7-9-85

Do Częstochowy przybyła czwarta ogólnopolska pielgrzymka wiernych obrządku grekokatolickiego — 5 tys. osób.

11-9-85

Zmarł w Olsztynie w wieku 73 lat Henryk Panas, literat, publicysta i pedagog. Był żołnierzem Drugiego Korpusu i brał udział w bitwie o Monte Cassino.

15-9-85

Nowym ministrem Spraw Wewnętrznych Łotwy został mianowany Władimir Jegorow, który od 1981 roku był I wiceministrem Spraw Wewnętrznych Białorusi. ■ Turystyka PRL w ZSSR: w bież. roku wyjechało do ZSSR 25 tys. turystów z Polski, w 1986 roku ma wyjechać 40 tys., a w 1990 — 100 tys.

23-9-85

Jak nabyć czterotomową Encyklopedię Powszechną? Trzeba po pierwsze założyć imienną książeczkę docelowego skupu surowców wtórnych; po drugie — zgromadzić i dostarczyć do punktu skupu po 200 kg makulatury na każdy z tomów — łącznie 800 kg; po trzecie — wpłacić gotówką zł 9.700 za tom I i IV; po czwarte — dostarczyć pierwsze 200 kg makulatury do końca października br.

30-9-85

Zmarł w Łodzi w wieku 91 lat Konstanty Mackiewicz, wybitny artysta malarz.

13-10-85

Zmarł w Zakopanem w wieku 91 lat generał Mieczysław Boruta-Spiechowicz. ■ Czołowy węgierski miesięcznik literacki *Kortars* (Budapeszt) w nrze 10/1985 wydrukował fragment „Rodzinnej Europy” Miłosza. Jest to rozdział o Wilnie. Przełożył na węgierski i wstępem poprzedził Csaba Gy. Kiss.

ZACHÓD — EMIGRACJA

30-8-85

Zmarła w Lailly-en-Val w wieku 82 lat Irena ze Szmakfeferów Władysława Wolska.

30-9-85

Zapadł wyrok Sądu Apelacyjnego w Paryżu potwierdzający orzeczenie Trybunału paryskiego z dnia 15 listopada 1984 roku, odrzucające żądanie

p. Jadwigi Sosnkowskiej i jej syna Petera, aby Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu wyraziło zgodę na przewiezienie prochów Generała Sosnkowskiego z grobu THL do Warszawy. P. Sosnkowska wraz z synem została obciążona kosztami tego procesu.

1-10-85

Witold Lutosławski został laureatem tegorocznej międzynarodowej nagrody UNESCO za całokształt twórczości muzycznej.

8-10-85

W Brukseli odbył się wernisaz wystawy Jana Lebensteina „Malarstwo 1956-1976”.

11-10-85

Na stoisku wydawnictw PRL na Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie eksponowano przede wszystkim zbiór przemówień generała Jaruzelskiego, wydany w Wielkiej Brytanii nakładem Pergamon Press. Prezentowano również książkę Mieczysława Rakowskiego „Trudny dialog”, wydaną przez Egon-Verlag. Z wystawionych wydawnictw, wyglądających dość mizernie, rzucały się w oczy dwa ilustrowane wydania „Pana Tadeusza” Mickiewicza: jedno wydane w Moskwie, a drugie w Jugosławii.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Strategiczna Inicjatywa Obronna — czyli badania i próby z satelitami mogącymi niszczyć jednym ładunkiem laserowym rakiety nuklearne — znalazła się ostatnio w stanie politycznego zagrożenia. Biuro Kongresu do spraw technologicznych wystąpiło z kontrpropozycją, twierdząc, że Stany Zjednoczone są w stanie zbudować konwencjonalny system obrony nie w przestrzeni kosmicznej, ale na ziemi. Innymi słowy, idea, by broń nuklearną uczynić nieużyteczną dla obydwu stron i tym sposobem zadać cios sowieckiemu szantażowi nuklearnemu znalazła przeciwników w komitecie do spraw zbrojeń Izby Reprezentantów. Twierdzą oni, że budowa satelitów niszczących rakiety sowieckie zmniejszy wydolność Ameryki w zakresie konstruowania pocisków międzykontynentalnych. Jest to argument obłudny i nielogiczny, ponieważ celem „wojny gwiazdnej” (*Kultura* nr 9/456) jest wyeliminowanie broni nuklearnej w ogóle. U źródeł kontrofensywy przeciwko strategicznej inicjatywie obronnej Stanów tkwi po prostu obawa, że Sowiety, przerażone perspektywą całkowitego unieszkodliwienia ich potęgi nuklearnej, mogą uderzyć już teraz albo w najbliższej przyszłości, nie czekając na zakończenie amerykańskiego programu budowy satelitów przesyłających ładunki laserowe. Obawa ta świadczy o niezrozumieniu celów polityki sowieckiej i o przerażającej tępcie ludzi, którzy reprezentują Amerykę w ciałach ustawodawczych. Nie mogą oni pojąć, że celem Sowieców nie jest zniszczenie Zachodu, ale opanowanie go przy minimalnych stratach zadanych jego potencjałowi przemysłowemu. Nie pojmują, że szantaż sowiecki jest następstwem tego, iż przywódcy sowieccy uświadomili sobie niewydolność produkcyjną systemu komunistycznego. To, że konflikt Wschód-Zachód jest bezprecedensowy w dziejach, wykracza poza wyobraźnię Amerykanów. Są oni niewolnikami tradycyjnej koncepcji wojny, kiedy to jedna strona starała się pokonać przeciwnika w konfrontacji zbrojnej, nie dbając o poniesione przez niego straty; kiedy zaś to się nie udawało, — gotowa była zniszczyć go wszelkimi środkami, jakie miała w dyspozycji. Czynił tak Hitler w pierwszej fazie swoich zwycięstw, później Alianci w stosunku do Niemiec nazistowskich i Japonii. Takie wojny istnieją nadal, ale konflikt między kapitalistycznym Zachodem i Japonią, a sowiecką strefą świata uczyniłby taką wojnę absurdalną.

29 września Sekretarz Stanu, George Shultz, i prezydent Reagan zajęli bezkompromisowe stanowisko, stwierdzając, że budowa obronnych satelitów w kosmosie nie może być przedmiotem przetargu w rozmowach rozbrojenowych, które rozpoczną się w listopadzie w Genewie. Ale Sowiety szybko podchwyciły i rozszyfrowały nastroje w Kongresie i zrozumiały, że jest szansa na storpedowanie inicjatywy amerykańskiej. Dlatego też wystąpiły niezwłocznie z „rewelacyjną” propozycją zredukowania o 50 % rakiet międzykontynentalnych z tym, że redukcja 50 % pocisków amerykańskich objąć ma również rakiety średniego zasięgu, czyli 90 Pershingów II zainstalowanych w Niemczech. Przepuszczam, że Sowiety poszłyby na dalsze koncesje, gdyby mogły uzyskać realną szansę wycofania się Ameryki z tzw. wojny gwiazdnej. Sama propozycja zredukowania arsenału nuklearnego o 50 % niczego w obecnej, niepomyślnej dla Zachodu sytuacji nie zmieni. Wszelako magia cyfr — 50 % zrobiła swoje. Prasa amerykańska podchwyciła propozycję sowiecką, uznając ją za konstruktywną i związaną z nową, odmłodzoną ekipą na Kremlu. Zapomina się, że gdyby propozycje sowieckie — przy obecnej ich przewadze — sugerowały redukcję o 75 %, i tak niewiele by się zmieniło, ponieważ pozostałe w ich posiadaniu 25 % w przeliczeniu na megatony wystarczą całkowicie do wielokrotnego zniszczenia kilkuset amerykańskich wielkich miast, a przy ich zwiększonej celności — do obezwładnienia arsenałów amerykańskich, czyli pozbawienia Stanów możliwości drugiego uderzenia. Jak dotychczas żaden z periodyków amerykańskich, reprezentujących skrzydło neo-liberalne, nie zwrócił uwagi czytelników i widzów na niesłychane zaniepokojenie Sowieców tą sprawą i ich gotowość do daleko idących koncesji.

W chwili kiedy pisałem te słowa amerykański Sekretarz Obrony Weinberger zarzucił amerykańskim przeciwnikom „wojny gwiazdnej”, że domagają się, aby Ameryka porzuciła inicjatywę obronną w kosmosie, którą Sowiety prowadzą od szeregu lat. Jednocześnie Weinberger ujawnił, że 27 września dokonano nowego eksperymentu, wystrzeliwując ładunek laserowy z bazy naziemnej i badając jednocześnie wpływ atmosfery na tor jego lotu. Doświadczenia płynące z tego eksperymentu są ważniejsze od poprzednich. Głos Weinbergera jest w tej chwili głosem prezydenta. Wydaje się więc, że o ile nie zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności. Sowiety nie będą w stanie wymusić na Stanach rezygnacji ze strategicznej inicjatywy obronnej w kosmosie.

Wizyta kardynała Glempa w USA trwała od 18 do 25 września. Kardynał przybył na zaproszenie Episkopatu amerykańskiego, którego przewodniczącym jest bp Malone, powszechnie znany jako jeden z duchownych katolickich najbardziej zaangażowanych w ubiegłym roku w sprawę zamrożenia broni nuklearnych. Już na samym początku pobytu w Stanach kardynał Glemp zaznaczył, że jego wizyta jest wyłącznie duszpasterska: przebywał dwa dni w Waszyngtonie, odwiedził Orchard Lake, Filadelfię i Detroit. Na uniwersytecie katolickim Villanova w Filadelfii wręczono kardynałowi Glemptowi dyplom doktora *honoris causa* za „łagodzenie napięć między surowym rządem a opozycyjnym społeczeństwem”.

Podajemy kilka zdjętych z taśmy wypowiedzi Prymasa na konferencji prasowej w Detroit 20 września 1985:

Dzisiaj jesteśmy w takim stanie, że mamy nadzieję, że w najbliższych tygodniach te rozmowy zostaną pozytywnie ukończone. Otóż ostateczne załatwienie sprawy Fundacji Rolniczej,

to jest podpisanie przyjęcia, podpisanie statutu i utworzenie formalnej Fundacji, czyli instytucji, która by rozpoczęła swoją aktywność.

Słyszałem, ale to tylko mogą mówić, że słyszałem o tym, że Instytucja Rockefellera ma także podjąć inicjatywę pomocy rolniczej. Mnie się wydaje, że jedno — Fundacja Rolnicza od strony Kościoła i Fundacja Rockefellera wzajemnie sobie nie przeszkadzają, a się uzupełniają.

Niewątpliwie, że jest kilku księży w Polsce, którzy wolą mówić kazania polityczne od komentarza do Ewangelii. Gdy chodzi o przeniesienie — to jest tylko jeden wypadek w Polsce, i to ja ten wypadek zrobiłem, przesunięcia księdza na inne miejsce, uważając, że to dla jego bezpieczeństwa jest dobre [ks. Nowak, Ursus. (Redakcja)]. Ten ksiądz się teraz ze mną spotyka, nie ma dla mnie żadnej urazy, widuję się z nim dosyć często i pracuje tak jak wszyscy inni księża. Jest jeszcze inny wypadek, gdzie ksiądz, który nie jest i nie może być ani wikariuszem, ani proboszczem ze względu na swoją słabość zdrowotną [ks. Małkowski. (Redakcja)].

Ruch „Solidarności”, który powstał jako ruch związków zawodowych, syndykalny, w dzisiejszym stanie nie może wykonywać swoich zadań syndykalnych. Część z tego ruchu weszła do podziemia, to znaczy do ruchu utajonego. Za ruch ten najbardziej jest odpowiedzialny i kompetentny pan Wałęsa i on wypowiada się, udziela wywiadów i myślę, że on jest najbardziej kompetentny żeby mógł tę sprawę wyjaśnić. Gdy chodzi o śmierć, zabójstwo, morderstwo dokonane na księdzu Popiełuszcze, przebieg procesu był, jest znany powszechnie, bo żeśmy dokładnie prowadzili z tego sprawozdanie. Nie mamy jednak żadnych elementów do tego, żeby dalej jeszcze kogoś oskarżać, chociaż wydaje się, że nie jest wszystko do końca jasne.

(Jeśli idzie o sankcje, to w chwili obecnej pozostają w mocy — odmowa przyznania Polsce kredytów rządowych i odmowa udzielenia PRL klauzuli najwyższego uprzywilejowania. Jak wiadomo Prymas Polski jest przeciwnikiem sankcji i powtórzył znane z wcześniejszych wypowiedzi stanowisko).

(Normalizacja stosunków Kościół-Państwo):

No nie widzimy tutaj żadnego pośpiechu. Te prace są w ja-

kimś stopniu przygotowane, ale ani strona watykańska, ani strona rządowa, a przecież jest także episkopat, nie spieszymy się z tym, a chcemy tę sprawę załatwić dobrze, to znaczy gdy także i relacja Kościół-Państwo w Polsce, ustabilizuje się możliwie lepiej.

Mamy dość dużo Polaków żyjących w Związku Radzieckim. Oni są w trudnych przecież warunkach, zwłaszcza gdy chodzi o praktyki religijne. Mam dosyć dobre rozeznanie ich sytuacji i staram się pomóc jak mogę, bo i Kościół polski pomaga jak może, ale te rzeczy nie są do publikacji.

(Prymas stwierdził także, że jeżeli chodzi o ewentualną beatyfikację księdza Popiełuszki, to proces ten będzie długi i skomplikowany. Przede wszystkim z powodu wątpliwości co do zachowania się księdza Popiełuszki w ostatnich chwilach przed śmiercią. Po prostu — powiedział Prymas — nie ma wiarygodnych, stuprocentowych informacji na ten temat).

W czasie konferencji w Waszyngtonie Kardynał oświadczył, że sankcje amerykańskie godzą bezpośrednio w naród i pogarszają i tak już ciężkie warunki bytowania. „Chciałbym przypomnieć — dodał ks. Prymas Glomp — że naród polski z woli trzech mocarstw znajduje się w bloku państw socjalistycznych”. To oświadczenie Kardynała zawiera gorzką prawdę i dobrze się stało, że zdobył się na takie słowa.

Oficjalnym powodem przyjazdu generała Jaruzelskiego do Nowego Jorku było wygłoszenie przez niego przemówienia na otwarciu uroczystej rocznicowej sesji ONZ; nieoficjalnym — chęć zdobycia pieniędzy. Generał — zanim wygłosił przemówienie w ONZ — odbył szereg wizyt w poszukiwaniu wsparcia finansowego. Zaczął od wizyty w Rockefeller Center w tzw. tęczowej sali konferencyjnej, w której spotkał Davida Rockefellera. Długi PRL wobec banków amerykańskich są niewielkie — nie przekraczają 3 miliardów dolarów (włącznie z procentami), zaś Chase Manhattan Bank — bank rodziny Rockefellerów — podobno od dawna badał możliwości stracenia pewnej sumy dolarów w PRL. Propozycja generalska ograniczyła się do prośby o 300 milionów dolarów. W tęczowej sali poza Davidem Rockefellerem generał spotkał Zbigniewa Brzezińskiego i Lawrence E. Eaglburgera, dawnego urzędnika Departamentu Stanu. Poza Rockefeller Center Jaruzelski spotkał się z Edgarem Bronfmanem, przewodniczącym światowego Kongresu Żydów i głównym udziałowcem wielkiej amerykańskiej firmy produkującej whisky „Seagram”. Poza oficjalnymi spotkaniami w ONZ z sekretarzem generalnym, kilkoma premierami i głowami państw generał szukał kontaktu z państwami ciężko zadłużonymi wobec Zachodu, aby stworzyć wspólny blok. To mu się nie udało. Generał wydał ponadto dwa przyjęcia w lokalu misji PRL w ONZ: pierwsze dla przyjaznych osobistości amerykańskich, do których między innymi należy wybitna komentatorka telewizyjna Barbara Wal-

ters, która kiedyś zrobiła z generałem wywiad i — jak powiedziała — jest generałem Jaruzelskim oczarowana; drugie — dla rozmaitych osobistości polonijnych, jak np. właściciele biur podróży, osoby prowadzące handel z PRL — słowem dla ludzi żyjących z Polski Ludowej (wśród nich był znany b. milioner polonijny, p. Piszek, który zakupywał w PRL ryby).

Sądzę, że do najmniej przyjemnych dla generała spotkań należy zaliczyć wizytę w Council of Foreign Relations (Rada Spraw Zagranicznych) — instytucji, która w opinii wielu uchodzi za substytut Departamentu Stanu Partii Demokratycznej. Spotkanie to było przykre nie tylko dlatego, że generał pojawił się tam jako petent, ale także dlatego, że Zygmunt Nagórski zadał mu tam niezbyt przyjemne pytanie, a mianowicie dlaczego generał wprowadził w Polsce stan wojenny. Gen. Jaruzelski w odpowiedzi wygłosił bardzo długie przemówienie typu mowa-trawa. Nagórski przyrównał je do „filibustera” tj. do wielogodzinnego przemówienia w Senacie USA na dowolny temat (może to być czytanie encyklopedii, Biblii i w ogóle czegokolwiek). Stосуje się je wtedy, gdy jakiś senator chce zablokować uchwalenie jakiejś niesympatycznej dla niego ustawy — a głosu takiemu panu odebrać nie wolno. Generał mówił więc i mówił, ale odpowiedzi na pytanie Nagórskiego nie udzielił.

Przemówienie generała Jaruzelskiego w ONZ sprowadziło się do tego: jeśli nie dacie nam pieniędzy — w Polsce zapanuje chaos i anarchia. „Chaos i anarchia” to eufemiczne określenie rewolty społeczeństwa. Były już takie momenty jak Poznań 1956 roku i Wybrzeże 1970, kiedy to granica ludzkiej cierpliwości została przekroczona i nastąpiły niekontrolowane eksplozje. Generał Wojciech Jaruzelski posłużył się w Nowym Jorku szantażem, gdyż tylko w ten sposób mógł trafić do zachodnich bankierów, których los Polski nie obchodzi, a jako ludzie przytomni nie mogą myśleć o jakichś sensownych inwestycjach w PRL. Ze względu jednak na geostrategiczne położenie Polski rzeczywistość mogą się przestraszyć skutków takiej eksplozji, zwłaszcza że baza społeczna skłonnej do kompromisu części ludności PRL kurczy się coraz bardziej. Wie o tym Jaruzelski i jego najbliżsi współpracownicy i dlatego generał musiał wystąpić z takim postaniem w ONZ. Wszystko po to, aby odwlec katastrofę systemu.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 4 października 1985

KRONIKA KANADYJSKA

Wydziały slawistyczne uniwersytetów w Toronto i British Columbia w Vancouverze prowadzą pełne studia polonistyczne, natomiast język polski znajduje się w programach następujących wyższych uczelni: McMaster (Hamilton), York University (Toronto), Waterloo, Western Ontario (London), University of Manitoba (Winnipeg), University of Alberta (Edmonton). W Ottawie po przejściu na emeryturę prof. Folejewskiego i śmierci prof. Krukowskiego polonistyka została praktycznie zlikwidowana. Przez rok prowadziła wykłady dr Bielik, ale uniwersytet nie odnowił z nią kontraktu. Dnia 3 października br. odbyła się na wydziale historii uniwersytetu w Toronto obrona pracy studenta prof. Peter Brocka, Jerzego Urbaniaka, pt. „White Eagle and White Knight — Polish-Lithuanian Dispute 1918-1920”. J. Urbaniak jest ostatnim doktorem prof. Brocka, który w bież. roku akademickim przeszedł na emeryturę. W związku z tym w tegorocznych programach historii zabrakło wykładów o Polsce. Prof. Brock studiował m.in. na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie uzyskał magisterium. Jest on autorem licznych prac z dziejów Polski, opublikowanych zarówno w Anglii, jak w Polsce. Oto niektóre tytuły: „W zaraniu ruchu ludowego”,

„Z dziejów Wielkiej Emigracji w Anglii”, „Geneza Ludu Polskiego w Anglii”, „Nationalism and Populism in Partitioned Poland”. ■ Dr Edward Możejko, profesor literatury porównawczej z University of Alberta, otrzymał na bież. rok akademicki *McCalla professorship*, zaszczytne wyróżnienie tej uczelni, przyznawane każdego roku kilku profesorom za wybitne osiągnięcia naukowe. Wyróżnienie to zwalnia prof. Możejko na przeciąg roku akademickiego z wykładów i obowiązków administracyjnych, pozwalając mu poświęcić się wyłącznie pracy naukowej. Prof. Możejko został wybrany na stanowisko kierownika Instytutu Literatur Porównawczych University of Alberta. Kandydacja jego rozpoznie się w następnym roku akademickim.

B. H.

KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

„Zmiana warty” wśród 150-tysięcznej australijskiej Polonii odbywa się powoli, ale jest już widoczna. W wielu nowowybranych zarządach organizacji polonijnych widzimy nowe i młode twarze. W Związku Polaków w Hobart, liczącym ponad 500 członków, połowę obecnego zarządu stanowią młodzi. W zarządach Spółdzielni Domu Polskiego im. T. Kościuszki w Melbourne (około tysiąca udziałowców) i Polskiej Kasie Kredytowej w Hobart (ponad 600 członków) młodzi już przeważają. Przedstawiciele młodych, zarówno z najnowszej emigracji jak i urodzonych w Australii, są już w prezydiach Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii oraz stanowych federacji i związków (w Wiktorii, Południowej Australii, Zachodniej Australii, Nowej Południowej Walii). Udział młodego pokolenia w działalności polonijnej jest najbardziej widoczny w stolicy Australii Canberra (przeważa najnowsza emigracja) oraz w stolicy Tasmanii Hobart (przeważają osoby urodzone w Australii); najmniej widoczne jest zaangażowanie młodych w stolicy stanu Queensland, Brisbane. ■ Powstał już Polski Komitet Przygotowawczy do tej wizyty, za przewodniczącym ks. Stanisławem Wroną, rektorem Polskiej Misji Katolickiej w Australii i Nowej Zelandii. Spotkanie Jana Pawła II z australijską Polonią ma nastąpić w Melbourne. ■ W sierpniu br. ukazało się w Melbourne nowe polskie pismo, miesięcznik pod tytułem *Suwerenność*, w podtytule: religia — polityka — społeczeństwo. Wydają i redagują go ludzie z najnowszej solidarnościowej emigracji. W słowie od redakcji: „*Suwerenność* zawierać będzie głosy katolików świeckich oraz wypowiedzi ukazujące obraz opozycji w Polsce jednoczący w sobie różne stanowiska, począwszy od 'lewicy laickiej' aż po wyraźne niepodległościowe. Pismo nasze będzie też forum dla dyskusji spraw życia polonijnego, do czego gorąco wszystkich zapraszamy”. ■ Stanisław Gotowicz, dyrektor Centralnego Domu Polskiego w Adelaide, zwrócił się z apelem do światowej Polonii w sprawie realizacji filmu o Katyniu. Posiada on już szkic scenariusza filmowego, „The Katyn Project”, którego autorem jest Australijczyk. Projekt ten spotkał się z zainteresowaniem. Adres inicjatora projektu filmu: Stanisław Gotowicz, Dom Polski Centre, 232 Angus Street, Adelaide, S.A. 5000, Australia. ■ Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii i Zarząd Krajowy SPK zaprosiły dr Wandę Piłsudską do odwiedzenia w listopadzie br. polonijnych ośrodków w Australii. ■ W związku z przypadającą na rok 1985 czterdziestą rocznicą Jałty odbyły się we wszystkich większych ośrodkach polonijnych w Australii manifestacje pod hasłem unieważnienia narzuconego układu jałtańskiego. Największa manifestacja przeciw Jaltcie miała miejsce w Adelaide z inicjatywą Federacji Polskich Organizacji w Południowej Australii. Zorganizowana została przez „Renounce Yalta Committee”, w którego składzie są przedstawiciele 10 grup narodowościowych ze Wschodniej Europy. W pochodzie z kościoła św. Patryka (gdzie odprawione zostało okolicznościowe nabożeństwo ekumeniczne) do Central-

nego Domu Polskiego, gdzie odbył się protestacyjny wiec, wzięło udział dwadzieścia początków sztandarowych i około dwóch tysięcy osób. W wiecu uczestniczył federalny minister imigracji i spraw etnicznych Chris Hurford. ■ W Hobart zmarł Piotr Połacik, uczestnik walk pod Tobrukami i kampanii włoskiej, jeden z najwybitniejszych działaczy australijskiej Polonii. W dużej mierze przyczynił się do tego, że tasmańska Polonia stała się najlepiej zorganizowanym polonijnym ośrodkiem w Australii. ■ Od 15 lat istnieje w Sydney Koło Akademików Polskich w Nowej Południowej Walii, które zajmuje się działalnością kulturalną, odczytową i towarzyską, podobnie jak Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne w Melbourne (o którym pisaliśmy w poprzednich kronikach). W ostatnich dwóch latach Koło Akademików Polskich urządziło wiele wieczorów poetyckich, poświęconych m.in. Czesławowi Miłoszowi i poezji Solidarności, oraz zorganizowało kilka dorocznych konkursów polskiej piosenki i poezji, opartych głównie na poezji emigracyjnej ostatniego 45-lecia. Z prelegentów „zamorskich” Koło gościło Tadeusza Nowakowskiego, Stefana Kisielewskiego, a w tym roku Tadeusza Konwickiego. Od roku 1980 Koło zajmuje się również najnowszą emigracją, służąc jej głównie pomocą fachową i poradami językowymi na spotkaniach zbiorowych i indywidualnych. W związku z dużym napływem w ostatnich latach polskich uchodźców i emigrantów, Koło urządziło szereg zebrań dyskusyjnych, zapraszając do udziału przedstawicieli różnych fal emigracyjnych. Przewodniczącym Koła jest mgr inż. Jerzy Moskala. ■ Federalny poseł Australijskiej Partii Pracy, Ralph Jacobi, pisemnie interweniował u ministra spraw zagranicznych Haydena, brytyjskiego Wysokiego Komisarza w Canberze i ambasadora Stanów Zjednoczonych w Canberze w sprawie oświadczenia ZSSR o wzniesieniu pomnika katyńskiego w Warszawie. Napis na pomniku obciąża tą zbrodnią faszyzm hitlerowski. Poseł Jacobi przypomina, że próby ZSSR obciążenia tym ludobójstwem hitlerowców w czasie procesu w Norymberdze zostały zaniechane. ■ Uniwersytet Wiktorii w Wellingtonie, stolicy Nowej Zelandii, ma wprowadzić w roku akademickim 1986 kurs języka i literatury polskiej na tych samych prawach, co inne przedmioty, tzn. że egzamin z języka polskiego byłby zaliczany do uzyskania stopnia naukowego. ■ W sierpniu br. Zespół Pieśni i Tańca „Lublin” w Nowej Zelandii, obchodził czwartą rocznicę istnienia i z tej okazji odbył się specjalny koncert w Salo Domu Polskiego w Wellington. Zespół założyli i nadal prowadzą Anna i Jacek Śliwińscy.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

KRONIKA FRANCUSKA

W pierwszym tygodniu września „Wspólnota Polsko-Francuska” przy współpracy Towarzystwa Historyczno-Literackiego zorganizowała doroczną sesję Uniwersytetu Letniego. Wykłady, które odbywały się w gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu cieszyły się dużym zainteresowaniem. Spotkania prowadzili m.in.: Piotr Chruszczyński, Jean Offredo, Krzysztof Pomian, Jerzy Mond, Leszek Talko, Eugeniusz Zaleski. ■ Piotr Chruszczyński i Danuta Nowakowska, przedstawiciele paryskiego Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność”, uczestniczyli we wrześniu i październiku w zjazdach unii regionalnych i departamentalnych francuskich związków zawodowych CFTC i CFDT. ■ Danuta Nowakowska wzięła także udział w obradach Światowego Kolokwium Kobiet Pracujących (spotkanie zorganizowane przez Światową Federację Pracy w Rzymie); mówiła tam o sytuacji kobiet w Polsce i zdała szczegółową relację o 47 kobietach więzionych w owym czasie. Kolokwium uchwaliło w tej sprawie notę protestacyjną, skierowaną do rządu PRL. ■ André Bergeron, przewodniczący związku zawodowego Force Ouvrière, zadeklarował dalsze poparcie dla Solidarności w przemówieniu

wyłoszczonym podczas odbywającego się w Paryżu dorocznego święta związku.

■ W dniu święta komunistycznego dziennika *L'Humanité* dziesięć francuskich emigracyjnych stowarzyszeń zorganizowało w Paryżu akcję nazwaną „Dzień solidarności i informacji o więźniach politycznych w krajach komunistycznych”. W rozmaitych działaniach wzięły udział: „Chiński Sojusz Demokratyczny”, „SMOT” (wolne związki zawodowe ZSSR), „Przyjaciele Romka i Tomka” (patrz *Kultura* nr 9/456, 1985), Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” we Francji, Komitet „Solidarité avec Solidarność”, Komitet Abramkina (ZSSR), Komitet Radowicia (Jugosławia), pismo *IZTOK*.

■ W paryskim kościele sióstr Szarytek została odprawiona msza święta w intencji śp. Andrzeja Kijowskiego. Uroczystość koncelebrował ksiądz superior Zenon Modzelewski, a wspomnienie o zmarłym wygłosił profesor Jan Błonski.

■ Jednemu ze skwerów miasta Dunkierka nadano imię księdza Jerzego Popiełuszki. Inauguracji przewodniczył senator Claude Pouvoeur, burmistrz Dunkierki. Wśród przemawiających był m.in. Bolesław Nataneł, prezes Kongresu Polonii Francuskiej.

■ Polscy księża celebrowali w kościele Polskim w Paryżu mszę świętą w intencji poległych i zmarłych w czasie wojny i po wojnie żołnierzy Armii Krajowej. Kazanie wygłosił ksiądz prałat Witold Kiedrowski. Podczas okolicznościowego spotkania przemawiał Jerzy Ursyn-Niemcewicz, prezes Oddziału Francja byłych żołnierzy AK.

■ W trakcie publicznego spotkania zorganizowanego przez stowarzyszenie „Solidarité France-Pologne” wyświetlono film zrealizowany przez francuskich dziennikarzy pt. „Polska 1985”. Poszczególne sceny komentował Seweryn Blumsztajn. Zebrani dyskutowali na temat aktualnej sytuacji w kraju.

■ W podparyskiej miejscowości Montmorency (związanej z Wielką Emigracją) odbyło się uroczyste otwarcie Domu Spotkań księży Pallotynów. Ksiądz superior Zenon Modzelewski przedstawił zasady funkcjonowania nowego ośrodka, po czym Stefan Kisielewski wygłosił odczyt pt. „Wierzę czy wątpię?”. Stefan Kisielewski był także gościem starego ośrodka księży Pallotynów — Centre du Dialogue, gdzie miał odczyt na temat: „Czy Europa musi zginąć?”.

■ Z inicjatywy Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbyło się w Bibliotece Polskiej w Paryżu spotkanie z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, który przedstawił swoją niedawno opublikowaną książkę pt. „Wojna w eterze” (wyd. „Odnova” — Londyn). Książka ta jest pierwszym tomem wspomnień Jana Nowaka, b. dyrektora sekcji polskiej Radia Wolna Europa.

■ Krakowski teatr Tadeusza Kantora „Cricot 2” wystąpił w ramach Jesiennego Festiwalu Teatralnego w Paryżu. Kantor zaprezentował swój najnowszy spektakl pt. „Niech zdechną artyści”. Spektakl ten był również pokazywany we Francji w lecie podczas festiwalu w Avinionie. Gościem paryskiego festiwalu był również kabaret satyryczny Piotra Skrzyneckiego — „Piwnica pod Baranami”. Obie krakowskie grupy cieszyły się dużym powodzeniem.

■ Główną nagrodę festiwalu filmowego w San Sebastian — „Złotą Muszlę” — otrzymał Radosław Piwowarski za swój pierwszy długometrażowy film pt. „Wczoraj”. Natomiast w ramach V międzynarodowego festiwalu filmów sportowych w Montpellier Bogdan Dziworski otrzymał złoty medal i nagrodę tysiąclecia miasta za film pt. „Fechmistrz”. Oba filmy zostały zrealizowane w Polsce.

■ Profesor Piotr Stonimski, biolog prowadzący badania z zakresu genetyki, został przyjęty w poczet członków Francuskiej Akademii Nauk. Profesor Stonimski jest znany we Francji także ze swojej działalności społecznej, jest prezydentem i jednym z założycieli stowarzyszenia „Solidarité France-Pologne”.

■ Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność” i inne paryskie grupy zorganizowały 13 października — w dniu wyborów do sejmiku PRL — pikietę przed ambasadą PRL w Paryżu, gdzie mieścił się punkt wyborczy. Dyżurujący obliczyli, że od wczesnych godzin rannych do wieczora próg ambasady przekroczyło 568 osób. Jest to zdaniem organizatorów pikiety niewielka część uprawnionych w Paryżu do głosowania.

W. SIKORA

Z OSTATNIEJ CHWILI

21 października 1985 prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan w obecności wiceprezydenta George'a Busha, admirała Johna Poindextera — zastępcy MacEarlana, oraz Linasa Kojelisa z Departamentu Stanu i Paula Dobrianskiego z Rady Obrony, przyjął delegację NSZZ „Solidarność” w osobach Jerzego Milewskiego, kierownika Biura Koordynacyjnego w Brukseli, i Elżbiety Wasutyńskiej. W czasie spotkania Jerzy Milewski przedstawił stanowisko NSZZ „Solidarność” wobec aktualnej sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej w Polsce. Sytuacja ta — powiedział — daleka jest od stabilizacji i nie wskazuje na to, aby w najbliższej przyszłości uległa poprawie. Trwają represje władz wobec działaczy związkowych i działaczy innych organizacji społecznych. Mimo to społeczeństwo polskie nie rezygnuje z walki o realizację podstawowych swobód demokratycznych, praw człowieka i obywatela oraz reformy gospodarczej. Głównym organizatorem tej walki jest w dalszym ciągu „Solidarność”. Społeczeństwo zdaje sobie sprawę, że sukces zależy od samych obywateli, ale że jednocześnie czynnikami nieodzownymi jest także poparcie i pomoc demokracji zachodnich. Społeczeństwo oczekuje więc poparcia ekonomicznego dla wszelkich inicjatyw społecznych. Zdaniem „Solidarność” pomoc ta i współpraca z rządem PRL winny być uwarunkowane przestrzeganiem przez władze PRL praw człowieka i obywatela, winny opierać się na zasadach gospodarności i służyć zaspokajaniu potrzeb społeczeństwa. Społeczeństwo polskie liczy na poparcie moralne i polityczne demokracji zachodnich, a zwłaszcza na to, że podczas negocjacji dwóch wielkich mocarstw żadne kompromisy nie będą zawarte kosztem podstawowych praw narodu polskiego. Po tym spotkaniu ukazał się komunikat prasowy, w którym podano odpowiedź prezydenta Reagana:

„Miałem dzisiaj przyjemność spotkać pana Jerzego Milewskiego, przedstawiciela polskiego związku zawodowego „Solidarność” w Brukseli, bliskiego przyjaciela laureata pokojowej nagrody Nobla, Lecha Wałęsy. Omawialiśmy bardzo interesującą mnie sprawę sytuacji w Polsce. Powiedziałem panu Milewskiemu o mojej dużej nadziei, że amnestia ogłoszona w lipcu 1984 roku będzie stanowiła wielki krok w kierunku narodowej ugody. Niestety, większość informacji docierających ostatnio z Polski nie jest dobra. Ilość osób zatrzymanych z powodów czysto politycznych ponownie znacznie wzrosła. Zmiany wprowadzone do kodeksu karnego prowadzą do wyposażenia władz w możliwości stosowania postępowania przyspieszonego do szerokiego wachlarza rzekomych czynów kryminalnych. Nowa ustawa o szkolnictwie wyższym godzi boleśnie w tradycyjne swobody akademickie. Zmiany ustawy o związkach zawodowych z 1980 roku oznaczają likwidację *de iure* pluralizmu związkowego na czas trudny do przewidzenia. Ostatnio przeprowadzone wybory parlamentarne, podobnie zresztą jak wybory poprzednie, nie dostarczyły prawdziwego mandatu społecznego postom. Zrozumiałe jest, że pan Milewski oraz inni myślący obserwatorzy polskiej sceny są głęboko zaniepokojeni tym rozwojem wydarzeń. Historia dowodzi, że zwiększone represje jedynie zaostrzają istniejące problemy i sieją ziarno przyszłego niezadowolenia. Wierzę nadal, że prawdziwy dialog rządu z autentycznymi przedstawicielami społeczeństwa, do których zaliczają się wolne i niezależne związki zawodowe, jest jedyną drogą prowadzącą do rozwiązania poważnych problemów Polski. Uwolnienie więźniów politycznych wskazywałoby niewątpliwie na polepszenie sytuacji wewnętrznej Polski i służyłoby rozwojowi stosunków zagranicznych kraju”.

10-10-85

Zmarł w Polsce w wieku 80 lat Stanisław Mierzwa, w okresie międzywojennym wybitny działacz Stronnictwa Ludowego, w okresie wojny członek Centralnego Kierownictwa Ruchu Ludowego oraz Rady Jedności Narodowej.

19-10-85

Na wniosek członków komisji wyborczych siedmiu miast (Gdańsk, Elbląg, Koszalin, Olsztyn, Stupsk, Szczecin i Wrocław) Prokuratura Wojewódzka w Gdańsku wszczęła postępowanie karne przeciwko Lechowi Wałęsie, za rozpowszechnianie znieważających informacji. Grozi mu kara dwóch lat więzienia.

20-10-85

Podczas inauguracji nowego roku akademickiego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim na wniosek Wydziału Teologicznego nadano prymasowi Polski kardynałowi J. Glempowi tytuł doktora *honoris causa*.

21-10-85

Nagrodę *Wiadomości* (Londyn) za najlepszą książkę wydaną na emigracji w 1984 roku otrzymał Jan Zamojski za „Powrót na mapę — Polski Komitet Narodowy w Paryżu 1914-1919”, wydaną przez Polską Fundację Kultu-ralną. Nagroda wynosi £ 500.00 i została ufundowana przez p. Feliksa Laskiego.

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

AUDYCJE SEKCJI POLSKIEJ B.B.C.

06.00-06.15	pon.-sob.	9,76 31	7,26 41	6,14 49	3,975 75	MHz i 1296 KHz i 231 m
07.00-07.15	pon.-sob.	11,92 25	7,26 41	6,15 49	3,975 75	MHz i 1296 KHz MHz i 231 m
08.00-08.30	niedziela	11,92 25	7,295 41	6,15 49		MHz m
12.30-13.30	niedziela	15,39 19	12,04 25	9,66 31		MHz m
15.00-16.30	niedziela	15,39 19	12,04 25	9,66 31	7,155 41	MHz m
16.00-16.30	pon.-sob.	15,39 19	12,04 25	9,66 31	7,155 41	MHz m
18.00-19.00	codziennie	9,75 31	7,295 41	6,125 49	3,975 75	MHz m
21.30-23.00	codziennie	7,14 41	6,125 49	3,975 75		MHz i 1296 KHz i 231 m

dziennik radiowy:

w dni powszednie o godz. 06.00, 07.00, 16.00, 18.00 i 21.30;
w niedziele o godz. 08.00, 12.30, 15.00, 16.00, 18.00 i 21.30.

po dzienniku:

- depesze, reportaże i komentarze o wydarzeniach w Polsce i na świecie.
- „Kalejdoskop dnia” od poniedziałku do piątku o godz. 18.00.
- „Reflektorem po świecie” od poniedziałku do piątku o 21.30.

programy publicystyczne min.:

- „W Polsce i o Polsce” (niedziela o godz. 18.30 i 22.00);
- „Bez cenzury” (niedziela o godz. 18.45, wtorek o godz. 16.15, czwartek o godz. 22.15);
- „Za kulisami wydarzeń” (piątek o godz. 16.15, 18.40 i 22.15);
- „Wiara i świat współczesny” (niedziela o godz. 08.15 i 12.40).

lekcje angielskiego:

- od poniedziałku do piątku o godz. 18.54 i 22.54.

a ponadto:

- wywiady, rozmowy, dyskusje, recenzje, programy literackie, artystyczne i muzyczne.

Listy do Redakcji

WYJAŚNIENIE

Otrzymał listy protestujące przeciw nocie pt. „Afera wokół Domu Polskiego w Rzymie”, zamieszczonej w nr. wrześniowym *Kultury*, od prezesa Kongresu Polonii A. Mazewskiego i prezesa „Polonii Jutra” J. Kaszuby. Zaprzeczają oni, by wyrazili votum nieufności zarządowi Fundacji Domu Polskiego Jana Pawła II. Faktem jest jednak, że takie wrażenie można było odnieść, skoro byli nieobecni na czerwcowej uroczystości odsłonięcia tablicy ofiarodawców, a przyjazd ich był zapowiedziany. Co do meritum sprawy, ani prezes Mazewski, ani prezes Kaszuba nie kwestionują bezspornego faktu karnego zdymisjonowania ks. K. Przydatka i ks. K. Sokołowskiego, jak również powodów, które doprowadziły do tak drastycznej decyzji. Cała ta afera nie stanowi zresztą tajemnicy w polskim Rzymie. Opieraliśmy się na wiadomościach z wiarygodnych źródeł. Skądinąd nawet obrońcy dotychczasowej beztroskiej gospodarki funduszami pochodzącymi z darowizn przyznają, że powołane komisje w obydwu przypadkach znalazły „nieodkryte rozliczeniowe”. Ten eufemizm nie wymaga komentarza. Jest także faktem, że w czasie czerwcowych narad szereg donatorów domagało się składania przez Radę Fundacji rocznych sprawozdań finansowych, dając tym samym wyraz niezadowoleniu z powodu braku społecznego systemu kontroli. Miejmy nadzieję, że nasz głos alarmujący przyczyni się do uzdrowienia dotychczasowego, niepokojącego stanu rzeczy. (REDAKCJA).

Montreal, 2 października 1985.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W końcu września br. Sąd Apelacyjny w Paryżu zatwierdził orzeczenie pierwszej instancji w sprawie skargi pani Sosnkowskiej na odmowę Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego wydania urny z prochami jej męża.

Wybitną rolę w tym procesie odegrał b. działacz Izby Adwokackiej Paryża, mecenas René Bondoux. Jego głęboka znajomość tematu, szczerza przyjaźń dla narodu polskiego i starannie przygotowane mowy obrończe pozwoliły francuskiemu wymiarowi sprawiedliwości przejść do porządku dziennego nad faktem uznawania przez rząd francuski legalizmu władz PRL. Zasadniczym bowiem i podstawowym elementem rozprawy była niewątpliwie kwestia interpretacji określenia Wolna Polska, zawartego w testamentcie.

Obok mecenas Bondoux dużą zastęgę położył wypróbowany przyjaciel Polski mecenas Marc de Montfort. Obaj zaskarbili sobie uczucia prawdziwej wdzięczności ze strony społeczności polskiej na emigracji.

Warto też podkreślić, że w czasie rozprawy apelacyjnej przedstawiono w sądzie autentyczne podpisy Gen. Sosnkowskiego z maja i sierpnia 1969 roku i porównano je ze sfałszowanym podpisem na dokumencie, przy pomocy

którego pani Sosnkowska usiłowała obalić postanowienia notarialnego testamentu swojego męża. W Paryżu potraktowano ten dokument tak jak na to zasługiwał. Natomiast w Polsce uznano ten dokument za wiarygodny i przyjęto w darze archiwum polityczne Generała. Prawowity spadkobierca testamentarny tej dokumentacji, Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce, ma prawo spodziewać się, że po ujawnieniu fałszerstwa dokumentu, całe archiwum zostanie zwrócone.

Urna z prochami b. Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych pozostanie więc na cmentarzu w Montmorency, zgodnie z Jego ostatnią wolą.

Ogłoszenie wyroku zbiegło się ze stuletnią rocznicą urodzin Generała, która przypada w listopadzie br. Zrządzeniem więc losu Francja, poprzez swoją instancję sądową, prawie dokładnie w tę rocznicę dała piękny dowód wierności tradycji przyjaźni francusko-polskiej. Możemy to przyjąć również jako hołd oddany pamięci Kazimierza Sosnkowskiego, którego w 1921 roku Marszałek Foch udekorował Wielką Wstęgą orderu Legii Honorowej. W dwa lata później z rąk Generała Sosnkowskiego Marszałek Foch otrzymał buławę Marszałka Polski.

Te zewnętrzne gesty wyływały z prawdziwej tradycji rycerskiej obu zaprzyjaźnionych narodów.

Łączę wyrazy należnego szacunku

Stanisław BABIŃSKI

Surrey, 17 września 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązuję do listu p. Ludwika Frendla z 3 sierpnia br., ogłoszonego w *Kulturze* nr 9/1985. Zaskoczyła mnie w nim interpretacja mająca wykażać publicznie, że głośny rewizjonista z ziomkostwa niemieckich Ślązaków — dr Herbert Hupka — jest „przedstawicielem całego narodu niemieckiego”.

Pan L. Frenzl upiera się przy tezie o celowości swoich rozmów z tym właśnie politykiem niemieckim. A w dodatku głosi, że nie mają racji ci działacze emigracyjni, którzy te jego rozmowy — jako zbyt techniczne i mylące — zakwestionowali. Na szczęście od momentu, w którym p. L. Frenzl przestał być przewodniczącym rozwiązanej przez Prezydenta RP na Obczyźnie Oddziału Rady Narodowej RP w Niemczech jego wcześniejsze i ewentualnie nowe stosunki z dr. H. Hupką przestały mieć dla Polaków liczącą się znaczenie.

Na ponowne pretensje p. L. Frendla pod moim adresem z tego powodu, że PPS uniemożliwiła mu dalsze rozmowy i porozumienia z dr. H. Hupką — podaję co następuje: listem z 3 grudnia 1984 roku wysłanym do p. Kazimierza Sabbata jako Prezesa Rady Ministrów na Eaton Place w Londynie informowałem o kierownictwo emigracji jak następuje: „Komunikuję niniejszym, iż w dniu 24 listopada br. miała miejsce konferencja moja z dr. Herbertem Hupką, posłem do Bundestagu (CDU), czołowym rewizjonistą — na jego prośbę”. W liście tym podano ponadto, że „konferencja odbyła się w cztery oczy w mieszkaniu dr. Hupki w Monachium”, „trwała blisko 2 godziny”, miała „charakter poufny”. Ponadto dr Hupka uzgodnił podczas tej konferencji z p. L. Frenzlem zorganizowanie spotkania o szerszym charakterze „w kwietniu lub maju 1985 roku”, przy czym ustalono, że p. L. Frenzl przyjdzie na to spotkanie „z dwoma Polakami według jego wyboru, z Rady Narodowej lub spoza niej”.

A więc były debaty i porozumienie obu kontrahentów spotkania z 24 listopada 1984 roku, co właśnie Klub PPS w Oddziale Rady Narodowej w RFN zakwestionował i co stanowiło postawę informacji ogłoszonej w *Kulturze*

przez jej niemieckiego korespondenta. Istotny jest tu również fakt, że p. L. Frendl uchylił się od stanięcia przed posiedzeniem Oddziału Rady Narodowej, gdy zgłoszono mu z tego powodu „*voitum nieufności*”. Innych przyczyn kwestionowania już wcześniej jego postępowania jako przewodniczącego Oddziału (sprawa ZPU) już ostatnio nie dotyka.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Tadeusz PODGÓRSKI

Na tym zamykamy dyskusję na powyższy temat. — *Redakcja*.

Toronto, 22 września 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Podobnie jak wielu innych czytelników wrześniowego numeru *Kultury* szczególnie zainteresował mnie wywiad ze Zbigniewem Bujakiem. Przy ograniczonych kontaktach emigracji z kierownictwem podziemia wywiad ten miał szansę wyjaśnienia i wyprowadzenia na prostą bardziej skutecznego działania wszystkich nas rozproszonych po świecie, wszystkich niezorganizowanych jeszcze a już wystarczająco zdezorientowanych działalnością Solidarności na Zachodzie z mandatu TKK.

Roli tej jednak wywiad z Bujakiem moim zdaniem w dużym stopniu nie spełnia. Co prawda Bujak apeluje o „zorganizowanie polskiego lobby”, które byłoby w stanie np. „umiejętnie zdyskontować na forum zachodnich rządów i parlamentów bojkot wyborów”. Stwierdza również, iż „z punktu widzenia kraju istnieje coraz większa potrzeba politycznego zorganizowania się Polonii”. Rzecz jednak w tym, iż sposób w jaki kierownictwo podziemia zorganizowało Solidarność za granicą, takie działania „zorganizowania się Polonii” niemal uniemożliwia. A jest tak niestety z jednego powodu — Solidarność na Zachodzie jest na lewicy.

Pomijając Biuro w Brukseli, które pewne sprawy propagandowo wygrywa na forum Międzynarodowej Organizacji Pracy, chciałbym podzielić się z czytelnikami *Kultury* obserwacjami z perspektywy Kanady, a ściślej Toronto.

Istnieje tu Biuro Solidarności finansowane przez związki zawodowe, a raczej ich centralę czyli CLC — Kanadyjski Kongres Pracy. Bardziej precyzyjnie nie tyle Biuro (bo jako takie finansowania nie wymaga ze względu na zupełny brak akcji) co kierownik Biura, przedstawiciel Solidarności, który jest etatowym pracownikiem Wydziału Zagranicznego CLC i jako taki podlega surowej dyscyplinie pracy (raczej jej braku). CLC koordynuje działania regionów, również i takich, które są całkowicie spenetrowane przez pro-moskiewską partię komunistyczną (Calgary, Hamilton, Vancouver, Sudbury i inne).

Samo CLC w swej polityce zagranicznej służy świadomie lub nie polityce rozmiękczenia sterowanej z Moskwy. Jest więc CLC bardzo aktywne w tworzeniu atmosfery antyamerykańskiej, szczególnie wrogie wobec polityki prezydenta Reagana. Udziela poparcia Nikaragui, popiera rebeliantów w Salwadorem, wysyła swoich aktywistów na szkolenia na Kubę czy wreszcie przyjmuje delegacje bratnich związków zawodowych ze Związku Sowieckiego.

Współtworzy wraz z partią komunistyczną tzw. ruch pokojowy, pomagający się jednostronnemu rozbrojeniu Zachodu. Pomijając kwestie polityki wewnętrznej oraz „demokratycznej” struktury Centrali, warto zaznaczyć otwartą wrogość CLC wobec „prawicowego elementu” organizacji narodów ujarzmionych przez Rosję Sowiecką. Jest ponadto CLC głównym udziałowcem funduszy tzw. partii nowo-demokratycznej NDP. Jej szef Ed Broadbent, wychwalany przez przedstawiciela Solidarności jako „największy sojusznik

Solidarności w Kanadzie” powrócił niedawno z trzytygodniowego „urlopu” w Związku Sowieckim, gdzie przebywał na zaproszenie Arbatowa, znanego animatora propagandy moskiewskiej na kontynencie Ameryki Północnej, oczywistego funkcjonariusza KGB. Tenże Arbatow okazał się niezłym nauczycielem Ed Broadbenta, który po powrocie z Moskwy rozpoczął skuteczną kampanię torpedowania włączenia się Kanady do programu SDI, popularnie znanego jako „Star Wars”.

Takie jest w skrócie tło polityczne usytuowania Solidarności w Kanadzie. Oznacza ono bardzo poważne odcięcie od ośrodków decyzyjnych i opiniotwórczych. „Poparcie” udzielane Solidarności przez CLC, jawiące się dość zagadkowo, o tyle jest jasne, iż służy podreperowaniu sobie autorytetu i prestiżu społecznego, bardzo nadwężonego w opinii publicznej Kanady. Co prawda funkcjonariusze CLC szafują cyfrą 2 milionów członków, ale wystarczy przejrzeć wyniki badań publicznych, aby dojść do wniosku, iż wielu członków należy do związków zawodowych z powodów czysto pragmatycznych bądź z konieczności — system przyjmowania do pracy jest bowiem często uzależniony od akceptacji związkowej.

Dodać również warto, iż zaledwie 20 % Kanadyjczyków głosuje na partię NDP.

Trudno więc będzie apele Bujaka realizować. Tym bardziej, iż przedstawiciel Solidarności w ostrych słowach krytykuje Polonię kanadyjską za beczynność w kwestii polskiej.

Trudno o bardziej śmieszne i obrażające oskarżenie, zważywszy, że własnie Kongres Polonii Kanadyjskiej, a nie Biuro Solidarności pomocą dla kraju służy. Choćby wysyłka leków i żywności, interwencje w rządzie, czy też demonstracje pod konsulem PRL dostrzegane przez środki masowego przekazu. Demonstracje te, w których Biuro Solidarności nie bierze udziału, podobnie jak zbieranie funduszy na Solidarność i wysyłanie ich za pośrednictwem *Kultury* do kraju jest organizowane przez organizację Kongresu Polonii Kanadyjskiej, grupę „Solidarność - Niepodległość”.

Jest prawdą, że wiele by jeszcze można zmienić w zorganizowanej Polonii, tak jak domaga się tego Bujak. Konieczny jest jednak zabieg zlikwidowania przez Kraj „garbu lewicowości” i utworzenia, jak Bujak wspominał, „organizacji prowadzącej politykę wypracowaną wspólnie z opozycją w kraju”. Organizacji mądrej nie tylko doświadczeniami krajowymi, ale również opartej na realiach Zachodu, w których podziemie zdaje się nie mieć najlepszej orientacji. Kraj winien jak najszybciej wysłać przedstawiciela podziemia, z powszechnie uznawanym autorytetem, tak aby wiele z tego co zostało już stracone nie zostało zaprzepaszczone do końca. Tak aby emigracja zdążyła się przygotować w wystarczającym stopniu na godzinę 0, gdy będzie to najbardziej potrzebne.

Zygmunt PRZETAKIEWICZ

Barnet Herts, Anglia, wrzesień 1985.

Szanowny i drogi Panie Redaktorze!

Francuski chochlik drukarski poprzekręcał literki w angielskim słowie *purely* w moim liście w nr. 9/456 *Kultury*. Korzystam z tego, aby dać pełną definicję. Piast jest zdefiniowany w dużym słowniku oksfordzkim jako *a person of purely Polish descent* oraz *member of the first Polish royal dynasty Piast* (osoba czysto polskiego pochodzenia oraz członek pierwszej dynastii Piastów).

Będę Panu Redaktorowi wdzięczny za opublikowanie tego listu.

Serdeczności zasyla

Krzysztof ROWIŃSKI

Rzym, 15 października 1985.

Szanowny Panie Redaktorze!

Rada Administracyjna Fundacji Jana Pawła II w Rzymie, na posiedzeniu w dniu 10 października br., zapoznała się z anonimową notatką zamieszczoną w nr. 9/456 miesięcznika *Kultura* z września 1985 roku pt. „Afera wokół Domu Jana Pawła II w Rzymie”. Notatka pełna jest nieścisłości, insynuacji, pomówień i fałszywych stwierdzeń.

Rada wyraża oburzenie i ubolewanie z powodu bezkrytycznego zamieszczenia tej notatki. Godzi ona w dobre imię Fundacji Jana Pawła II i jest zaprzeczeniem elementarnych zasad uczciwości dziennikarskiej. Może dlatego autor wolał pozostać anonimowy. Rzucanie oskarżeń pod adresem osób, które cieszą się powszechnym uznaniem za wkład pracy w powołanie do życia i rozwój Domu Polskiego Jana Pawła II, należącego do Fundacji, jest tym bardziej nieuczciwe. Cała treść notatki wskazuje na to, że anonimowy autor zamierzał chyba podważyć zaufanie u ludzi, którzy swoją ofiarnością przyczynili się do powstania Fundacji i Domu Polskiego Jana Pawła II i nadal spieszą tym Instytucjom z pomocą.

Powiedział św. Tomasz: „*quod gratis asseritur, gratis negatur*”, czyli że twierdzeniom przytaczanym bez dowodów można również bez dowodów zaprzeczyć. Notatka nie przytacza żadnych dowodów, można ją więc na tej samej zasadzie odrzucić.

Gdyby Szanowna Redakcja chciała poznać prawdę, mogła zwrócić się do kompetentnych osób z prośbą o informacje, a nie opierać się na plotkach. Jednakże nie są już zaskoczeniem dla nas uszczypliwe notatki zamieszczane na łamach miesięcznika *Kultura* na temat działalności Kościoła w Kraju czy na emigracji.

Uprzejmie proszę Szanownego Pana Redaktora o umieszczenie listu w najbliższym numerze miesięcznika.

Z wyrazami szacunku

Za Radę Fundacji
Bp Szczepan WESOŁY

Zamieszczając powyższy list muszę stwierdzić, że nie znajduję w nim odpowiedzi na zarzuty wysunięte w naszej notatce. Mogę zapewnić Ekscelencję Księdza Biskupa, że informacje pochodzą od osób kompetentnych, a anonimowość jest chyba zrozumiała w związku z istniejącą od dłuższego czasu atmosferą w pewnych kołach kościelnych, które każdą rzeczową krytykę traktują jako atak na Kościół unikając wyjaśnień czy dyskusji.

REDAKTOR

Do Redakcji *Kultury*

Przy okazji mojego odczytu w Londynie, zorganizowanego przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, zrodził się pomysł wydania numeru *Pamiętnika Literackiego* poświęconego Witkacemu. Był to tylko pomysł, o którym rozmawiałem z Józefem Garlińskim. Nic konkretnego nie zostało postanowione. Wtedy też akurat prowadziłem korespondencję z Choynowskim i napisałem, że istnieje taki pomysł i być może w tym numerze *Pamiętnika Literackiego* można byłoby zamieścić relację o samobójczej śmierci Witkatego. Mieczysław Choynowski przystał na to, przesyłając mi ową relację.

Pomysł wydania numeru *Pamiętnika Literackiego* poświęconego Witka-

cemu stał się z czasem nieaktualny. Miałem już jednak relację Choynowskiego i nie bardzo wiedziałem, co z tym fantem zrobić.

Kończąc jeszcze kilka zdań o ocenie mojej książki przez Choynowskiego. Jest ona taka jaka jest: jednym się podoba, innym nie. To jest najzupełniej normalne. Choynowski o niej tak negatywnie, a np. Józef Czapski (*Kultura* nr 11/1983) inaczej.

Jan Stanisław WITKIEWICZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

A.K., *Polska*. — Bardzo dziękujemy za słowa uznania dla działalności Instytutu Literackiego.

W.K., *Washington*. — Pana listu do Michaiła Gorbaczowa nie zamieścimy. Tadeusz Witos, *Londyn*. — Trudno nam poprawiać najnowszą historię polityczną Polski opracowaną przez Władysława Pobóg-Malinowskiego, która ukazała się w 1963 roku. Możemy tylko sprostować, że Andrzej Witos był rodzonym bratem Wincentego, a nie przyrodnim.

Czytelnik z *Kraju*. — Pana uwag dotyczących listu do Redakcji z nr 5/452 *Kultury* nie zamieścimy.

Czesław M. Nowak, *Bridgewater, USA*. — Nie cenzurujemy listów do Redakcji, a zresztą także ze swej strony mamy zastrzeżenia jeśli idzie o pośmiertną dekorację *Legion of Merit* generałów Roweckiego, Komorowskiego i Okulickiego. To odznaczenie dziwnie wygląda na tle ówczesnej polityki prezydenta Roosevelta.

M.Sz., *Passaic, USA*. — Nie zamieścimy. Pana tekst jest bardzo podniosły, ale interpretacja wojny polsko-bolszewickiej nie jest zbyt ścisła.

J.P., *USA*. — Nie zamieścimy. Pana interpretacja artykułu Stefana Denfert'a jest jego wypaczeniem.

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Dokumenty

PISMO REKTORATU DO DZIEKANÓW I DYREKTORÓW INSTYTUTÓW

Poniżej publikujemy pismo z połowy maja, skierowane przez Rektorat do dziekanów i dyrektorów instytutów. Jest ono przeróbką poufnego pisma Ministerstwa, zaostreżającego politykę wyjazdową do Stanów po „amerykańskiej demonstracji pierwszomajowej” w Nowej Hucie.



Uprzejmie informuję, iż w związku z koniecznością dostosowania formalności wyjazdowych do obowiązujących w tym zakresie przepisów (Zarządzenie Nr 10 Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki z dnia 22 marca 1980 roku) z dniem 5 maja 1985 roku wprowadza się obowiązek:

- przedstawiania instrukcji wyjazdowych (1 egzemplarz — w przypadku USA 2 egzemplarze), w postaci załącznika do kwestionariuszy wyjazdowych (wzór nr 1),
- przedstawienia sprawozdania ze służbowego wyjazdu w 3 egzemplarzach (wzór nr 2). Sprawozdanie to należy złożyć w Biurze Współpracy z Zagranicą w terminie 14 dni od daty powrotu z zagranicy. Zarówno instrukcja wyjazdowa jak i sprawozdanie powinny być zatwierdzone przez Dziekana Wydziału. Ponadto w związku ze zmianą zasad wyjazdów służbowych do USA ustala się następujące:

I. INDYWIDUALNE WYJAZDY SŁUŻBOWE DO USA

1. Pracownicy naukowci Uniwersytetu Warszawskiego zamierzający wyjechać służbowo do USA zobowiązani są do dokonania następujących czynności:

- a) jeżeli otrzymali już indywidualne zaproszenie, powinni do wniosków wyjazdowych dołączyć dokładną informację (2 egzemplarze) o sposobie uzyskania powyższego zaproszenia.

Informacja ta powinna mieć charakter oświadczenia. Powyższe dotyczy również aktualnie złożonej dokumentacji wyjazdowej w BWZ lub na macierzystym wydziale. Z dniem 1 lipca 1985 roku nie będzie się honorować zaproszeń bez wstępnej zgody MNiSzW na podjęcie starań o jego uzyskanie.

- b) jeżeli jeszcze nie otrzymali zaproszeń, muszą uzyskać zgodę MKiSzW na podjęcie starań o powyższe zaproszenie. Wystąpienie o zgodę powinno być sformułowane w podaniu do MNiSzW, złożonym przez zainteresowanego na ręce Rektora UW (w dwóch egzemplarzach). Podanie winno uwzględniać uwagi zawarte w dalszej części pisma.

Potwierdzenie przyjęcia zaproszenia przez osobę wyjeżdżającą może nastąpić dopiero po uzyskaniu zgody MNiSzW.

Ponadto przypominamy, że dokumentacja wyjazdowa składa się z 5 egzemplarzy kwestionariuszy wyjazdowych, podania o urlop naukowy i zaproszenia w 3 egzemplarzach. Należy ją złożyć w BWZ na co najmniej cztery miesiące przed wyjazdem.

2. Indywidualne zaproszenie może być podstawą do wyjazdu służbowego w przypadku:

- a) dłuższej współpracy między placówkami (katedrami, instytutami, etc.) obu krajów, przynoszącej konkretne i udokumentowane efekty badawcze dla strony polskiej,
- b) jeżeli wyjazd następuje do placówki o wysokim i uznanym poziomie naukowym.

3. Wnioski o wyjazdy służbowe składane w BWZ winny być szczegółowo umotywowane i powinny zawierać:

- a) sprecyzowanie celu i przewidywanego efektu wyjazdu,
- b) wykazanie znaczenia projektowanego wyjazdu dla prowadzonych przez zainteresowanego i jego macierzystą jednostkę prac krajowych,
- c) przedstawienie faktycznego, a nie formalnego związku prowadzonych badań z krajowymi priorytetami badawczymi (programy węzłowe, międzyresortowe, rządowe).

II. WYJAZDY NA KONFERENCJE

Służbowe wyjazdy na konferencje lub sympozja naukowe akceptowane będą w przypadku, gdy związane one są z:

- a) aktywnym udziałem w konferencji w postaci prezentacji własnego resortu,
- b) podsumowaniem wcześniejszej współpracy badawczej z zagranicznym ośrodkiem naukowym,
- c) uczestnictwem (za zgodą ministerstwa) we władzach międzynarodowej lub zagranicznej organizacji naukowej, będącej organizatorem imprezy.

III. WYJAZDY W RAMACH UMÓW O BEZPOŚREDNIEJ WSPÓŁPRACY

Kandydaci na wyjazdy w ramach porozumień o bezpośredniej współpracy mogą być zgłaszani do partnera amerykańskiego dopiero po akceptacji kandydatury przez MNiSzW.

IV. PRZEDŁUŻANIE POBYTU W USA

1. Podanie o przedłużenie pobytu powinno zawierać:
 - a) potwierdzenie przedłużenia zaproszenia z instytucji amerykańskiej (2 egzemplarze),
 - b) sprawozdanie sporządzone przez przebywającego za granicą wraz z merytoryczną oceną efektów dotychczasowego pobytu dokonaną przez macierzysty wydział (2 egzemplarze),
 - c) wyciąg z protokołu posiedzenia Rady Wydziału w sprawie przedłużenia pobytu (2 egzemplarze),
 - d) informację o wywiązaniu się z wpłat na Dewizowy Fundusz Stypendialny.
2. Przedłużania pobytu w USA mogą być dokonane jedynie raz na okres nie dłuższy aniżeli jeden rok. Przedłużenie motywowane studiami doktoranckimi możliwe jest tylko wówczas, jeżeli wyjazd miał na celu odbycie studiów doktoranckich.

PROREKTOR UW
Prof. dr hab. Jerzy SKOWRONEK

Imię i nazwisko Warszawa, dnia
Tytuł — stanowisko
.....
..... Telefon

SPRAWOZDANIE

ze służbowego wyjazdu do
(nazwa państwa, miejsce pobytu)

W dniach

1. Osoby towarzyszące

Cel wyjazdu

z inicjatywy na zaproszenie

Osoby, z którymi odbyto rozmowy (konsultacje) w kraju przyjmującym

(nazwisko, pełnione funkcje)

2. Główne tematy rozmów (konsultacji) i prezentowane stanowiska

Inne poruszane sprawy i spostrzeżenia

3. Ustalenia i podjęte zobowiązania

4. Wnioski

Ewentualne postulaty pod adresem innych resortów

(podpis)

UWAGA:

W formie opisowej należy dołączyć do sprawozdania:

1. Uwagi dotyczące przygotowania do wyjazdu delegowanego w kraju (wstępne kontakty z ośrodkami zagranicznymi, informacje uzyskane w kraju o możliwościach wykonania zadań wymienionych w instrukcji wyjazdowej itp.).

2. Obszerną charakterystykę instytucji naukowych, w których delegowany przebywał (nazwiska kierowników i wybitnych uczonych wraz z informacją o ich działalności naukowej, tematyka prowadzonych przez te instytucje prac naukowych, uwagi i obserwacje dotyczące poziomu naukowego instytucji, wyposażenia laboratoryjnego, możliwości kształcenia kadr naukowych itp. oraz porównanie stanu prac w danej specjalności prowadzonych w kraju i za granicą).

(Punkt ten zamieścić na osobnych stronach z umieszczoną w lewym górnym rogu nazwą instytucji naukowej w brzmieniu oryginalnym i tłumaczeniu na język polski).

3. Informację merytoryczną o wykonaniu zadań wymienionych w instrukcji wyjazdowej, o nawiązanych kontaktach naukowych i ewentualnie innych problemach, z którymi się zapoznał delegowany, a które nie były objęte planem pobytu za granicą (wygłoszone odczyty, referaty).

4. Uwagi dotyczące sposobu przyjęcia delegowanego i udzielonej mu pomocy w wykonaniu zaplanowanych prac, wnioski dotyczące celowości delegowania do tej lub innych instytucji znajdujących się na terenie danego kraju kolejnych pracowników nauki, ewentualnego nawiązania szerszej współpracy itp.

5. Informację o przywiezionych do kraju materiałach, publikacjach, wydawnictwach (tytuły materiałów i miejsca ich przechowywania).

Konkretne wnioski dotyczące zastosowania w kraju rezultatów uzyska-

nych za granicą oraz planu wykorzystania zdobytych doświadczeń w dalszej pracy delegowanego (w pracy katedry, instytutu lub wydziału, plan rozpowszechniania zdobytej za granicą wiedzy w innych uczelniach i ośrodkach naukowych, odczyty, publikacje, referaty).

6. Ogólną informację dotyczącą warunków bytowych.
7. Termin i miejsce komunikatu naukowego, jaki delegowany ogłosi, z wyników badań naukowych przeprowadzonych w czasie pobytu za granicą.
8. Sprawozdanie należy złożyć w terminie 14 dni od powrotu do kraju do BWzZ UW (w 3 egzemplarzach).

Zatwierdzam

.....

INSTRUKCJA WYJAZDOWA

dla
(imię i nazwisko, miejsce pracy, zajmowane stanowisko osób delegowanych za granicę)

wyjeżdżający do
(kraj, miasto, nazwa instytucji)

w celu

Podstawowymi zadaniami delegowanego (delegowanych) są:

1. szczegółowy zakres zadań do wykonania
2. w czasie pobytu za granicą
3.

Delegowany (delegowani) może składać oświadczenie i zobowiązania tylko w ramach zadań określonych niniejszą instrukcją.

W przypadku wyjazdów szkoleniowych, naukowo-badawczych lub dydaktycznych oprócz zadań wymienionych w niniejszej instrukcji osoby delegowane za granicę powinny w miarę możliwości zapoznać się z metodami planowania i realizacji badań naukowych i technicznych, z działalnością instytucji prowadzących te badania, z tematyką badań, z systemem wdrażania wyników badań, osiągnięciami w dziedzinie nauki i techniki jak również z zakresem działania instytucji, do której nastąpił wyjazd.

ZARZĄDZENIE W SPRAWIE PROHIBITÓW

KOMUNIKAT MINISTERSTWA NAUKI I SZKOLNICTWA WYŻSZEGO

MINISTERSTWO
NAUKI I SZKOLNICTWA WYŻSZEGO
ul. Miodowa 6/8 Skrytka pocztowa 639
00-950 Warszawa
DU-4-078/B/5/85

Warszawa, 1985-07-3.

Obywatele Rektorzy
Szkół Wyższych resortu nauki
i szkolnictwa wyższego

W roku bieżącym Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego przeprowadzi w wybranych bibliotekach szkół wyższych kontrolę dotyczącą stosowania Zarządzenia nr 2 z dnia 30 kwietnia 1984 roku Ministrów: Kultury i Sztuki, Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz Sekretarza Naukowego Polskiej Akademii Nauki w sprawie przechowywania i udostępniania publikacji zagranicznych objętych zakazem rozpowszechniania.

W wyniku przeprowadzonej kontroli stwierdzono pewne niedostatki i uchybienia w odniesieniu do organizacji obiegu informacji o wydawnictwach bezdebitowych, ich przechowywania i udostępniania.

W związku z powyższym, w celu usprawnienia i ujednoczenia przebiegu tego procesu w bibliotekach, Ministerstwo przesyła do wiadomości i stosowania: „Ramowe zasady przechowywania i udostępniania w bibliotekach publikacji zagranicznych objętych zakazem rozpowszechniania”.

Wskazówki i ustalenia zawarte w „Ramowych zasadach...” powinny stanowić podstawę do szczegółowego uregulowania tych problemów w wewnętrznych regulaminach bibliotek szkół wyższych.

RAMOWE ZASADY

przechowywania i udostępniania w bibliotekach publikacji zagranicznych objętych zakazem rozpowszechniania

1. Wpływ wydawnictw zagranicznych objętych zakazem rozpowszechniania powinien być uwidoczniony w ewidencji wpływów.
2. Wydawnictwa bezdebitowe należy przechowywać w odpowiednio zabezpieczonych pomieszczeniach, do których dostęp mają tylko osoby upoważnione.
3. Biblioteka winna dysponować wyodrębnioną informacją o posiadanych wydawnictwach objętych zakazem rozpowszechniania.
4. Materiały objęte zakazem rozpowszechniania udostępnia się na pisemny wniosek zainteresowanego. Wniosek taki powinien zawierać imię, nazwisko i adres osoby korzystającej z tych materiałów oraz określać cel ich wykorzystania.
5. Wymienione wydawnictwa mogą być udostępniane do celów służbowych, zawodowych i naukowych jednostkom wymienionym w § 2.1 pkt. 1-4 zarządzenia nr 2 z dnia 30 kwietnia 1984 roku Ministrów: Kultury i Sztuki, Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz Sekretarza Naukowego PAN w sprawie przechowywania i udostępniania publikacji

- zagranicznych objętych zakazem rozpowszechniania, na pisemny wniosek zainteresowanego, akceptowany przez kierownictwo tych jednostek.
6. Udostępnianie wydawnictw bezdebitowych studentom następuje na pisemny wniosek studenta, zaopiniowany przez opiekuna naukowego i akceptowany przez dziekana lub wicedyrektora instytutu.
 7. Zezwolenia na udostępnianie wydawnictw, o których mowa, udziela dyrektor biblioteki lub osoba przez niego upoważniona.
 8. Konieczne jest prowadzenie odrębnej ewidencji wypożyczeń tego rodzaju wydawnictw.
 9. Udostępnianie wydawnictw bezdebitowych powinno mieć charakter prezentacyjny.
 10. Szczegółowe zasady i tryb udostępniania publikacji zagranicznych objętych zakazem rozpowszechniania należy uwzględnić w regulaminie wewnętrznym biblioteki.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 404 — ADAM MICHNIK

Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłozza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.

TOM 405 — JAN MUR

DZIENNIK INTERNOWANEGO

(GRUDZIEŃ 1981 - GRUDZIEŃ 1982)

Str. 200.

Cena F. 85,00.

- Na Apel „Konfederacji 76” Oddział Boston — na rzecz „Solidarności” Podziemnej złożyli: W. Ostrowski, Janusz R. S., oraz b. internowani J. Kocjan, W. Szypszak, Z. Padzik, M. Butkiewicz — po \$ 10,00; b. internowani S. Borucki, T. Daniszewski, E. Wiśniewski, I. Biela, W. Wierzbowski, R. Łoś, A. Sosnowska, W. Micherda oraz W.C. z Cambridge, P. Janik, M. Marczyńska, M. Stankiewicz, J. Koziół i A. Biedak — po \$ 5,00 — razem: \$ 130,00; na ten sam cel w Redakcji *Listów do Polaków* złożyli: M. Orłowski — \$ 10,00; łącznie: — \$ 140,00 F. 1.120,00
- F. Dubicki — dla Matki ks. Popiełuszki — \$ 10,00 F. 80,00
- Na Apel „Konfederacji 76” Oddział Boston — na rzecz „Solidarności” Podziemnej złożyli: W. Ostrowski, b. internowani Z. Padzik i W. Szypszak — po \$ 10,00; M. Murczyńska, M. Stankiewicz, W.C. z Cambridge, P. Janik, A. Biedak, Z. Łabejsza, Z. Wallek i b. internowani S. Borucki, J. Kocjan, T. Daniszewski, T. Pokowski, C. Rybak, W. Micherda, A. Kruczyński, A. Sosnowska, T. Wojdakowski, L. Zborowski, A. Butewicz, W. Wierzbowski, N. Daszkiewicz, I. Bielak po \$ 5,00 oraz „Pomost” Oddział Boston — \$ 20,00; nadto w Redakcji *Listów do Polaków* na ten sam cel złożyli: T. S. Daszkiewicz — \$ 15,00; M. Orłowski — \$ 10,00; W. Aron, J. Harasiuk i A. Nowicki po \$ 5,00; ogółem wpłynęło — \$ 295,00 F. 2.360,00
- Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity) w Winnipegu, Man. (Kanada) — sumę uzyskaną ze zbiórki podczas mszy św. w kościele św. Andrzeja Boboli 22 września 1985 r. (nadesłała Anna Howiecka) — \$ c. 290,00 .. F. 1.882,00
- Szczupak z Kenii F. 185,95
- Towarzystwo Przyjaciół „Solidarności” w Vancouver, B.C. (Kanada) i T-wo „Solidarności” w Seattle, Wash. (USA) — dochód z zorganizowanej przez nie manifestacji 31 sierpnia 1985 r. na przejściu granicznym Blaine/White Rock między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą celem uczczenia piątej rocznicy Porozumień Gdańskich; w manifestacji wzięło udział ponad 200 Polaków oraz wielu Czechów, Estończyków, Łotyszów, Węgrów i Wietnamczyków jak również politycy kanadyjscy i członkowie organizacji polonijnych w Seattle, USA oraz Vancouveru i Victorii w Kanadzie (nadesłał przewodniczący T-wo Solidarności w Vancouverze Bogdan Idzikowski) — \$ c. 500,00 F. 3.142,00
- Winyłowcy z Toronto — \$ c. 95,00 F. 531,00
- WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”**
- E.M., Paryż — na przesładowanych w PRL F. 200,00
- Na fundusz niezależnych wydawnictw Polsce czysty zysk (po potrąceniu kosztów) z biletów wstępu na pokaz filmu video o Instytucie Literackim i Kulturze w Paryżu, który odbył się w Sztokholmie 15 września 1985 r. przy udziale stu kilkudziesięciu osób — KS 915,00 F. 915,00
- oraz ze spotkania 20 września 1985 r. w Sztokholmie z

Janem Nowakiem-Jeziorańskim z okazji ukazania się jego nowej książki pt. „Wojna w eterze” — K.S. 513,00	F. 513,00
Anna Sosnowska, Thilliers-en-Vexin (Francja) — na pomoc dla więźniów politycznych	F. 185,50

Wojciech Szczypiński, Zurych — na Fundusz drukarski im. Władysława Głowackiego — Fr.szw. 30,00	F. 110,00
Suma zebrana ze sprzedaży pocztówek na 37 Targach Książki we Frankfurcie na Fundusz drukarski im. Władysława Głowackiego — DM 80,00	F. 240,00

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych, Koło 50 w Seattle, WA na Katolicki Uniwersytet w Lublinie — \$ 100,00	F. 800,00
--	-----------

MINIATURY „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Ze względu na wielkie zainteresowanie w Kraju wszystkie wy-czerpane numery *Zeszytów Historycznych* zostały wydane w formie zminiaturyzowanej. Są to numery: 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57, 68.

Czytelnicy którzy chcieliby te *Zeszyty* przesać do Polski lub uzupełnić własne braki mogą zamawiać je w Administracji *Kultury* w cenie po F.10,00 za *Zeszyt* plus koszty porta.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1985.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 7293.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1986			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Pocobut, 1011 Wien, Schön-laternergasse Nr 5/2, Stiege/Tür 14. Tel.: 52-60-175	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenume-rate do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do adminis-tracji « Kultury »	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księ-garniach polskich w Paryżu	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1638 Bloor St. West. Toronto, Ont. M6P 4A8	F. 41,00 DM 14,00	F. 230,00 DM 80,00	F. 440,00 DM 150,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewa-nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil-waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken-way Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 408 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZACZYNAJĄC OD MOICH ULIC

Tom 12 „Dzieł Zbiorowych” zawiera następujące eseje: *Dykcjonarz wileńskich ulic; Do Tomasa Venclovy; Noty o wygnaniu; List półprywatny o poezji; Dialog o poezji (z Witoldem Gombrowiczem); Portrety: Dwight Macdonald, Teodor Bujnicki, Józef Czechowicz, La Combe (Stanisław Vincenz), Jeffers, Szestow albo czystość rozpaczy; Swedenborg i Dostojewski; Dostojewski i Sartre; Pożegnania: Podzwonne, Był raz..., Śmierć Józefa Sazdika, Sukiennicki, Andrzejewski.*

Str. 366.

Cena F. 120,00.



TOM 410 — WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

Treść tej książki określają tytuły jej trzech głównych części: I. „Walczyć nawet bez nadziei” to opis technik konspiracyjnych w latach między Powstaniem Styczniowym a pierwszą wojną światową; II. „Myśleć jak walczyć skutecznie” — to analiza różnych nurtów myśli politycznej, ulegających zmianie pod wpływem zmiennych sytuacji; III. „Iść kiedy pora” — to opis sytuacji narodu u progu Niepodległości i postawa Polaków w obliczu śmiertelnego zagrożenia sowieckiego.

Str. 336.

Cena F. 100,00.



TOM 411 — EWA MARIA ŚLASKA

DOCHODZENIE

Polska tuż po ogłoszeniu stanu wojennego. W dużym mieście w domu, w którym mieszka kilkudziesięciu lokatorów, jeden z nich młody podoficer wojska polskiego znalazł w noc sylwestrową w zypie na śmieci trupa młodej dziewczyny. Nikt nie wie kim jest dziewczyna, czy ktoś ją zabił, czy popełniła samobójstwo. Milicja prowadzi dochodzenie przesłuchując wszystkich lokatorów domu. Daje to w rezultacie świetny przekrój społeczeństwa polskiego kilkanaście dni po policyjno-wojskowym ataku na „Solidarność”. Ten swego rodzaju dreszczowiec czyta się jak najlepszy „kryminał”.

Str. 128.

Cena F. 50,00.